DŁUGA DROGA DO DOMU

WSPOMNIENIA UCIEKINIERA
Z PÓŁNOCNOKOREAŃSKIEGO PIEKŁA

KIM YONG we współpracy z KIM SUK-YOUNG

Świat Książki

Kim Yong

Kim Suk-Young

Długa droga do domu

Wspomnienia uciekiniera z północnokoreańskiego piekła

Z angielskiego przełożył
Urban Markiewicz

Świat Książki

Wstęp

Kim Yonga spotkałam po raz pierwszy w roku 2004, kiedy opiekowałam się grupą studentów Darmouth College na konferencji poświęconej zagadnieniom praw człowieka, zorganizowanej przez LINK (Liberty in North Korea) w Cornell University. Jako jeden z nielicznych ocalonych z północnokoreańskiego obozu pracy Kim Yong pojawił się na scenie, by opowiedzieć o swym doświadczeniu, na ogół nieznanym zewnętrznemu światu. Kim Yong spokojnie snuł opowieść o wzlocie i upadku swej kariery w Korei Północnej i ogromnych cierpieniach, jakie on i wielu innych Koreańczyków z Północy musiało znosić. Ale była to również opowieść o nadziei w miejscach, gdzie śmierć wydaje się bardziej pożądana niż życie. Twarz Kim Yonga, wciąż nosząca ślady tortur i bólu, zrazu pozostawała spokojna, wkrótce jednak zalał ją potop – w miarę jak napływające wspomnienia zmieniały się w rzeczułki łez, wracających bez końca do morza pamięci i nieustannie je zasilających.

W owym momencie książka ta zaczęła pisać się sama. Po wspomnianej konferencji utrzymywałam z Kim Yongiem bliski kontakt, który rychło przerodził się w przyjaźń. Nasze rozmowy stały się częstsze z chwilą, gdy – latem 2005 roku –

przeprowadziłam się z New Hampshire do Kalifornii. Jesienią tego roku miałam okazję zaprosić go do Santa Barbara na przedłużoną serię wywiadów, które przyniosły blisko dwadzieścia godzin nagrań. Książka ta jest przede wszystkim dokładnym przekładem zapisów tych wywiadów, ale i – co najważniejsze – świadectwem jednej z największych tragedii naszych czasów.

Długa droga do domu jest historią jedynego więźnia, o którym wiadomo, że przeżył straszliwy Obóz Numer 14 w prowincji Hamgyong w Korei Północnej, trzymany w całkowitej tajemnicy przed światem zewnętrznym. Jako syn rzekomego szpiega amerykańskiego Kim spędził sześć lat, pracując w kopalni węgla, 732 metry pod powierzchnią ziemi, pozbawiony zupełnie światła słonecznego. Po miesiącach planowania każdego szczegółu szczęśliwie udało mu się uciec, po ukryciu się w pociągu z węglem, który wywiózł go z obozu. Z pomocą starych przyjaciół szybko dotarł do granicy Korei Północnej z Chinami. Stamtąd udał się do Mongolii i – ostatecznie – do Korei Południowej. Kim przybył do Stanów Zjednoczonych w 2003 roku i zeznawał przed Komisją Praw Człowieka Kongresu Stanów Zjednoczonych, a jego historię relacjonowały media z całego świata.

Życie Kim Yonga od samego początku było dramatyczne. Kiedy miał trzy lata, jego ojca stracono jako szpiega. Aby uratować go od zbiorowej winy przypisywanej rodzinom przestępców politycznych w Korei Północnej, matka umieściła go w sierocińcu pod innym nazwiskiem. Kim dorastał, nie wiedząc o swej przeszłości. Wstąpił do wojska i w końcu został podpułkownikiem w państwowej policji bezpieczeństwa[1]. Jego oddział, podobnie jak inne oddziały i departamenty wojskowe i bezpieczeństwa, prowadził dochodowy

interes, a Kim piął się w górę, aż został wiceprezesem w spółce handlowej. Jako osoba dostarczająca zagraniczne waluty dla reżimu przekazał nawet kiedyś fundusz lojalności Kim Dzong Ilowi, który w zamian wysłał mu osobisty list, gwarantujący ochronę jego rodziny. Jak na ironię, błyskotliwa kariera Kima dobiegła końca, kiedy przedstawiono go do awansu, a wtedy w trakcie drobiazgowego prześwietlania pochodzenia odkryta została jego rzeczywista tożsamość.

Przed uwięzieniem Kim miał importowany samochód – luksus dla większości niesłychany! – i wolność podróżowania dokądkolwiek w obrębie Korei Północnej – inny przywilej, niewyobrażalny w kraju, gdzie zwykli ludzie nie mogli uzyskać zezwolenia nawet na krótką podróż. To dało Kimowi nadzwyczajną możliwość dostępu do różnych grup społeczeństwa północnokoreańskiego. Jego kontakty ze skorumpowanymi dostojnikami partyjnymi, japońskimi partnerami handlowymi, prostytutkami, uprzywilejowanymi mieszkańcami Pjongjangu, zubożałymi rolnikami, ofiarami apokaliptycznego głodu, okrutnymi strażnikami obozowymi, cierpiącymi więźniami politycznymi oraz innymi ludźmi, których spotkał w trakcie niebezpiecznej ucieczki, czynią jego opowieść bogatą i wielopłaszczyznową. Podaje w niej nie tylko bezcenne informacje o gwałceniu praw człowieka, lecz również szczegółowe zapisy ukazujące życie codzienne narodu północnokoreańskiego, wszystkich jego warstw. Epicka podróż Kim Yonga z Korei Północnej do Stanów Zjednoczonych jest pełnym godności wyrazem siły ludzkiego ducha, zdolnego zwyciężyć nawet najmroczniejsze formy ucisku, tortur i terroru ideologicznego.

Jako tłumaczka i autorka transkrypcji ogromnie starałam się, by w języku angielskim dokładnie uchwycić niepowtarzalność doświadczeń Kim Yonga i tchnąć w nie życie. Wyrósłszy w Korei Południowej we względnie stabilnym – przez większą część życia – środowisku, nie wiedziałam wiele – przynajmniej z pierwszej ręki – o losach ludzi z Korei Północnej, by nie wspomnieć już o nadzwyczajnych warunkach, jakie musiał znosić Kim. Aczkolwiek Kim i ja mówimy tym samym językiem, mamy wspólne korzenie kulturowe, a do tego mieszkaliśmy nie tak znów daleko od siebie – odległość między Seulem a Pjongjangiem to ledwie 380 kilometrów – wydaje się, że żyliśmy w równoległych światach. Kiedy on był cieszącym się sukcesami, zarabiającym waluty zagraniczne oficerem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Korei Północnej, ja byłam uczennicą myślącą z niepokojem o zbliżającym się egzaminie do college'u na Południu. Kiedy pewnego poranka w 1993 roku nagle go aresztowano, z wielką pasją przerzucałam kartki grubej powieści rosyjskiej. Kiedy on w 1996 roku walczył o życie w obozie pracy, wyjechałam z kraju, by kontynuować studia w Stanach Zjednoczonych. Jak miałam pokonać tę wielką przepaść między nami, do tego powiększoną przez różnicę wieku i płci, a także przez ideologię, która podzieliła dwie Koree na wrogie reżimy? Jak więc nasze drogi miały się spotkać i w jaki sposób mogła powstać wspólna narracja?

Przeprowadzając wywiady z Kim Yongiem, robiłam co mogłam, by dowiedzieć się nie tylko, „co" się mu przytrafiło, lecz również „jak", owe wydarzenia się rozwijały i co one dla niego znaczyły. Przedstawiając tu odpowiedzi, musiałam starać się zrównoważyć fakty z interpretacjami w takim stopniu, jak tylko to było

możliwe. Niemniej, zważywszy na to, jak rozległy przedział czasowy obejmuje ta książka, i wziąwszy pod uwagę, jak trudne emocjonalnie dla Kim Yonga było to przepytywanie, musiałam sama zdecydować o sposobie narracji, który bez nadmiernego upiększania literackiego opowieści zachowałby głos Kima. Po wielekroć omawiałam z Kimem każdy problem i postanowiliśmy, że najlepiej będzie zbudować opowieść Kima z oryginalnych wywiadów, minimalnie je tylko dramatyzując czy zmieniając stylistycznie, by nie umniejszyć wiarygodności jego historii. Jednocześnie oboje czuliśmy konieczność wygładzenia surowej narracji. Z tej przyczyny czytelnik może odnieść wrażenie, iż stylistyczna jej prostota występuje na przemian z większą stylistyczną dbałością – taki bowiem w konkretnych sytuacjach poczyniłam wybór jako autorka transkrypcji nagranej opowieści Kim Yonga. W efekcie historia ta – opowiedziana głosem prostym, ale uczciwym, przeplatanym wszakże niekiedy refleksjami pełnymi emocji – przedstawia wypadki tak, jak zdarzyły się one człowiekowi, który zniósł niewyobrażalne cierpienia.
W zamierzeniu książka ta pomyślana została jako pamiętnik – relacja przedstawiona w pierwszej osobie – i z tej to przyczyny powstrzymałam się od obszernych interwencji, zarówno jako autorka transkrypcji, jak i tłumaczka. Mocno wierzę w siłę oryginalnego głosu Kima z całym jego minimalnym, pozbawionym ozdobników stylem i prostą prawością.

Historia opowiedziana przez Kim Yonga w tej książce obejmuje ponad półwiecze – pokrywające się niemal z historią samej Korei Północnej. Dotyka wszelkich aspektów życia północnokoreańskiego, od spraw dnia powszedniego, takich jak

stosunki rodzinne, wychowanie szkolne i życie społeczne, po zagadnienia dotyczące struktury politycznej, kryzysu gospodarczego i naruszania praw człowieka. Mam nadzieję, że jej lektura dostarczy okazji do przyjrzenia się im z jedynej w swoim rodzaju perspektywy jednostki, która przeżyła to wszystko z zadziwiającą godnością i odpornością.

S.Y. Kim

---

[1] Mowa o koreańskiej Baribo – elitarnych służbach bezpieczeństwa wewnętrznego Korei Północnej (przyp. red.).

Podziękowania

Często myślimy o owych niezliczonych Koreańczykach z Północy, którzy znikli. Tych, których imion nie znamy, tych, których twarzy nie rozpoznajemy. Niekiedy jednak widzimy ich, jak leżą zamarznięci na brzegu rzeki, w samym środku zimowej nocy. Innym zaś razem czujemy ich ból, kiedy z trudem chwytają ostatni oddech, na próżno próbując ponownie rozpalić gasnący płomyk życia.

W takich chwilach słyszymy ich głosy szepczące imiona ukochanych.

Jak zwykle ich łzy sprawiają wrażenie ciepłych.

Chcieliśmy, by czytelnicy pomyśleli o nich w trakcie lektury tej książki, a może myśli ich ulżą owym duszom, gdy te wędrować będą do innego świata. Książka ta jest naszym skromnym przyczynkiem do ich wspomnień.

Tak wiele osób przyczyniło się do powstania tej opowieści! Wsparcie ze strony współpracowników i studentów w Dartmouth i UCSB było wręcz nieodzowne w zamknięciu tego projektu. Burke Junior Faculty Fellowship z Dartmouth, Academic Senate Travel Grant, Hellman Family Junior Faculty Fellowship, Performance Studies i East Asian Culture Research Focus

Groups z UCSB umożliwiły nam prowadzenie tej długiej rozmowy. Chcielibyśmy także podziękować Columbia University Press za zainteresowaniem tym projektem, Jennifer Crewe za to, że wierzyła w naszą misję, Leslie Kriesel za fachową redakcję oraz dwóm anonimowym czytelnikom za komentarze. Na koniec wreszcie pragnęlibyśmy podziękować naszym bliskim – tak zmarłym, jak i żyjącym. Y., B., J., Michaelowi Berry'emu, naszym rodzicom, braciom i siostrom – bez ich miłości bowiem bylibyśmy niczym.

K.Y. & K.S.Y.

Uwagi Autorki

Przy transliteracji słów koreańskich przestrzegałam konsekwentnie oficjalnego systemu latynizacji opracowanego przez południowokoreańskie Ministerstwo Kultury i Turystyki w roku 2000[2]. Zgodnie z konwencją koreańską we wszystkich nazwiskach koreańskich użytych w tej książce nazwisko rodowe poprzedza imię; stąd: „Kim Dzong Il", a nie „Dzong Il Kim". Kim Yong dał jasno do zrozumienia, że życzy sobie zachować w tajemnicy tożsamość pewnych osób, używamy zatem inicjałów zamiast nazwisk rzeczywistych.

---

[2] Zapisy nazw koreańskich w tej książce zgodne są z zaleceniami Polskiej Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami Polski ustalonymi w 2006 roku – stąd Pjongjang zamiast Phenian itd. Nowe egzonimy odpowiadają możliwie najbliżej oryginalnemu zapisowi koreańskiemu (przyp. red.).

Wprowadzenie
Kim Suk-Young

Korea Północna jest państwem jaskrawych sprzeczności. Niezaprzeczalny rozwój gospodarczy i społeczny państwa, który nastąpił bezpośrednio po rujnujących kraj japońskich rządach kolonialnych (1910–1945) i wojnie koreańskiej (1950–1953), dokonał się tam bowiem w warunkach budowy i utrwalania bezwzględnego, opartego na kulcie jednostki systemu dyktatury politycznej, z pogwałceniem elementarnych swobód obywatelskich i praw człowieka. Wbrew oficjalnym zapewnieniom władz północnokoreańskich o panujących w ich kraju powszechnym szczęściu i dostatku, w ostatnich latach coraz więcej ludzi ucieka z Korei Północnej, nie widząc innej możliwości zwykłego, biologicznego przetrwania. Mimo charakterystycznych dla kultury koreańskiej silnych więzi rodzinnych i sąsiedzkich większość Koreańczyków z Północy obawia się szczerze mówić, co myśli, nawet w najściślejszym gronie krewnych i przyjaciół. Wśród takich paradoksów i sprzeczności toczyło się życie Kim Yonga – samo w sobie pełne nieoczekiwanych zwrotów i nieprzewidzianych wydarzeń.

Zmienne koleje losu Kima są ściśle związane z nadal nie do końca zagojonymi ranami, jakie historia współczesna zadała Korei. Urodzony w roku 1950 – niemal w chwili wybuchu wojny koreańskiej – Kim snuje opowieść o osobliwej, przesyconej atmosferą niepewności i grozy rzeczywistości swego kraju, ukształtowanej w efekcie bezpośredniego następstwa drugiej wojny światowej, jakim był podział kraju, utrwalony w dobie zimnej wojny. Od roku 1910 do 1945 Korea była kolonią japońską. Kapitulacja Japonii otworzyła przed Koreańczykami radosną perspektywę ustanowienia niepodległego państwa. Choć wola jego odbudowy była powszechna, to społeczeństwa koreańskiego *anno* 1945 w żadnej mierze nie można jednak określić mianem monolitu. Po długim okresie rządów kolonialnych sprawowanych przez naród, którym wielu Koreańczyków pogardzało jako kulturowo niższym, społeczeństwo koreańskie podzielone było na wiele warstw i grup o różnych interesach i odmiennych, często sprzecznych, koncepcjach w kwestii kształtu i przyszłości swego niepodległego już państwa. Zróżnicowane spektrum społeczne najlepiej bodaj oddaje porównanie do sytuacji, w której zdecydowana większość mieści się między dwoma diametralnie od siebie różniącymi się obozami politycznymi. Carter Eckert charakteryzuje tę polaryzację w sposób następujący:

> Po prawej stronie sceny politycznej znalazła się większość Koreańczyków zamożnych i wykształconych, z których wielu – w taki czy inny sposób – współpracowało z władzami kolonialnymi. Większość z nich sprzeciwiało się radykalnym zmianom społecznym w rodzaju reformy rolnej; inni – w tym część właścicieli ziemskich, którzy swoje kapitały zainwestowali w przemysł – zdawali sobie sprawę z ich nieuchronności, uważali jednak, że winien to być proces przez nich kontrolowany i przebiegać w sposób

> gwarantujący im utrzymanie uprzywilejowanej pozycji społecznej. Na prawicy znalazła się również część Koreańczyków gorzej wykształconych i spoza warstw posiadających, którzy wcześniej wiernie służyli interesom państwa japońskiego. Z kategorii tej wywodziło się na przykład około czterdziestu procent sił policji kolonialnej. Lewą stronę politycznego spektrum tworzyli Koreańczycy o nader zróżnicowanym statusie społecznym – studenci, intelektualiści, chłopi i robotnicy, których „upolityczniły" japońskie rządy kolonialne. Część z nich była członkami partii komunistycznej lub sympatykami komunizmu jako siły sprzeciwiającej się rządom japońskim i występującej w obronie ubogich i prześladowanych; wszyscy natomiast opowiadali się za koniecznością gruntownego oczyszczenia aparatu administracji i wszelkich sfer życia publicznego z kolaborantów. Popierali również koncepcje redystrybucji majątku narodowego, zwłaszcza reformę rolną, likwidację nierówności społecznych i przekształcenie Korei w państwo egalitarne[3].

Podział Korei był więc nie tylko podziałem geograficznym wzdłuż linii 38. równoleżnika, oddzielającej od siebie strefy okupowane przez siły obydwu aliantów, ale przebiegał również wzdłuż linii stratyfikacji społecznej. Sytuacja to wprawdzie typowa dla wszystkich państw postkolonialnych, Korea jednak była wśród nich wyjątkiem pod tym względem, że z racji swego położenia geograficznego stała się u zarania zimnej wojny jednym z centrów bezpośredniej, zmiennej w swej dynamice, konfrontacji między Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi. Mimo stałego wzrostu napięcia w stosunkach między obydwoma supermocarstwami Koreańczycy – bez względu na ich sympatie i afiliacje polityczne – chcieli jednak wspólnie budować jednolite państwo. Dążenie to spotkało się z oporem sił zbrojnych obu aliantów, których koncepcje w kwestii uporania się ze spadkiem po rządach japońskich – zwłaszcza rozbrojenia znacznego

kontyngentu wojsk armii cesarskiej stacjonujących w Korei w momencie kapitulacji Japonii w 1945 roku – były rozbieżne. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki zapewniły sobie możliwość rozwiązania tego problemu każde po swojemu, dzieląc Koreę na dwie strefy administracji okupacyjnej – wydłuż linii 38. równoleżnika. Obszary na północ od niej przypadły ZSRR, na południe – Stanom Zjednoczonym.

Podział Korei dokonał się wbrew woli i dążeniom samych Koreańczyków. Jak zauważył były dyplomata amerykański Gregory Henderson: „Żaden podział państwa w dziejach nowożytnych nie miał tak zaskakującej genezy jak podział Korei, żaden nie był tak oderwany od realiów kraju i panujących w nim nastrojów, żaden nie był tak niezrozumiały”[4]. 38. równoleżnik miał być w założeniu tymczasową linią demarkacyjną między dwiema strefami, ale wewnętrzną sytuację Korei zdeterminowała polityczna dynamika zimnej wojny; 38. równoleżnik stał się granicą między dwoma wrogimi sobie państwami. W roku 1948 po każdej ze stron przeprowadzono wybory i powołano odrębne rządy, w wyniku czego to, co zaczęło się jako linia tymczasowa, przekształcono w nieprzenikniony mur, który blokował ludzi i ideologie. Te dwa kraje starły się ze sobą w tragicznej wojnie domowej, która – zanim przerwał ją rozejm zawarty w 1953 roku – pochłonęła miliony ofiar po każdej ze stron. 38. równoleżnik nadal pełni funkcję sztywnej granicy w epoce po wojnie koreańskiej.

Czynnikiem komplikującym wewnętrzną politykę podzielonej Korei był fakt, że narzucony z zewnątrz podział nie dzielił symetrycznie politycznej lewicy i prawicy na północną

i południową, lecz arbitralnie tworzył dwie strony złożone z grup o różnych interesach i pochodzeniu. Po podziale z 1945 roku, a zwłaszcza po zakończeniu wojny koreańskiej w roku 1953, ciągle jeszcze pozostały enklawy oporu w każdym z państw – zwłaszcza lewicowych sympatyków komunizmu na Południu i antyrewolucjonistów, włączając w to właścicieli ziemskich i byłych kolaborantów z władzami japońskimi i amerykańskimi na Północy. Jedne i drugie zostały brutalnie zgniecione przez reżimy: proamerykańskiego Li Syngmana na Południu i wspieranego przez ZSRR Kim Ir Sena na Północy. Rzesze ludności usytuowanej pośrodku, bez żadnego zainteresowania polityką ani jasno określonego stanowiska, zmuszone były przyjąć orientację polityczną państwa, w którym się znalazły. To w takich właśnie okolicznościach ojciec Kim Yonga w następstwie wojny koreańskiej utknął po złej stronie granicy. Pracując jako informator wojsk amerykańskich oraz armii południowokoreańskiej i przyczyniając się w ten sposób do zatrzymania armii północnokoreańskiej w czasie wojny, ojciec Kim Yonga należał na Północy do szkodliwej części społeczeństwa: kolaborantów z zagranicznym imperializmem. Stąd też w jak najbardziej zasłużony sposób przylepiono mu etykietę „antyrewolucjonisty” – stygmat w społeczeństwie północnokoreańskim robiący wrażenie tak potężne, iż skazywał on na potępienie nawet pokolenia następne.

Zważywszy na brutalność, z jaką Korea Północna eliminowała osoby wspierające jej zaprzysiężonych wrogów – Koreę Południową, Japonię i Amerykę – znacznie lepiej byłoby dla ojca Kima i jego rodziny, gdyby znaleźli się po południowej stronie

granicy. To oczywiście uwaga kogoś, kto cieszy się możliwością spojrzenia wstecz; któż bowiem – przez te trzy lata bezładnej wojny – mógł wiedzieć, że podział Korei jedynie się na pół wieku z górą umocni? Od zakończenia wojny koreańskiej do dzisiaj[5] obydwie Koree zakazują swym obywatelom utrzymywania jakichkolwiek kontaktów ludzkich – poza kanałami kontrolowanymi przez władzę, takimi jak łączność między rozdzielonymi członkami rodzin, wymiana intelektualna i kulturalna oraz jakikolwiek rodzaj dyskursu politycznego. Niefortunnie wraz z dzieleniem jednolitego narodu przez dwa wrogie ideologicznie i politycznie reżimy powstał organizm, w którym utrwalono rytuały zimnej wojny, regulujące wszystkie aspekty życia po obu stronach[6]. Wolna dyskusja o drugiej stronie – jeśli nie przybierze formy antypołudniowej czy antypółnocnej propagandy – była dla Koreańczyków nie do pomyślenia.

Stąd też sam fundament państwa północnokoreańskiego opierał się na braku podmiotowości prawnej drugiej strony, Korei Południowej, postrzeganej jako państwo marionetkowe, kłaniające się złym Japończykom oraz imperialistom amerykańskim, co uznawano za uwłaczające godności ludu koreańskiego. Dla porównania Korea Północna wsparła swą prawomocność na nacjonalistycznej koncepcji samodzielności. Na podstawie wnikliwej lektury materiałów udostępnionych ostatnio przez U.S. National Archives and Records Administration Bruce Cumings sugeruje, że – wbrew zapewnieniom wielu – Korea Północna w żadnej mierze nie była typowym marionetkowym państwem sowieckim:

> Najbliższymi odpowiednikami Korei Północnej były Rumunia i Jugosławia – a nie państwa pod całkowitą hegemonią sowiecką, takie jak Niemcy Wschodnie [...]. Wpływy sowieckie rywalizowały z chińskimi, a jedne i drugie kłóciły się z miejscowymi formami i praktykami politycznymi. Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna była i jest wśród powojennych systemów marksistowsko-leninowskich przypadkiem umocnienia rodzimych koreańskich realiów politycznych – od zwierzchniej pozycji przywódcy do jego samodzielnej ideologii i realizacji polityki zagranicznej oblężonej twierdzy[7].

Jedyna swego rodzaju droga, jaka pojawiła się na Północy, ma swe głębokie korzenie w koreańskiej odmianie nacjonalizmu, przywiązującej wielką wagę do czystości rasowej oraz modelu narodu jako ściśle kontrolowanej rodziny patriarchalnej. Nawiasem mówiąc, tego rodzaju silne skupienie się na nacjonalizmie etnocentrycznym nie różni się zbytnio od podejścia przyjętego na Południu. Używając owej dyrektywy w połączeniu z postępowymi hasłami socjalistycznymi, Korea Północna była w stanie przedsięwziąć popularne reformy, takie jak kolektywizacja ziemi oraz instytucjonalizacja przymusu kształcenia na poziomie podstawowym.

W jakiejś mierze nowo narodzone państwo północnokoreańskie było wierne tym kolektywnym ideałom, czyniąc godny uwagi postęp, napędzany entuzjazmem jego ludu, charyzmatycznym przywództwem Kim Ir Sena oraz szczodrą pomocą ze strony Związku Sowieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej. Korea Północna w pierwszej dekadzie następującej po jej założeniu była miejscem tętniącym energią i ambicją, kierowanymi przez Kim Ir Sena, który lata kształtowania swej osobowości spędził w Mandżurii, zwalczając japońską armię cesarską w oddziale

partyzanckim, a potem w Ludowej Armii Wyzwoleńczej i w armii sowieckiej, zanim wrócił do wyzwolonej Korei w 1945 roku. Koreańczycy z Północy – nawet większość dezerterów, którzy dobrowolnie opuścili swój kraj – do dzisiaj czczą Kim Ir Sena jako jedynego prawowitego przywódcę niepodległego państwa koreańskiego, a zarazem ojca, który szczerze się o swój lud troszczył. Nawet po śmierci Kim Ir Sena, w roku 1994, Koreańczycy z północy patrzą na lata jego rządów jako na minione złote dni. Ten sam rodzaj głębokiego i szczerego uczucia do Wielkiego Wodza żywił Kim – od dzieciństwa do chwili aresztowania.

Kim Ir Sen, miłowany przez lud północnokoreański, ambitnie i bezlitośnie umacniał swoją władzę. Na froncie wewnętrznym osiągnął cel za pomocą brutalnych czystek w szeregach swoich przeciwników politycznych, włączając w to najbliższych sprzymierzeńców. Jeden z najbardziej widocznych celów stanowili ci, którzy pomagali japońskim imperialistom i Amerykanom w czasie japońskich rządów kolonialnych i wojny koreańskiej, która po nich nastąpiła. Mieć ojca, do którego przylgnęła etykieta szpiega amerykańskiego, oznaczało w północnokoreańskich realiach wyrok śmierci. W takich właśnie warunkach matka Kima postanowiła podać go za sierotę wojennego i umieścić w państwowym sierocińcu, by zagwarantować mu lepszą przyszłość.

Państwowy sierociniec niekoniecznie wyczarowuje szczęśliwy obraz w umyśle czytelnika, ale w latach pięćdziesiątych w Korei Północnej sytuacja była nieco odmienna. Kraj ten bowiem, próbując określić siebie jako socjalistyczny raj, humanitarnie

traktował sieroty, które straciły rodziców podczas japońskich rządów kolonialnych i wojny koreańskiej. Wiele jest opowieści o tym, jak ojciec narodu Kim Ir Sen traktował sieroty wojenne, jak gdyby były one jego własnymi dziećmi. Niezliczone malowidła propagandowe i plakaty, przedstawiające Kim Ir Sena pozdrawiającego sieroty wojenne w obszarpanych ubraniach i bose oraz zapraszającego je do swego wyłożonego czerwonym dywanem biura, ozdabiały drukowane media i przestrzenie publiczne. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ten wysiłek wyrósł z pragnienia państwa północnokoreańskiego, by zaspokoić potrzeby sierot. Jak opisuje Kim Yong, wysyłano je nawet do sierocińców w innych krajach socjalistycznych w ramach programów wymiany, w celu poświadczenia nie tylko wzrastającej przyjaźni socjalistycznej ich ojczyzn, lecz również skutecznej troski Korei Północnej o najbardziej bezbronnych członków jej społeczeństwa. Jak dowiadujemy się ze wspomnień Kim Yonga, Kim Ir Sen musiał współczuć sierotom wojennym tak bardzo, że nakazał nawet przywódcom partyjnym je adoptować i troszczyć się o nie jak o swoje własne dzieci – wytycznej tej wiernie przestrzegali adopcyjni rodzice Kim Yonga, co dogłębnie ukształtowało jego przyszłość. Nie tylko sieroty wojenne, ale i dzieci północnokoreańskie w ogóle traktowano jako ważnych członków społeczeństwa. Wszystko wskazuje na to, że aż do katastrofy głodowej lat dziewięćdziesiątych XX wieku dzieci w Korei Północnej otaczano opieką i miłością, o ile miały właściwe pochodzenie klasowe, czyli były potomkami antyjapońskich bojowników partyzanckich w okresie kolonialnym, zubożałych chłopów, robotników, żołnierzy i męczenników wojennych. Jak

dowodzi Helen-Louise Hunter, „prawdopodobnie dlatego rodzice mieli szmergla na punkcie swoich dzieci nie mniej niż rodzice wszędzie indziej na świecie, że ich własne życie nie dawało im wiele poza nadzieją na lepszą przyszłość swych pociech. Z wielką chęcią poświęcali się, oszczędzając, ile się da, przez całe swe życie, by zabezpieczyć swoim dzieciom byt najlepszy z możliwych”[8]. Przez krótki okres Kim Yong również był szczodrze rozpieszczany przez rodziców adopcyjnych, podkreślić jednak należy, że jego życie w rodzinie adopcyjnej ukazuje znikomy ułamek doświadczeń dzieciństwa w Korei Północnej w ogóle. Władzy i przywilejów, jakimi cieszyli się jego rodzice adopcyjni, w żadnej mierze nie należy postrzegać jako ogólnych warunków rodzin mieszkających w Pjongjangu, nie mówiąc już nawet o tych, które mieszkały na obszarach wiejskich.

By zrozumieć zatem nadzwyczajną naturę przywileju Kim Yonga po adopcji, trzeba poznać Pałac Dzieci Mangyongdae (*Mangyeongdae sonyeon gungjeon*), dokąd go posłano, by ćwiczył dżudo. Miejsce to przygotowuje utalentowane dzieci o znakomitym pochodzeniu klasowym we wszystkich obszarach sztuk i sportów pod opieką pierwszorzędnych instruktorów. Niektórzy uczą się, by udoskonalić swoje umiejętności muzyczne, podczas gdy inni uczą się tańczyć. Program sztuk Pałacu Dzieci Mangyeongdae jest tak renomowany, że zagraniczni dygnitarze muszą się tu zatrzymać, by go zwiedzić i obejrzeć niezrównane pokazy talentów młodych uczniów północnokoreańskich. To właśnie tam młody Kim Yong zawarł znajomość ze starszą siostrą Go Yong-hee, przyszłej trzeciej żony Kim Dzong Ila, której synowie są dzisiaj spodziewanymi następcami ojca. W kolorowo

ilustrowanym przewodniku dla turystów zagranicznych, opublikowanym w języku angielskim przez Państwowy Zarząd Turystyki w roku 2002, Pałac Dzieci Mangyeongdae opisany został z wzniosłą dumą narodową.

> Jest to ponadprogramowa instytucja edukacyjna dla dzieci w wieku szkolnym w Pjongjangu. Pałac zbudowany został dzięki przepełnionej miłością trosce Prezydenta Kim Ir Sena oraz Generała Kim Dzong Ila, którzy uważali i uważają dzieci za królów tego kraju. Pałac ma powierzchnię 103 tysięcy metrów kwadratowych i pokrywa obszar 300 tysięcy metrów kwadratowych. Przed frontem pałacu umieszczono grupę posągową. Sala centralna, sięgająca wysokości trzeciej kondygnacji, łączy kilka części pałacu i jest udekorowana kolumnami marmurowymi wysokości 19,5 metra oraz żyrandolem o wadze 2,5 tony. Po obu stronach sali centralnej biegnie – długi na 36 metrów – układ żyrandoli w kształcie konwalii, sięgających od kondygnacji pierwszej do szóstej. Pałac zawiera salę nauki, salę gimnastyczną, salę sztuki i ponad 200 pokojów aktywności oraz teatr na 2000 miejsc z automatyczną sceną. Każdego dnia ponad 5000 dzieci w wieku szkolnym uczestniczy w prowadzonych w tym pałacu zajęciach ponadprogramowych[9].

Tak oszałamiające bogactwo – słusznie zasługujące na miano „pałacu” – było po części przeznaczone na stworzenie sieci społecznej przyszłych elit państwa północnokoreańskiego. Jako członek tego wysokiego kręgu Kim Yong wiódł uprzywilejowane życie, aż stał się dorosły, ożenił się z politruczką z dobrym rewolucyjnym pochodzeniem i wylądował na uprzywilejowanym stanowisku, jako zarabiający waluty zagraniczne oficer w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Ten rozdział życia Kim Yonga to okres najbardziej chyba niezwykły, jako że jego praca – zdobywanie zagranicznej waluty za pomocą prowadzenia nieewidencjonowanej wymiany handlowej z sąsiednimi

państwami, takimi jak Japonia i Rosja – nie tylko potęgowała jego błyskotliwą karierę, lecz również dawała mu wgląd w bardzo niejasną odmianę kapitalizmu północnokoreańskiego. Poza nielicznymi wyjątkami[10] niewiele można powiedzieć o takich przedsięwzięciach prowadzonych przez rząd północnokoreański. Wedle Kim Yonga głównym celem tworzenia takich departamentów we wszystkich nieomal ważniejszych agencjach rządowych było zaopatrzenie przywódców północnokoreańskich w twardą walutę. Departamenty owe działały wedle najściślejszych zasad gospodarki rynkowej, gdzie nadrzędnym celem jest zysk, a przetrwanie najlepiej przystosowanego wymusza konieczne fuzje i przejęcia źle sobie radzącego departamentu. Pewnym jest, że tę gospodarkę świata podziemnego zaprojektowano, by służyła dobrobytowi kilku przywódców partyjnych, co stało w sprzeczności z oficjalną filozofią polityczną służby wspólnocie. Trudno więc pojąć, jak rozlegle ten nieewidencjonowany system przekształcił społeczeństwo północnokoreańskie i wpłynął na pojawienie się – ostatnimi czasy – ograniczonej gospodarki rynkowej. Niemniej bez specjalnego ryzyka można przyjąć, że nielegalna działalność ambasad północnokoreańskich na obcej ziemi, o której donoszono po wielekroć – przemyt narkotyków, sprzedaż broni i podrabianie zagranicznych środków płatniczych – to pokłosie praktyki używania agencji rządowych do generowania zysków dla przywódców – jak to opisał Kim Yong[11].

Kim Yong ciężko pracował, by osiągnąć przywódczą pozycję w owej kompanii handlowej, a w zamian cieszył się dostępem do dóbr materialnych i do świata zewnętrznego. Tego rodzaju

przywileje nie były udziałem wszystkich członków społeczeństwa. Jakkolwiek Korea Północna była rzekomo bezklasowym państwem socjalistycznym, mechanizmy te wzmacniały podziały klasowe równie potężnie, jak systemy kastowe czyniły to w przeszłości. Koreańczycy z Północy uważali *seongbun* – termin ten odpowiada w przybliżeniu pojęciu „pochodzenia socjoekonomicznego bądź klasowego”[12] – za główny czynnik określający przyszłość jednostki. *Seongbun* jest zdeterminowany pochodzeniem rodzinnym i jednostka nic nie może zrobić, by go poprawić.

Bez dobrego *seongbun* uzdolnienia jednostkowe nic nie znaczą. Jak to ujął Charles Armstrong:

> Przed wiekiem dwudziestym stratyfikacja socjalna była jedną z najtrwalszych cech społeczeństwa koreańskiego. Zamiast jednak starać się od początku wyeliminować różnice społeczne [...] rodzący się reżim północnokoreański próbował uczynić kategorie społeczne bardziej wyraźnymi, za pomocą starannego odnotowywania warstwy socjalnej (*seongbun*) każdej jednostki [...]. Rezultatem rewolucji północnokoreańskiej [...] była nie eliminacja hierarchii jako takiej, ale radykalna zmiana zawartości tej hierarchii[13].

W istocie zakres, w jakim owa stratyfikacja socjalna regulowała życie ludzi, był absolutnie niepodważalny – do tego stopnia, że matka Kim Yonga podjęła drastyczny krok sfałszowania pochodzenia swych dwóch synów, ponieważ dawało im to nieporównanie jaśniejszą przyszłość, niż gdyby pozostawali synami amerykańskiego szpiega. Jak zauważa Hunter, „bardzo trudno poprawić czyjś *seongbun,* zwłaszcza jeśli ten stygmat pochodzi z przedrewolucyjnego statusu klasowego lub zachowania

czyichś rodziców albo krewnych[14]. Zważywszy na to, że Partia Pracy Korei (*Joseon rodongdang*) – zapewne jedna z najpotężniejszych organizacji społecznych w Korei Północnej – przechowuje szczegółową dokumentację *seongbun* poszczególnych jednostek, możemy wyobrazić sobie, jak ciężkie ryzyko podjęła matka Kim Yonga – z czystej rozpaczy. Wydaje się całkiem oczywiste, że gdyby ona i jej rodzina – z tak niepoprawnym pochodzeniem – miała swobodę opuszczenia Korei Północnej, to z całą pewnością by to uczyniła. Ale większość Koreańczyków – nawet dziś – nie ma ani swobody wyboru, w której Korei chce mieszkać, ani możliwości, by odwiedzić drugą stronę bez ścisłej inwigilacji.

Patrząc na inne państwa socjalistyczne, dostrzegamy praktyki podobne do północnokoreańskiego *seongbun*, które stygmatyzują niepożądane grupy społeczne w następstwie rewolucji socjalistycznej. Richard K. Carton zauważa, iż „każdemu komunistycznemu przejęciu władzy – w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, Bułgarii, Jugosławii i Albanii – towarzyszyły masowe aresztowania, zmierzające przede wszystkim do wyeliminowania opozycji. Niektórych uwięzionych internowano, innych kierowano do pracy przymusowej”[15]. Podobnie w Chińskiej Republice Ludowej – czego dowodzi studium Philipa F. Williamsa i Yenna Wu – przebiegał na masową skalę podobny proces grupowania ludzi niepożądanych: „Uzasadnienie aresztowań politycznych na wielką skalę pojawiło się w polityce prawnej i prawie karnym wprowadzanych przez kolejne chińskie ekipy komunistyczne w wieku XX. Ich model ogólny był w znacznej mierze tożsamy dla leninowskich reżimów

eurazjatyckich, zwłaszcza w fazie umacniania”[16]. Jednakże w tym potężnym wysiłku eliminacji pewnych klas społecznych intrygujące jest nie tylko stworzenie tak zwanej klasy antyrewolucyjnej, lecz również fakt, że większość antyrewolucjonistów została wchłonięta przez państwo w charakterze darmowej siły roboczej. Jak dowodzą Williams i Wu, z racji złego pochodzenia klasowego i zapotrzebowania rządu na tanią siłę roboczą krzepcy zamożni chłopi i właściciele ziemscy, których w ogóle nie oskarżono o żadną zbrodnię, byli również często wcielani do przymusowej służby w brygadach roboczych[17].

Czystki polityczne wrogów klasowych w oczywisty sposób odbiły się na gospodarce krajów socjalistycznych, ale problem, w jakiej mierze czystka antyrewolucjonistów w Korei Północnej związana była z polityką gospodarczą rządu, nie został jeszcze w pełni zbadany. Wedle relacji Kim Yonga więźniowie północnokoreańscy dostarczali ponad dwunastu roboczogodzin dziennie, co czyni uzasadnionym przypuszczenie, że państwo musiało zgarniać wysokie zyski z ich przymusowej pracy. Mimo to głód, jakiego owi więźniowie doświadczali, musiał ograniczać ich produktywność. Siła napędowa, która stworzyła system obozów pracy karnej w Korei Północnej, wydaje się więc raczej siłą polityczną niźli gospodarczą. Przed swym aresztowaniem Kim Yong dostarczał rządowi pokaźnych kwot w walutach zagranicznych i pozostawienie go na takim stanowisku musiałoby być bardziej użyteczne dla potrzeb finansowych Kim Dzong Ila niż wysłanie go do obozu w kopalni, gdzie półmartwi więźniowie pracowali wolniej niż normalni robotnicy. Obozy pracy, o których wspomina Kim, są

obozami eksterminacyjnymi, gdzie eliminowanie antyrewolucyjnych elementów społeczeństwa musiało być celem naczelnym.

Kwanliso – nazywane w tej książce po prostu „obozami pracy”[18] bądź „obozami” – zajmują w życiu Korei Północnej miejsce specjalne[19]. Ulokowane są w obszarach ustronnych, a każdy z nich zawiera od 5 tysięcy do 50 tysięcy więźniów, co daje zapewne łączną liczbę około 150 tysięcy do 200 tysięcy więźniów w całej Korei Północnej, wedle raportu Davida Hawka dla Komisji ONZ do spraw Praw Człowieka w Korei Północnej[20]. Jednakże w kwestii obozów bardziej znaczące wydaje się to, że sieją przerażenie w umysłach ludu oraz mają symboliczną funkcję w dyscyplinowaniu społeczeństwa północnokoreańskiego. Lud północnokoreański wie aż za dobrze, że każdy, do kogo raz już przylgnęła etykieta kontrrewolucjonisty, zostanie wysłany do obozu pracy „bez żadnego procesu sądowego lub odwoływania się do jakiegokolwiek prawa, z wyrokiem dożywocia, do nad wyraz ciężkiej pracy w kopalniach, przy wyrębie lasu lub w przedsiębiorstwie hodowlanym”[21] i że „ci więźniowie żyją w okrutnych warunkach w stanie półwygłodzenia”[22].

Opowieść Kim Yonga dostarcza nam unikalnego wglądu w dwa różne obozy Numer 14 i Numer 18, w których był przetrzymywany. Jest on jedyną znaną osobą, która wyszła żywa z Numeru 14 i jedyną, która z powodzeniem uciekła z Numeru 18, by opowiedzieć o szczegółach w tych obozach. Jego wspomnienia mają bezcenną wartość, bez jego chęci podzielenia się własnym doświadczeniem miejsca te pozostałyby zewnętrznemu światu nieznane[23]. Z wszystkich wstrząsających

relacji dotyczących obozów pracy najbardziej niepokoi zapewne opowieść o torturze zagłodzenia prawie na śmierć, której poddawani są więźniowie zmuszani do trwającej ponad dwanaście godzin dziennie katorżniczej pracy. Według Kim Yonga dzienna racja żywnościowa w Numerze 14 i Numerze 18 składała się z trzech garści ziaren kukurydzy posypanej nieco grubo mieloną solą oraz miski wodnistej zupy – porcja obmyślona świadomie, by skazać więźniów na powolną i straszliwą śmierć.

To, że warunki w północnokoreańskich obozach pracy są skrajne, staje się jasne, jeśli porównać je z systemem racjonowania żywności w więzieniach politycznych innych państw socjalistycznych. Aby dać jeden tylko przykład – wczesne sowieckie obozy pracy w roku 1935 racjonowały szczupłe porcje żywności, ale kiedy porównać to ze świadectwami północnokoreańskich ocalonych z obozów[24], racje sowieckie opisane we fragmencie przytoczonym poniżej wyglądają raczej na wystawną ucztę.

> Wedle norm przyjętych w grudniu 1935 roku, więzień obozu otrzymywał codziennie na śniadanie i obiad minimum 400 g chleba żytniego wraz z daniem ciepłym. Przybliżone wskazówki przyrządzania żywności określały porcję mąki na 15 g na osobę dziennie, kaszy – na 60–80 g, a jarzyn na 500 g dziennie. Rybę (168–180 g) podawano dwadzieścia dwa razy w miesiącu, a mięso (70 g) osiem razy w miesiącu. Więźniowie otrzymywali 350–400 g cukru miesięcznie. Teoretycznie te szczupłe raczej racje, mogły być zwiększone, jeśli wykonane zostały zadania robocze[25].

Więźniowie sowieccy, tak samo jak ich odpowiednicy w Chinach, mogli również otrzymywać paczki żywnościowe od członków rodzin, aczkolwiek istniały rygorystyczne przepisy

dotyczące tego, ile mogą dostać za każdym razem. Wedle Williamsa i Wu, więźniowie obozów chińskich mogli otrzymywać nie więcej niż jedną paczkę w miesiącu, a jej waga była ograniczona do około dwóch kilogramów[26]. Takich paczek wysyłanych przez członków rodzin więźniowie obozów północnokoreańskich nie znali. Skrajne racjonowanie żywności w obozie pracy musiało być jeszcze zaostrzone w wyniku potwornego głodu, który przetoczył się przez Koreę Północną w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Załamanie się skonstruowanego przez państwo systemu rozdziału żywności w połączeniu z klęskami żywiołowymi lat 1994–1995 zrujnowało obszary wiejskie, na których umieszczono większość obozów. Ostatnie studium Stephena Haggarta i Marcusa Nolanda poucza nas, że to apokaliptyczne wydarzenie, które spowodowało śmierć około miliona osób, „zalicza się do najbardziej niszczycielskich w XX stuleciu”[27]. Była to klęska wynikająca bardziej z wadliwego procesu decyzyjnego rządu oraz błędów systemowych niźli z klęsk naturalnych.

Władze, powolne w reakcji na kryzys – jak to często zdarza się rządom zamkniętym i autorytarnym – w momencie szczytowego nasilenia głodu nie tylko ograniczyły efektywną alokację, monitorowanie i ocenę pomocy humanitarnej, ale całkowicie odcięły całe obszary kraju od rozpaczliwie im potrzebnej pomocy. Działania rządu – a także brak tych działań – nie były bynajmniej bez znaczenia dla rozmiarów klęski głodu i późniejszych niedoborów żywności. Przeciwnie, stanowiły ich główną przyczynę. Odpowiedzialność państwa za tę niezmierną tragedię

podnosi głód w Korei Północnej do rangi zbrodni przeciw ludzkości[28].

Trudności znoszone przez lud koreański w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia były jeszcze dotkliwiej odczuwane w obozach, ale ten głód świadczy o przerażających realiach – że warunki w obozach pracy i poza nimi nie odbiegały zbytnio od siebie, a różnice polegały raczej na stopniu tychże trudności niż ich naturze.

Jak na ironię, to właśnie tragiczny głód ułatwił Kim Yongowi ucieczkę z Korei Północnej do Chin. Jak nam opowiada, głód końca lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy załamał się centralny system dystrybucji żywności, wyzwolił potężną ruchliwość głodujących ludzi, zmuszonych podróżować po okolicy w poszukiwaniu żywności. O ile w przeszłości ludność cywilna potrzebowała zezwoleń na opuszczenie miejsca zamieszkania, o tyle w czasie, gdy w roku 1990 Kim uciekł z obozu, okazało się, że władze centralne nie są zdolne powstrzymać głodujących migrantów ekonomicznych od wałęsania się po kraju, a niekiedy nawet i poza nim w poszukiwaniu środków do życia. Droga, jaką Kim przebył przez granicę chińską, jest typowa dla wielu ekonomicznych dezerterów z Korei Północnej, którzy nadal rozpaczliwie starają się o azyl. Nawet dziś nieudokumentowana liczba Koreańczyków z Północy, którzy znosili gigantyczne cierpienia przez ostatnie piętnaście lat, ucieka z ojczyzny, często przekraczając granicę z Chinami i podążając tym samym szlakiem, którym zmierzał ongiś Kim. Historia Kim Yonga jest powielana, a jego losy podzielają niezliczeni jego następcy.

Los owych uciekinierów, których liczbę – w zależności od źródeł – szacuje się na 100 tysięcy do 400 tysięcy[29], jest niepewny, a ich przyszłość niejasna, przynajmniej jeśli znajdą się w Chinach. Nawet w obliczu uporczywych nalegań społeczności międzynarodowej kraj ten nadal nie uznaje uciekinierów koreańskich za uchodźców, co stwarza potężne wyzwanie dla NGO (organizacji pozarządowych), by pomóc im w dotarciu do bezpiecznego miejsca. Mimo że w październiku 2004 roku Kongres Stanów Zjednoczonych wydał ustawę o prawach człowieka w Korei Północnej (North Korean Human Rights Bill), nie podjęto dotąd konkretnych kroków w celu udzielenia pomocy północnokoreańskim uchodźcom. Nie sposób przesadzić, twierdząc, że zagwarantowanie elementarnych praw człowieka rosnącej liczbie uchodźców północnokoreańskich w Chinach i gdzie indziej, zanim dotrą oni do bezpiecznej przystani, wymaga porozumienia na szczeblu państwowym, z udziałem organizacji międzynarodowych, takich jak Wysoka Komisja do spraw Uchodźców ONZ. Kim miał dość szczęścia, by trafić pod opiekę południowokoreańskich misjonarzy chrześcijańskich, którzy pomogli mu w jego podróży. Ale nie wszystkim uchodźcom tak się powiodło. Zapewne najgorszym nieszczęściem, jakie może się przytrafić uciekinierom z Korei Północnej w Chinach, jest handel żywym towarem. Dotyczy on głównie kobiet. Kobiety z Korei Północnej, które nie mają prawnego statusu w Chinach, często są zmuszane do prostytucji albo bywają sprzedawane rodzinom wiejskim jako kandydatki na żony dla młodych Chińczyków, którym w inny sposób nie udało się znaleźć towarzyszek życia[30]. Ciężka dola czekająca uciekinierów z Korei Północnej pozostanie

w najlepszym razie nieudokumentowana i trzeba będzie wysiłków społeczności międzynarodowej, by położyć kres temu kryzysowi humanitarnemu.

Wielkie ideały socjalistyczne, które miały być podwaliną państwa północnokoreańskiego, zwyrodniały i zmieniły się w ponurą rzeczywistość. Odpowiedzialności za ten kryzys nie ponosi bynajmniej sama tylko Korea Północna – spada ona również na pozostałe państwa, nieprzestrzeganie bowiem praw człowieka i wynikająca z tego migracja polityczno-gospodarcza jest sprawą ponadnarodową. Pod tym względem opowieść Kim Yonga, choć jest przede wszystkim kroniką niepowodzeń państwa północnokoreańskiego, dotyczy również problemów, z którymi ludzkość boryka się przez całą swą historię. Jedynie przyszłość może dać odpowiedź, czy tak drastyczna nieumiejętność w udzieleniu pomocy swemu ludowi doprowadzi do upadku państwa północnokoreańskiego. Teraz możemy tylko poznawać głębię tej narodowej i ponadnarodowej tragedii dzięki poruszającej opowieści Kima.

---

[3] Carter J. Eckert i in. *Korea Old and New. A History*, Ilchongak Publishers and Korea Institute of Harvard University, Seoul Korea 1990, s. 328–329.

[4] Cyt. za: Don Oberdorfer, *The Koreas*, Basic Book, Indianapolis 1997, s. 7.

[5] Dekada lat 1998–2008 była okresem wyjątkowym w dziejach stosunków – tradycyjnie wrogich – między obydwoma państwami koreańskimi, zwłaszcza za prezydentury Kim Dae-junga (1998–

2003), który realizował tzw. politykę słonecznego brzasku (*haetpit jeongchak*). Czerpiąc natchnienie z bajki Ezopa o rywalizacji między wiatrem a światłem słonecznym o to, które z nich zmusi podróżnego do zdjęcia kapelusza z głowy, polityka ta przedkładała pokojowy dialog nad konflikt zbrojny i wzajemne zrozumienie nad wzajemne oskarżenia. Za czasów tej polityki Korea Południowa przejęła inicjatywę w kokietowaniu Korei Północnej. Następny prezydent Roh Moo-hyun kontynuował owe wysiłki i wymiana międzykoreańska wzrosła we wszystkich sektorach. Niemniej „polityka słonecznego brzasku" wzbudziła ostrą krytykę w Korei Południowej, gdyż jej obywatelom nie podobał się brak woli sprzeciwu w kwestiach łamania praw człowieka na Północy oraz stanowisko państwa w kwestii problemu uchodźców, podyktowanego obawą przed pogorszeniem się wzajemnych stosunków.

[6] Charles Armstrong obszernie wyjaśnia, że konflikt kulturowy między obydwoma państwami koreańskimi był w znacznej mierze wynikiem konfrontacji ideologicznej i rywalizacji między Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi – okupantami Północy i Południa – o zdobycie serc i umysłów ludu koreańskiego po obydwu stronach. Patrz: *The Cold War in Korea, 1945–1950*, „Journal of American Studies", 62, nr 19, luty 2003, s. 71–99.

[7] Bruce Cumings, *Korea's Place in the Sun*, Norton, New York 1997, s. 225.

[8] Helen-Louise Hunter, „Society and Its Environment" w: *North Korea:* A *Country Study* (red. Robert Worden), The Library of Congress Research Division (w druku), Washington D.C., s. 270.

[9] Hwang Pong Hyok i Kim Jong Ryol, *DPR Korea Tour*, National Tourism Administration, Pyongyang, 2002, s. 99.

[10] Poświęcony gospodarce rozdział książki Marcusa Nolanda *Avoiding the Apocalypse: The Future of the Two Koreas*, Institute for International Economics, Washington D.C. 2000, s. 59–142, przedstawia niektóre aspekty zabiegów rządu północnokoreańskiego o pozyskanie twardych walut.

[11] Szczegóły nielegalnych działań Korei Północnej w skali globalnej patrz: Balbina Y. Hwang, *Curtailing North Korea's Illicit Activities,* http://www.heritage.org/research/AsiandthePacific/bg1697.cfm#pgfid–104975 (pobrane 23 września 2008).

[12] Hunter, „Society and Its Environment", s. 223.

[13] Charles Armstrong, *The North Korean Revolution 1945–1959*, Cornell University Press, Ithaca NY 2003, s. 72–73.

[14] Hunter, „Society and Its Environment", s. 223.

[15] Richard K. Carton (red.), *Forced Labor in the „People's Democracies",* Mid-European Studies Center, New York 1955, s. 8. Cyt. za: Philip F. Williams, Yenna Wu, *The Great Wall of Confinement: The Chinese Prison Camps Through Contemporary Fiction and Reportage*, Berkeley and Los Angeles 2004, s. 37.

[16] Williams i Wu, *The Great Wall of Confinement*, s. 37.

[17] Williams i Wu, *The Great Wall of Confinement*, s. 41.

[18] W pracy *The Hidden Gulag: Exposing North Korea's Prison Camps* David Hawk przekłada ten termin jako „political penal labor colony" – kolonia pracy karnej dla więźnów politycznych, dla odróżnienia od „prison camp – obóz karny" bądź „concentration camp" – obóz koncentracyjny. *The Hidden Gulag: Exposing North*

Korea's Prison Camps, U.S. Committee for Human Rights in North Korea, Washington D.C. s. 18.

[19] *Kwanliso* w oficjalnej nomenklaturze północnokoreańskiej oznacza „obóz reedukacji poprzez pracę" (przyp. red.).

[20] Ibidem, s. 24

[21] Ibidem.

[22] Ibidem

[23] Hawk dowodzi, że czynnych jest obecnie sześć *kwanliso* – istnienie czterech z nich potwierdza Kim Young, *The Hidden Gulag*, s. 26.

[24] Również Kang Cheol-hwan, który spędził dziesięć lat swego dzieciństwa w niesławnej pamięci Obozie Numer 15 w Yodok w prowincji Hamgyong Południowy, rozwodzi się obszernie o niedostatku pożywienia, powodującym choroby i chroniczne niedożywienie, które sprawiały, że więźniowie, by utrzymać się przy życiu, zjadali wszystko, z wężami i karaluchami włącznie: Kang Cheol-hwan, Pierre Rigoulot, *The Aquariums of Pjongjang: Ten Years in the North Korean Gulag*, Basic Books, New York 2004, s. 105 (wyd. pol.: Kang Czholhwan, *Usta pełne kamieni. Dziesięć lat* w *północnokoreańskim gułagu*, Świat Książki, Warszawa 2005).

[25] Oleg V. Khlevniuk, *The History of Gulag; From Collecitivisation to the Great Terror*, Yale University Press, New Haven 2004, s. 105.

Autor pracy opierał się na oficjalnych danych, które niewiele miały wspólnego z rzeczywistością (przyp. red.).

[26] Williams i Wu, *The Great Wall of Confinement*, s. 87.

[27] Stephen Haggard, Marcus Noland, *Famine in North Korea: Markets, Aid and Reform,* Columbia University Press, New York 2007, s. 289.

[28] Ibidem.

[29] *Failure to Protect: A Call for the UN Security Council to Act in North Korea*, U.S. Committee for Human Rights in North Korea, Washington D.C. 2006, s. 58.

[30] Niniejsza relacja to tylko jedno z licznych zeznań uciekinierek z Korei Północnej, które zmuszano do prostytucji. Patrz „Lifting the Veil: Getting the Refugees Out: Getting Out Message", w: *An Update on the Implementation of the North Korean Human Rights Act,* Joint Hearing Before the Subcommittee on Africa, Global Human Rights and International Operations and the Sumcommittee on Asia and Pacific of the Committee on International Relations House of Representatives, 109th Congress, 1st. Sess, October 27, 2005, s. 22–23; http//www.foreignaffairs.house.gov/archives/109/24202.pdf (pobrano 19 września 2008).

Szlak ucieczki Kima

1. Buchang
2. Stacja kolejowa Pjongjang Zachodni
3. Go-on
4. Chongjin
5. Rajin
6. Unggi
7. Namyang
8. Tumen
9. Yanji
10. Pekin
11. Erenhot
12. Dzamïn Üüd
13. Ułan Bator
14. Seul

ROSJA
CHINY
Władywostok
Tumen
Yanji
Namyang
Unggi
Rajin
Chongjin
N
KOREA
PÓŁNOCNA
Hamheung
Gaecheon (Obóz nr 14)
Anju
Bukchang (Obóz nr 18)
Go-on
Muncheon
Wonsan
Nampo
Pjongjang
MORZE
JAPOŃSKIE
Seul
MORZE
ŻÓŁTE
KOREA
POŁUDNIOWA
JAPONIA
0 50 100 mile
0 50 100 150 km

Szemrzące fale zbliżają się nieskończenie do brzegu, zwilżając czubki mych stóp i nęcąc mój wzrok ku horyzontowi. Za tym horyzontem znajduje się miejsce, które kiedyś nazywałem domem. Po tej stronie oceanu linia brzegowa wydaje się zryta kolorowymi śladami obcych. Dotykane przez morze topią się one tak, jakby nigdy nie istniały. Kiedy obserwuję ten rytmiczny, acz próżny ruch, moje serce, oszpecone bliznami wspomnień, wypełnia tęsknota. Właśnie tak jak w nieskończoność przełamujące się i niemogące cofnąć się fale moje pokawałkowane serce nie może zamknąć tych rozkołysanych wspomnień.

Słońce na niebie topi się od własnego blasku. Przymykam oczy, by spocząć, ale tysiące twarzy pojawiają się nawet wówczas, gdy oczy me nic nie widzą. Od dawna zapomniane nazwiska, ledwie wyczuwalny zapach moich małych dzieci, podmuchy wiatru z ciemnych gór, powolnie poruszające się pociągi, nocna podróż bez końca... gdzie to się wszystko podziało?

Przychodzę zza tysięcy mil. Jestem obcy w obcym kraju, wciąż pełen niepokoju szukający przystani. Przekroczyłem rzekę w świecie podziemnym i widziałem na pustyni słup ognia. Tęskniąc ustawicznie za domem, błąkam się wśród długich cieni rzucanych z oddali. Przywołuję imiona bliskich ongiś przyjaciół, ale nic w zamian nie słyszę. Szepcę imiona mej żony i dzieci, ale oni są tylko uciekającym wrażeniem ciepła i krótkim

wspomnieniem, na moment rozjaśniającym mą obecność po to, by zostawić mnie w tym obcym świecie.

Chwytam garść piachu i staram się poczuć jego ciepło, lecz tylko kurz pozostaje mi na dłoniach – milczące wspomnienie domu, który opuściłem na dobre. Owa pustka każe mi myśleć o obcych, którzy teraz mieszkają w moim starym domu w Pjongjangu. Spacerują po małym ogródku, o który kiedyś dbała moja żona i pozostaje już tylko śladem poprzednich mieszkańców, których życie roztrzaskało się na tysiące kawałków.

Dom jest złudzeniem.

Jestem nieustającym wędrowcem, który nie może uniknąć powracających koszmarów. Dryfuję od brzegu do brzegu.

Los Angeles w Kalifornii w 2008 roku.

Rozdział pierwszy
Dorastanie

Pierwsze wspomnienia

Ale gdzie w takim razie jest mój dom?

Co może mi o tym powiedzieć moja pamięć?

Moim pierwszym domem był państwowy sierociniec w Pjongjangu, gdzie dorastałem pod czułą opieką Wielkiego Wodza Kim Ir Sena, ojca założyciela Korei Północnej. Pierwsze drogie mi wspomnienie wiąże się jednak nie z Wielkim Wodzem, lecz z Kim Hye-hwa, dobrą nianią, która karmiła mnie i opiekowała się mną, zanim jeszcze mogłem to zapamiętać. Ciepłą, kochającą Kim Hye-hwa zawsze otaczała aura skromnej życzliwości. Ta pełna wdzięku kobieta straciła syna niemowlę w czasie wojny koreańskiej, co zawsze przydawało nutę smutku wszystkiemu, co robiła. Zastanawiałem się, czy byłem pierwszym niemowlęciem sierotą, którego zaczęła karmić piersią po stracie własnego dziecka. Czy go jej przypominałem? Nigdy o to nie

zapytałem, ale kiedy brała mnie na ręce, musiała mieć nadzieję, że zapomni o straszliwej pustce, jaka w niej pozostała.

W przeciwieństwie do Kim Hye-hwa pozostałe niańki traktowały sieroty w sposób dość surowy i rygorystyczny. W większości były to stare panny albo wdowy, które straciły swoich narzeczonych lub mężów w czasie wojny. O ile sobie przypominam, przeważająca ich liczba ze smutkiem uświadamiała sobie, że są skazane na życie wśród sierot, bez męskich towarzyszy. Były całkowicie bezlitosne w karaniu krnąbrnych dowcipnisiów, chętne i gotowe dawać klapsy sierotom, które nie zachowywały się przyzwoicie, bądź karać je, odmawiając im zmiany pieluch albo jedzenia. Jednak kiedy przychodziło do wpajania nam ideologii rewolucyjnej, nianie te zmieniały się w pełne surowej powagi kapłanki stojące na straży świątyni żywego boga Kim Ir Sena.

Niebo jest błękitne, czuję się szczęśliwy
I głośno gram na akordeonie.
Kocham moją ojczyznę, w której wszyscy żyją szczęśliwie.
Nasz ojcze, Wielki Wodzu Kim Ir Senie,
Ciepły uścisku naszej partii.

Tekst tej pieśni – pierwszej, której nauczyłem się śpiewać – uszczęśliwiał mnie, budził wiarę i nadzieję w sercu zaniedbanej sieroty. Przypominam sobie, że na słowa „ciepły uścisk” moje małe ciałko przenikał dreszcz rozkoszy – pamiętam, jak za nim zawsze tęskniłem. Ciepły uścisk. Partia. Ciepły uścisk. Jesteśmy szczęśliwi. Nasz Wielki Wódz.

Nianie opowiadały nam o heroicznych podbojach rewolucyjnych Wielkiego Wodza. To oczywiste, że pierwsze zdanie, jakie

nauczyłem się pisać, brzmiało: „Dziękuję ci, Wielki Wodzu Kim Ir Senie”. Słuchając owej rewolucyjnej sagi, my – sieroty – byliśmy zafascynowani Jego silnym i przystojnym wyglądem. Bohaterowi towarzyszyła śliczna i odważna żona Kim Dzong Suk[31], która pomagała mężowi w rewolucyjnych planach z niezachwianym męstwem i poświęceniem. Kiedy spoglądam wstecz, uświadamiam sobie, że przez chwilę nawet nie zwątpiłem, że Kimowie są niezwyciężonymi bogami, którzy sami wybawili naszą ojczyznę od japońskich kolonizatorów i amerykańskich imperialistów. Kierowali oni całym naszym życiem codziennym, patrząc na nas z rozwieszonych na ścianach portretów. Dni urodzin Kim Ir Sena i Kim Dzong Suk – odpowiednio 15 kwietnia i 24 grudnia – były mocno zapadającymi w pamięć świętami, jako że Partia Pracy Korei (*Joseon rodongdang*) zasypywała nas w te dni obfitością jedzenia i szczodrymi podarkami. Sieroty płci męskiej obchodziły swoje zbiorowe urodziny (których prawdziwe daty były im nieznane) w dniu urodzin matki narodu Kim Dzong Suk, a sieroty płci żeńskiej w dniu urodzin ojca narodu Kim Ir Sena.

Po zaprowadzeniu ustroju socjalistycznego rząd północnokoreański skonfiskował majątki właścicieli ziemskich oraz kapitalistów i przekształcił ich własność w zakłady państwowe. Jak mi powiedziano, sierociniec, w którym się wychowywałem, był przed powstaniem Korei Północnej rezydencją bogatego ziemianina. Wszystkie jednak ekstrawaganckie ślady feudalnej przeszłości zostały zastąpione akcesoriami rewolucyjnymi. Czerwona flaga Partii Pracy Korei pokrywała ściany, gdzie kiedyś musiały stać panele, ukazujące kaligrafię

intelektualną, portrety Kim Ir Sena zaś musiały zastąpić subtelne wizerunki kwiatów i motyli malowane tuszem na jedwabiu. Wciąż pamiętam strumień, który przepływał obok sierocińca. Nianie wykorzystywały go do prania i mycia wszystkiego, co umyć i uprać było można i trzeba – ryżu, jarzyn, ubrań i brudnych sierot. Szczodry strumień pozwalał na to, niczego nie żądając w zamian. Całymi godzinami zwykłem wpatrywać się w wodę, miałem wręcz bzika na punkcie tego zawsze czystego strumienia. Kiedy tak stałem o zmierzchu, w chwili zamierania ruchu, przepływ wzniecał w końcu we mnie niepokój i pytania, które mieszały się z prądem. Nie jestem pewien, skąd one się brały i dokąd zmierzały.

Kim jestem?

Skąd przychodzę?

Co przyniesie mi przyszłość?

Strumień zawsze milczał.

Jak każde dziecko w Korei Północnej nauczyłem się zachowań przy stole ukształtowanych przez codzienne rytuały polityczne. Za każdym razem, kiedy nianie przynosiły jedzenie, mówiły, że pochodzi ono od Wielkiego Generała Kim Ir Sena. Musieliśmy złożyć głęboki ukłon przed jego portretem i podziękować mu, nie dotknąwszy nawet jeszcze jedzenia. Ilekroć podnosiłem głowę, Wielki Wódz był tam, na fotografii, wielkodusznie uśmiechnięty, doglądał dzieci, gorliwie przygotowujące się do posiłku.

Nienawiść do tych, którzy odebrali nam wszystko, a świadomość tego, czego byliśmy pozbawieni, wpajano nam dokładnie tak samo, jak uczono nas okazywać Wielkiemu Wodzowi wdzięczność za wszystko, co otrzymywaliśmy. Nianie

wychowywały nas w przekonaniu, że owi wrogowie klasowi ludu pracującego – właściciele ziemscy i kapitaliści – to brzuchate świnie, które wyzyskiwały biedotę i obżerały się po samo gardło, nie myśląc o innych. Wzięliśmy sobie te nauki do serca i poczęliśmy obwiniać wrogów klasowych o wszystko – z brakiem rodziców włącznie. Pewnego dnia nasz sierociniec odwiedził różowolicy mężczyzna z wydatnym brzuszyskiem. Był to Choi Yeong-gon, wicepremier Korei Północnej, który zdradzał wszelkie naturalne oznaki człowieka uprzywilejowanego – dobrze odżywiona postać promieniowała różowym blaskiem, a wypuczone brzuszysko z trudem dźwigał przed sobą. Wielmoża ów ucierpiał wszakże z naszych rąk – rąk nikczemnych, złośliwych dzieci. Kiedy tylko przestąpił próg sierocińca, zaatakowany został przez oburzone sieroty, które obrzuciły go kamieniami i co sił w swych dobrze rozwiniętych płucach wołały: „Precz z brzuchatym właścicielem ziemskim, precz z chciwym kapitalistą, precz z wyzyskiwaczem ludu!". A gdy zbiegły się stropione nianie, by powstrzymać swych dobrze wyszkolonych podopiecznych, łaskawy wicepremier – z pobłażliwym uśmiechem na rumianej twarzy – pod niebiosa wyniósł dzieci za ich zadzierzystego rewolucyjnego ducha.

Och, jakże nienawidziliśmy wrogów, nienawidziliśmy ich z całego serca.

Listę wrogów, których nienawidziliśmy, otwierali Amerykanie.

Po rozpoczęciu nauki w szkole podstawowej my, sieroty, pojechaliśmy na wycieczkę do muzeum przypominającego zbrodnie imperializmu amerykańskiego w Shincheon. Powiedziano nam, że właśnie tu żołnierze amerykańscy

wymordowali około 900 wieśniaków, w tym wiele kobiet z dziećmi. Zaprowadzili bezbronnych cywilów do schronu przeciwlotniczego i tam ich zamknęli. Spędzili oni trzy dni w trwodze, nie mając pojęcia, jaki czeka ich los. Trzeciego dnia żołnierze podłożyli pod budynek ogień i spalili wszystkich żywcem. Muzeum było uroczystym miejscem upamiętniającym ofiary zbrodni popełnionych przez amerykańskie siły lądowe w czasie wojny koreańskiej. Co ważniejsze jednak, było to miejsce przypominające nam, dlaczego powinniśmy nienawidzić Ameryki. W muzeum przedstawiono słowa amerykańskiego dowódcy wydającego rozkaz masakry. Odwiedziłem to miejsce wielokrotnie z wycieczkami szkolnymi – nawet jeszcze w szkole średniej – stąd do dziś pamiętam każdy wiersz rozkazu dowódcy wroga. „Moje słowo jest prawem. Zabijajcie bez litości wszystkich, młodych i starych. Niech wam ręka nie zadrży". Powiedziano nam, że żołnierze amerykańscy odłączyli dzieci od matek i spalili je oddzielnie w składzie amunicji, na wzgórzu. Zabrano nas do mauzoleum i pokazano ściany, w których tkwiły paznokcie ofiar, bo wydając ostatnie tchnienie, pisały na ścianie: „Pomścijże naszą śmierć" i „Amerykanie to nasi arcywrogowie". Przewodnik wycieczki zwrócił nam też uwagę, że biała warstwa na ścianie to tłuszcz ze spalonych ciał ludzkich. Powiedziano nam, że tylko sieroty mają możność obejrzenia tych ścian, gdyby bowiem dopuszczano do tego miejsca zbyt wielu ludzi, dochodziłoby tak wiele światła słonecznego i powietrza, że warstwa tłuszczu uległaby zniszczeniu. Jako jeden z nielicznej garstki uprzywilejowanych świadków ohydnej zbrodni dokonanej przez amerykańskich imperialistów zadrżałem na ten widok. Wszyscy

zrozumieli, że bez odważnego przywództwa Naszego Wielkiego Ojca Kim Ir Sena pozostawalibyśmy jeszcze w jarzmie obcego panowania. Wszyscy poczuli, że głęboka nienawiść do Amerykanów rychło przeradza się w równie głęboką miłość do naszego ojca. W naszych sercach i umysłach wezbrał zachwyt dla Tego, który czuwa nad naszym bezpieczeństwem i godnością ojczyzny.

Generalnie rzecz biorąc, sieroty wojenne traktowano dobrze, postrzegano je bowiem jako dzieci męczenników, którzy poświęcili się dla obrony ojczyzny. Państwo dbało o to, by do sierocińców trafiały wyłącznie dzieci o znakomitym pochodzeniu klasowym – z rodzin żołnierzy, robotników i bezrolnych chłopów. Pewnego dnia jeden z moich bliskich przyjaciół został zabrany przez biologiczną matkę. Wszystkie sieroty bardzo mu zazdrościły, ale później w moim życiu miałem nieszczęście spotkać go w obozie pracy karnej. Powiedział mi, że wkrótce po zabraniu go z sierocińca całą jego rodzinę zesłano do obozu. Jedyną zbrodnią, jaką popełnili, było złe pochodzenie klasowe – za japońskich rządów kolonialnych byli właścicielami ziemskimi. Jego matka przeczuwała zbliżające się nieszczęście i chciała go przed nim ustrzec, podając swego syna za sierotę, ale – na nieszczęście – ten rozpaczliwy plan uratował sytuację tylko na pewien czas.

Sierociniec nie zawsze był miejscem bezpiecznym, nawet dla w pełni wyrośniętych. Przypominam sobie, że w mojej klasie, która składała się w przeważającej mierze z dziewięciolatków, był dwudziestopięcioletni sierota. Do sierocińca trafił po wojnie, jako nastolatek, i tkwił tam bezczynnie, nie znajdując przybranych rodziców ani nie ucząc się żadnego zawodu. Niewykluczone, że był

nieco ociężały umysłowo i z tej właśnie przyczyny nikt go nie adoptował; w końcu stał się starszy nawet od niektórych naszych niań. Frustracjom swym lubił dawać upust, bijąc maluchy. Duży to on był, ale i wrogów miał wielu, a przyjaciół wcale. I stało się, że pewnego dnia owi malcy, ze mną włącznie, połączyliśmy nasze siły, czekając na jego wejście do sali lekcyjnej, po czym zarzuciliśmy na giganta koc i obaliliśmy go malutkimi piąstkami. Samotny potwór jęczał, a jego pulchne ręce i nogi bezradnie wyciągały się w próbie oporu. Ruszyliśmy kolektywnie, by powalić naszego wroga, i zwyciężyliśmy – jakby na dowód słuszności rewolucyjnej nauki, którą nam wpajano, o tym, jak mały lud może pokonać silnego nieprzyjaciela, jeśli działa jak jedna rodzina.

Prawdą jest też, że jako zażarci rewolucjoniści nigdy nie wahaliśmy się sprawiać kłopotów innym. Każdy z nas szybko nauczył się walczyć w obronie własnych spraw, co niekiedy pociągało za sobą tworzenie grup o zbliżonym pochodzeniu i interesach. W latach pięćdziesiątych XX wieku Korea Północna wysyłała grupy sierot za granicę, do innych krajów komunistycznych, takich jak Chiny i Rumunia, traktując to jako gest przyjaźni umacniający międzynarodowy socjalizm[32]. Koreańskie sieroty, które spędziły jakiś czas za granicą, były po powrocie do kraju bardzo aroganckie. Nadęte pozerstwem i poczuciem własnej wyższości tworzyły elitarne kółka, do których dopuszczały tylko swoich. Zazdrościłem zwłaszcza tym, którzy spędzili czas jakiś w Chinach, ponieważ przywozili stamtąd skrzące się złotą farbą długopisy z lśniącą miniaturową kulką na końcu. Kiedy te wysłane do Chin sieroty spostrzegły pełne podziwu spojrzenia zazdrośników, zaczęły przechwalać się, jak to

władze chińskie sprezentowały im te przepiękne podarki i ściskały im dłonie przed powrotem do Korei Północnej. My, sieroty rodzime, mnie nie wykluczając, aż do bólu pożądaliśmy ich cennej własności magicznie lśniącej kolorami. Nic a nic nie wydawało się wartościowsze i bardziej pociągające od owych długopisów. W celu ukrycia naszej zawiści obrzydzaliśmy grupie chińskiej życie, bezustannie prowokując jej członków do bójek. Mimo powodujących łzy kar cielesnych, wymierzanych nam przez nianie, bez przerwy trwały bójki między „frakcją rumuńską" i „frakcją chińską", a także między „stronnictwem krajowym" i „stronnictwem cudzoziemskim".

W nielicznych wszakże wypadkach sieroty były rzeczywiście zjednoczone. Dzieci z naszego sierocińca czasami brały udział w zawodach sportowych, gdzie rywalizowały w zawodach piłki nożnej i biegach z dziećmi z innych szkół lub ośrodków pobytu dziennego. Kiedy rodzice tych dzieci zagrzewali je do boju okrzykami, serce kroiło mi się z niezmiernego smutku, a całe ciało przeszywał ból. Za każdym razem, gdy słyszałem, jak głosy starszych wywoływały imiona naszych rywali, nogi moje traciły całą siłę i ulegały tym, których twarze radośnie promieniały. Mamusie i tatusiowie wspierali te małe gnoje! Mamusie i tatusiowie... po prostu nie było żadnego sposobu, bym mógł walczyć z miłością i troską, jakie otaczały tamtych. Nie było niczego boleśniejszego niż świadomość, że my, sieroty, nie mamy nikogo, kto by nas dopingował. Ból ten łatwo obracał się w gniew. Kiedy wspomniani rodzice znikali z pola widzenia, braliśmy w garście kamienie i ciskaliśmy nimi w tych szczęśliwych gówniarzy. Uczyniłbym wszystko, by zaskarbić sobie miłość

rodziców, którzy by mnie wspierali. Nigdy nie spotkałem moich rodziców, ale wiedziałem, że byliby tak samo mili i kochający jak tamci, których ukradkiem obserwowałem z drugiej strony boiska piłkarskiego. Na pewno musieliby być tacy mili i kochający, gdyby byli moi.

Pani Matka

W końcu, po tylu cyklach nadziei i rozczarowań – nadziei na posiadanie miłych i kochających rodziców, i rozczarowań z racji uświadomienia sobie ich braku – przyszła moja kolej na nieprzewidziane szczęście. Było to pewnego chłodnego, listopadowego popołudnia. Późnojesienny wiatr owiewał moje palce, kiedy na dziedzińcu sierocińca podczas przerwy obiadowej grałem na trąbce. Szykowna czarna pobieda[33] wjechała na dziedziniec i zaparkowała w jednym z rogów. Szofer w eleganckiej liberii wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwiczki wozu, z których wyłoniła się atrakcyjna kobieta tuż po trzydziestce, w czarnych błyszczących bucikach i doskonale skrojonym płaszczu tejże barwy, z futrzanym kołnierzem. Zelektryzowało mnie pojawienie się w naszym sierocińcu kogoś tak eleganckiego. Nigdy dotąd nie widziałem dorosłej kobiety, którą otaczałaby aura skończonej wytworności. Kiedy tak stałem, patrząc na nią z nieukrywanym zachwytem, nasze oczy zetknęły się na chwilę, a ona spostrzegła mój niewinny podziw. Dama stanęła na boisku i zaczęła taksować wzrokiem malców. Profil miała prosty, acz

chłodny, kiedy rzucała długie, mroczne spojrzenia na dzieci, w większości nieświadome jej natarczywego wzroku.

Kiedy – drżąc lekko z zachwytu – wracałem do sali lekcyjnej na drugą połowę zajęć szkolnych, zauważyłem, iż owa niezwykła dama rozmawia z nauczycielką. Kiedy wszyscy usiedli, nauczycielka kazała mi i dziewczynce o imieniu O., o rok ode mnie młodszej, wystąpić na środek klasy. Co też uczyniliśmy, stając przed frontem całej pięćdziesięcioosobowej grupy. Poczułem, że kręci mi się w głowie, kiedy dama w wykończonym futerkiem płaszczu przypatrywała nam się bacznie z tylnego rzędu ławek wprawnym okiem selekcjonera kurczaków. Co to wszystko znaczy? Nie byłem tego pewien, ale czułem, że przed mymi oczyma rozgrywa się coś niezwykle ważnego. Kiedy uświadomiłem sobie, że poddawany jestem badaniu, serce zaczęło bić mi coraz szybciej. Po chwili nauczycielka kazała nam wracać na swoje miejsce i tego dnia nic nadzwyczajnego już się nie zdarzyło.

Kilka dni później nauczycielka powiedziała O. i mnie, że przyjechała do nas w odwiedziny matka.

Matka?

Nasza matka?

Serce przeszył mi ostry ból, a zarazem radość.

Kiedy wszedłem za nauczycielką do jej gabinetu, czekała tam już na nas ta sama elegancka dama. Nauczycielka powiedziała O. i mnie, że jesteśmy bratem i siostrą, a ta dama to nasza matka, która w końcu nas odnalazła. Następnie nauczycielka kazała nam się umyć i przebrać w nowe ubrania, które przywiozła nam „matka". Wszystko to wydarzyło się tak nagle! Nauczycielka

oczekiwała od nas, że się spakujemy i odjedziemy z tą damą. Miałem dopiero dziewięć lat i w głębi serca wierzyłem, że moją prawdziwą matką jest Kim Hye-hwa, niania, która karmiła mnie piersią. Czy to wszystko naprawdę mi się przytrafiło? Kiedy O. i ja mieliśmy już opuścić budynek razem z ową damą, Kim Hye-hwa rozpłakała się i powiedziała mi, że cieszy się, iż w końcu odnalazłem swoją prawdziwą matkę, i prosiła mnie, bym był dla niej dobrym synem. Uśmiechała się do mnie blado przez łzy i trzymała moje dłonie w swoich tak mocno, że niemal chciałem je wyrwać. Dyrektor sierocińca zgromadził wszystkie dzieci na dziedzińcu i obwieścił im, że jeśli będą pilnie się uczyć, to pewnego dnia i po nich przyjadą ich prawdziwi rodzice. Ileż to razy wzywany byłem na takie zgromadzenia i zżerany niemożliwą do opisania zawiścią i bólem widziałem, jak rodzice zabierają inne dzieci. Po każdej takiej chwili biegłem do strumienia, który płynął za sierocińcem, by wypłakać się i wylać z siebie smutek. Teraz jednak nadeszła moja kolej, by stanąć przed frontem tych zazdrosnych twarzy. A moja matka to nie pierwsza lepsza matka! Matka wygląda jak z innego świata i jeździ lśniącym czarnym sedanem... no to po prostu zdumiewające! Zająłem miejsce na tylnym siedzeniu mile pachnącego auta produkcji rosyjskiej, wciąż oszołomiony szybkim następstwem wydarzeń; świadom byłem tylko tego, że właśnie opuszczam miejsce, które przez całe swe życie nazywałem domem. Kiedy samochód wyjeżdżał z sierocińca, ujrzałem liczne nakładające się na siebie twarze, jak w fotomontażu – nasiąkła łzami twarz mojej słodziutkiej niani Kim Hye-hwa, surowe oblicza zwolenniczek twardej dyscypliny

i smutne twarzyczki moich drogich wspólników, którzy zjednoczyli swe siły, by obalić na ziemię głupawego goliata.

W czasie tej niezwykłej podróży do domu matka odwracała się z przedniego siedzenia, by przyjrzeć się mnie i mojej nowo odkrytej siostrze O., która również musiała gubić się w domysłach.

– Było mi naprawdę smutno, że straciłam was w czasie wojny. Szukałam was wszędzie, po całym kraju, a teraz mam was oboje. Pragnę szczodrze obsypać was wszystkim, cokolwiek zechcecie – zabawkami, ubraniami, słodyczami, musicie mi tylko powiedzieć, czego sobie życzycie.

Słuchałem jej jakby w półśnie, a tymczasem czarny sedan zaparkował przed starym dwukondygnacyjnym domem w stylu radzieckim. Później dowiedziałem się, że dom ten mieścił się w ekskluzywnej dzielnicy Namsan u stóp wzgórza Mansu (*Mansudae*) w Pjongjangu, gdzie mogli mieszkać wyłącznie ludzie uprzywilejowani. Kiedy samochód zatrzymał się, z domu wyszedł nam na powitanie korpulentny mężczyzna z wielkim brzuchem, dokładnie takim samym, jaki miał prześladowany swego czasu przez sieroty wicepremier, i powiedział, że nie jesteśmy już dłużej sierotami i pod jego opieką nie musimy już o nie walczyć. Zdaniem naszej „matki” ów dziwny, acz miły mężczyzna był naszym „ojcem”. O. i ja byliśmy wprost zdumieni. Mężczyzna wprowadził nas do domu przez ciężkie drzwi wejściowe, niosąc w obu rękach nasze malutkie zawiniątka. Przeszliśmy przez mroczny hall i podążyliśmy za nim drewnianymi schodami. Ojciec zaprowadził nas do naszych pokojów na piętrze. W moim pokoju stało biurko, bieliźniarka, znajdowały się w rogu schludnie

złożone koce – a wszystko to wyłącznie dla mnie! W sierocińcu nigdy nie miałem nic, co mógłbym nazwać „swoim”, wszystko było wspólną własnością. Wydawało mi się cudem, że mogłem nazwać te rzeczy moimi i owo silne poczucie cudowności było wyznacznikiem nowego rozdziału mego życia.

Dzieci z Namsan

Okazało się, że mój ojciec jest wysokim rangą dygnitarzem Partii Pracy, rządzącej w Korei Północnej. Do pracy dojeżdżał nowym sedanem produkcji rosyjskiej – wołgą, co było widomą oznaką jego statusu. Moja matka była kierowniczką domu towarowego we wschodnim Pjongjangu, gdzie można było znaleźć praktycznie wszystko. Z racji jego rozmiarów i bogactwa dostępnych produktów nazywano go potocznie „sklepem stumetrowym”; jego wielka fasada istotnie rozciągała się na przestrzeni stu metrów, od jednej przecznicy do kolejnej. Wiele razy widziałem, jak matka przynosi do domu paczki pieniędzy i wkłada je do wielkiego sejfu, skądinąd i tak już dobrze napchanego. Nie miałem pojęcia, skąd się one biorą, ale niekiedy widziałem plecaki wypchane banknotami w bieliźniarce, skąd brałem sobie ich paczkę, jeśli były mi potrzebne na jakieś osobiste wydatki.

W nowym gospodarstwie domowym nie odczuwało się niedostatku. Wszystkiego było w bród. Mnóstwo jedzenia, mnóstwo zabawek, mnóstwo ubrań i mnóstwo zamożnych gości, którzy je nawiedzali. Wszyscy goście przynosili ze sobą coś dla

dzieci – już to słodycze, już to pieniądze na drobne wydatki albo inne rzeczy – sami zaś prosili naszych rodziców o drobne grzeczności i usługi: zarekomendowanie ich synów i córek do awansu w hierarchii partyjnej, zatrudnienie krewnych w domu towarowym, zarezerwowanie niektórych towarów z tego domu towarowego dla nich samych, itd., itp. Wydawało się więc, że mam wszystko, co potrzebne dla szczęśliwego dzieciństwa – duży, wygodny dom, zajętych, ale wpływowych rodziców i prestiż wynikający z przynależności do potężnego kręgu dzieci, których rodziny rządziły krajem. Osobliwie radosne wspomnienia z tego okresu wiążą się z moim pierwszym zwierzęciem domowym. Zaraz po wojnie zwierzęta domowe były wśród północnokoreańskiej ludności miejskiej zjawiskiem niezmiernie rzadkim; spotykało się je nieco częściej dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych w kręgu zamożnych Koreańczyków z Północy. Mnie poszczęściło się o tyle, że w czasie straszliwej powodzi uratowałem małpę z zoo. Całą ludność cywilną, włącznie z młodzieżą szkolną, zmobilizowano do uprzątnięcia bałaganu, jaki pozostawiła po sobie powódź. Moja klasa skierowana została do ogrodu zoologicznego. Na szczycie dachu metalowej klatki ujrzałem małpę, która próbowała pozostać z dala od wilgotnego gruntu. Wszystkie inne zwierzęta już ewakuowano i nie wiedziałem, dlaczego akurat to jedno pominięto, ale zabrałem małpę do domu i wychowywałem z miłością i troską. Małpa stała się przyjacielem i moim pojętnym uczniem. Spała ze mną każdej nocy, a niekiedy czyściła mi uszy swymi zręcznymi paluszkami. Byłem tak dumny z tej małpy, że niekiedy zabierałem ją na przejażdżkę autobusem. Z reguły siedziała mi spokojnie na

ramieniu, przewracając oczami i kręcąc głową, gdy obserwowała ludzi w pobliżu. Pewnego razu jakieś dziecko obok mnie jadło ciasteczka. Małpa siedziała spokojnie i przez jakiś czas badała to dziecko, a potem nagle wyrwała mu ciastko z ręki. Mała małpka była zabawnym stworzonkiem, ale i niezłym chuliganem. Niepokoiło mnie to. Oddałem ją do ogrodu zoologicznego po kilku miesiącach zażyłej przyjaźni.

Moje stosunki z O. układały się bez zarzutu. Naprawdę wierzyłem, że jest moją młodszą siostrą, broniłem jej więc przed złośliwymi chłopcami z sąsiedztwa. Czasami przychodziła do domu z płaczem, a wtedy zapewniałem owym małym dręczycielom stosowną porcję gorzkich łez. Wszystkie dzieci z mojej okolicy miały wysoko postawionych rodziców – wicepremierów i bojowników rewolucyjnych – i były starannie osłonięte przed każdym, najmniejszym nawet nieszczęściem. Do grupy dzieci, które później poznałem, należała Go Sin-ja – siostra Go Yeong-hee, a później trzecia żona Kim Dzong Ila. Go Sin-ja była starsza i troszczyła się o mnie tak, jakbym był jej młodszym bratem. Większość dzieci z okręgu Namsan miała świadomość swej uprzywilejowanej pozycji – stąd brała się ich arogancja, wiele z nich jednak było po prostu rozpieszczonymi smarkaczami, pozbawionymi wszelkiego pojęcia o rzeczywistości. Niektóre z nich, ledwie podrośnięte, przejawiały już zainteresowanie sprawami seksualnymi; oglądały pochodzące z Japonii filmy pornograficzne, które ich rodzice beztrosko zostawiali w zasięgu ręki swoich pociech. Niektóre z tych dzieci rozpoczęły już życie płciowe, co uznać wypada za zaskakujące, zważywszy na rygorystyczną w tej mierze kulturę seksualną społeczeństwa

północnokoreańskiego. Kiedy rodzice wychodzili, dzieci te zbierały się w dobrze chronionych prywatnych rezydencjach, by pić, palić i miewać przygody erotyczne. Nawet jeśli je na tym przyłapano, ze względu na wysoko postawionych rodziców nikt nie mógł ich ukarać. Dzieci z Namsan walczyły niekiedy ze swymi nieuprzywilejowanymi rówieśnikami z drugiego brzegu rzeki Tedong w krwawych chuligańskich potyczkach. W bitwach tych brało udział dosłownie około tysiąca dzieci, które nosiły pałki z tyłu spodni. Uczestników było tak wielu, że musieliśmy formować się w pułki tak, jakbyśmy przygotowywali się do prawdziwej bitwy. Mimo że byliśmy młodzi, umiejętności organizacyjne nabyliśmy na trwającej budowie wieży telewizyjnej w rejonie wzgórza Mansu w Pjongjangu. Było to wielkie przedsięwzięcie budowlane i do udziału w nim skierowano również całą młodzież szkolną – bogatą i biedną, uprzywilejowaną i nie. Zorganizowani zostaliśmy w grupy, które się wymieniały, i tam nauczyliśmy się, jak kierować ludźmi i pracować zespołowo. Doświadczenie to okazało się szczególnie przydatne w walkach grupowych, gdzie łączność i współpraca są kluczem do zwycięstwa. Kiedy takie starcia wybuchały, policja dzielnicowa pojawiała się, by aresztować uczestników, ale w istocie funkcjonariusze nie ścigali niestrudzonych wichrzycieli z uprzywilejowanej dzielnicy Namsan. Zbyt dobrze wiedzieli, kto przyjdzie im na odsiecz, gdyby zostali aresztowani, tak że niewiele więcej mogli zdziałać poza łagodnym upomnieniem.

Świat dzieci z naszej dzielnicy był miniaturą świata dorosłych. Obserwując, jak zachowują się inne dzieci, nie trzeba było wiele czasu, by poznać hierarchię. Chociaż byłem odważny, nie rzucałem

wyzwania dzieciom, których rodzice zajmowali wyższe stanowiska niż moi. Ale kiedy od czasu do czasu hierarchia wśród dzieci uległa rozchwianiu i wybuchał konflikt, zawsze w taki czy inny sposób powodowało to reperkusje wśród rodziców. Gdy zaś całą rodzinę oskarżono o antyrewolucjonizm, oznaczało to dla niej napiętnowanie przez wspólnotę. Jeśli w tej rodzinie były dzieci, moi przyjaciele i ja gwarantowaliśmy im niezły wycisk. Prześladowana rodzina wkrótce znikała z sąsiedztwa, by nigdy doń nie powrócić. Pewnego dnia rodzina jednego z mych bliskich przyjaciół, Cheola, została aresztowana za antyrewolucjonizm i zesłana do obozu pracy karnej. Ale dziesięcioletni Cheol, gdy dokonano aresztowania, bawił się w domu jednego z przyjaciół. Nazajutrz został ujęty przez policję i wysłany do obozu, gdzie dołączył do swej rodziny. Dla niego jednak męka zaczęła się już w Pjongjangu, dzieci z sąsiedztwa bowiem obiły go i połamały mu ręce, oskarżając o to, że jest synem antyrewolucjonisty. Mimo że nie brałem w tym udziału, nie odczuwałem żadnej skruchy, myśląc, że bicie dobrze mu zrobi. Nie miałem też żadnych wątpliwości, że członkowie jego rodziny byli zatrutą cząstką naszej Ludowo-Demokratycznej Republiki i zasłużyli na karę. Wszystkie dzieci, które były świadkami takich zdarzeń, nigdy nie miały wątpliwości w kwestii zbrodni aresztowanych rodzin.

Kiedy dzieci z dzielnicy Namsan szły do szkoły średniej, większość z nich musiała uporać się z presją, jaką stwarzała konieczność przygotowania się do egzaminów wstępnych do szkół wyższego szczebla. Mieli wprawdzie wysoko postawionych rodziców, którzy zabezpieczali dobrą przyszłość, mimo to chcieli dostać się na prestiżowe uniwersytety, a to wymagało wiele czasu

na przygotowanie się. Ja – choć rozrabiaka i dowcipniś – również chciałem odnieść sukces i sprawić przyjemność moim rodzicom. W owym czasie uczęszczałem na zajęcia do Pałacu Dzieci i Młodzieży na wzgórzu Mansu (*Mansudae sonyeon gungjeon*), gdzie uprawiałem różne dyscypliny sportowe. Cóż to było za cudowne miejsce! Miałem szczególne predyspozycje do dżudo. Pałac Dzieci i Młodzieży realizował program naboru i szkolenia utalentowanej młodzieży, która rokowała nadzieje na karierę w muzyce, tańcu i lekkiej atletyce. Szkolono tam wyłącznie dzieci o nieposzlakowanym – wedle kryteriów północnokoreańskich – pochodzeniu społecznym, czyli musieli to być potomkowie żołnierzy rewolucji, chłopów i robotników. Go Yeong-hee, trzecia żona Kim Dzong Ila, również uczyła się w Pałacu Dzieci i Młodzieży, a później została tancerką w zespole teatru muzycznego Pibada[34]. Wiedza, cnota i siła – cechy te nieustannie wpajano uczniom Pałacu Dzieci i Młodzieży i konsekwentnie ich od nich wymagano. Nigdy nie miałem szczególnych skłonności do dyscyplin akademickich, stąd też kryterium wiedzy nie kwalifikowało mnie na studenta. Jeśli chodzi o cnotę, to byłem zbyt młody, by zrozumieć sens tego pojęcia. Później jednak społeczeństwo, w którym żyłem, zdefiniowało ją jako lojalność wobec Wielkiego Wodza, mogę zatem powiedzieć, że byłem dzieckiem cnotliwym i prawym. Za mocne moje strony mogłem jednak bezsprzecznie uznać siłę i sprawność fizyczną. Nie byłem wprawdzie ani zbyt wysoki, ani silny, każdy jednak obawiał się mnie ze względu na niezłomność ducha. Powaliłem wielu przeciwników – niektórych na macie, innych na ulicach. W większości wypadków byli ode mnie wyżsi i roślejsi. Życie

w sierocińcu nauczyło mnie jednak cennej sztuki, i to już w bardzo młodym wieku – umiejętności przetrwania; zdolności oceny, kiedy rzucić wyzwanie przeciwnikowi i jak zadośćuczynić sojusznikom. Dzięki niej górowałem znacznie nad większością rówieśników chowanych w domach rodzinnych, którzy wraz ze mną uczęszczali do Pałacu. Byłem ulepiony z innej gliny – nieustraszony, inteligentny – na cwaniacki sposób dziecka bezczelny i zuchwały. Dzieci z sąsiedztwa bały się mnie i zarazem podziwiały. Nie obawiałem się niczego, a cały świat zdawał się sprzyjać moim nadziejom.

Prawda wychodzi na jaw

– Powinnaś bardziej troszczyć się o te dzieci, nawet jeśli nie wyszły z twojego brzucha. Ostatnio wydajesz się tak od nich daleka, tak wobec nich chłodna – przypadkiem usłyszałem pewnego wieczoru, idąc po schodach do swego pokoju, głos ojca dobiegający zza zamkniętych drzwi małżeńskiej sypialni na parterze.

Moje serce natychmiast stanęło. Z powodu O. i mnie ojciec sztorcował matkę. Żywo przypominam sobie, że matka była w kwiecie wieku, promieniejąca zdrowiem i urodą. Ledwie miesiąc temu wszyscy członkowie rodziny byli radośnie podnieceni, dowiadując się o jej ciąży, a ja właśnie zaczynałem naukę w gimnazjum. Minęły cztery lata od chwili, gdy matka odnalazła nas i przywiozła do domu, w którym chowano mnie na

beztroskie i pełne ufności dziecko, cieszące się życiem i perspektywą świetlanej przyszłości. Poczucie doskonałego świata rozpadło się teraz w milczeniu. Cały zdrętwiałem i niekontrolowane łzy pociekły mi po policzkach. Owładnęło mną silne poczucie zdrady. Do tej chwili szczerze wierzyłem, że jest moją prawdziwą matką. Przed oczami przewinął mi się dzień, w którym przyjechała do sierocińca elegancką, czarną pobiedą. Jak to mogło być? Dlaczego skłamała?

Kilka lat później zrozumiałem, dlaczego na kilka lat trafiłem do tej rodziny. Wypełniała ona po prostu polecenie Wielkiego Wodza – Kim Ir Sena, który kazał przywódcom partyjnym przysposabiać sieroty wojenne i wychowywać je tak, jakby to były ich własne dzieci. Moi rodzice adopcyjni byli młodymi członkami partii; mieli przed sobą świetlaną przyszłość, nie mogli więc sobie pozwolić na zignorowanie polecenia Kim Ir Sena, co byłoby równoważne z zaprzepaszczeniem wszelkich szans na sukces. Dokonawszy więc przeglądu sierot, wybrali sobie chłopca i dziewczynkę i troszczyli się o nich tak, jak życzył sobie tego Wódz.

Dopóki matka nie zaszła w ciążę, dobrze dbała o nas. Byłem rzeczywiście dzieckiem szczęśliwym i – mimo że od czsu do czasu coś zbroiłem – posłusznym. Wszystko zmieniło się jednak. Kiedy prawda wyszła na jaw, nie byłem już tym samym chłopcem. Rodzice szybko zauważyli, że mam problemy, i musieli domyślić się ich przyczyny. Ale otwarcie tematu tego w rozmowach nie poruszaliśmy. Po zakończeniu roku szkolnego zapisałem się na dodatkowe zajęcia w Pałacu Dzieci i Młodzieży. Przestałem wracać do domu – nocowałem u przyjaciół albo w parku. Pewnego razu jednak policja obudziła mnie i odwiozła. Tej nocy odbyłem

rozmowę z ojcem. Spytał mnie, czy byłbym zainteresowany nauką w Szkole Rewolucyjnej (*Hyeokmyeong hakwon*), gdzie obiecujących uczniów kształci się w obozie urządzonym na wzór jednostki wojskowej na elitarnych przywódców Korei Północnej. Było boleśnie oczywiste zarówno dla moich rodziców, jak i dla mnie, że w najlepiej pojętym interesie nas wszystkich leży, bym jak najszybciej opuścił dom. Potem nigdy już nie widziałem moich adopcyjnych rodziców.

Nie jestem pewien, czy O. zorientowała się, co się święci, kiedy postanowiłem opuścić dom, w każdym razie została z tą rodziną do czasu, kiedy wyszła za mąż i założyła własną rodzinę. W dniu, kiedy spakowałem się i wyjechałem do Szkoły Rewolucyjnej, serce bolało mnie tak bardzo jak wówczas, gdy żyłem w sierocińcu i na zawodach sportowych zazdrościłem dzieciom, które miały rodziców.

Znów byłem zdany na własne siły.

Kiedy samochód podjeżdżał pod bramę szkoły, cały płonąłem z przemożnej żądzy dowiedzenia się czegoś o moich prawdziwych rodzicach. Kim byli? Żyją czy zmarli? Dlaczego znalazłem się w tym, a nie innym sierocińcu? Byłem tu znów, samotny na tym świecie z pytaniami, na które nie umiałem odpowiedzieć.

Szkoła Rewolucyjna

Szkoła Rewolucyjna była specjalną placówką oświatową, zajmującą się kształceniem i szkoleniem nastolatków o dobrym

pochodzeniu klasowym w warunkach zbliżonych do regularnej służby wojskowej. Z perspektywy czasu widzę, że było to przerażające miejsce dla dzieciaka mającego mętlik w głowie i mnóstwo pozytywnej energii, ale żadnego pojęcia, jak tę energię utrzymać i ku czemu ją skierować. Było to miejsce dla młodych ludzi przejawiających cechy przywódcze. Wszyscy uczniowie mieli nieposzlakowane – wedle standardów północnokoreańskich – pochodzenie klasowe; byli dziećmi rewolucyjnych partyzantów bądź członków oddziałów antyjapońskich z czasów rządów kolonialnych. Ja byłem sierotą, a mój adopcyjny rodzic miał dobre pochodzenie społeczne, stąd byłem naturalnym kandydatem do tej uczelni. Wszyscy nosiliśmy mundury wojskowe i żyliśmy razem w oddziałach na wzór plutonów wojskowych, tymczasem inni uczniowie szkół średnich ubierali się po cywilnemu i mieszkali ze swymi rodzinami. Smutek po ujawnieniu prawdy o adopcji rozproszył się nieco, gdy wręczono mi fabrycznie nowy mundur wojskowy. Ach, te lśniące guziki schludnie przyszyte do szkarłatnych wyłogów kurtki! Ten lekki zapach benzenu, kiedy niepokalanie dotąd złożony uniform powierzono moim gorliwie czekającym ramionom. Ten dreszcz nakładania przepięknej czapki na ogoloną głowę! Podniecenie wzrosło jeszcze, gdy oficer wyjaśnił nam, że różnica między naszymi mundurami a mundurami regularnej armii jest minimalna – błyszczące guziki naszych uniformów opatrzone są małym znaczkiem „uczeń”.

Ranki spędzaliśmy na nauce, popołudnia zajmowała nam musztra. Państwo północnokoreańskie dbało o komfortową przyszłość strategów wojskowych. Większość moich kolegów

z roku w Szkole Rewolucyjnej zajmowała później ważne stanowiska w północnokoreańskich siłach zbrojnych. Często urządzano nam wyprawy albo wycieczki. Każde dziecko w Korei Północnej musi wziąć udział w pielgrzymce upamiętniającej naszego Wielkiego Wodza Kim Ir Sena. Mówiono nam, że kiedy Wielki Wódz miał dwanaście lat, przeprawił się przez rzekę Aprok i przebył pieszo 1000 li[35], by móc się uczyć, a kiedy skończył czternasty rok życia, ponownie przemaszerował 1000 li, z Mangyenogdae[36] do Samjieon[37], by zjednoczyć swoją ojczyznę. Były to godne uwagi osiągnięcia jak na chłopca w tym wieku, ale nasz Wielki Wódz od najwcześniejszych lat życia okazywał niezwykłą wytrwałość i determinację, które to cechy powinniśmy naśladować – powiedział nauczyciel. Dzieci corocznie brały udział w pieszej pielgrzymce – pokonywały tę samą odległość, jaką nasz Wódz przebył, będąc w tym samym co my wieku. Naklejaliśmy rewolucyjne maksymy Wielkiego Wodza na plecakach uczniów idących przed nami, tak, byśmy mogli uczyć się ich w czasie marszu. Nie wszystkie dzieci z obszarów wiejskich mogły brać udział w pielgrzymce. Uczestników marszu do Pjongjangu musiały wybrać i upoważnić do wzięcia udziału ich szkoły. Było to największe ze wszystkich świąt, mimo że pod koniec wędrówki stopy mieliśmy otarte do żywego ciała, a paznokcie sine. Skoro jednak nasz Wielki Wódz podołał temu zadaniu, musimy podołać mu i my, jeśli chcemy nieść jego przesłanie i wypełnić jego wolę zjednoczenia Korei.

Podobnie jak to było w sierocińcu, uczniom kazano szanować i czcić Wielkiego Wodza Kim Ir Sena jak rodzonego ojca. Każdy dzień zaczynaliśmy od czyszczenia jego portretu – musieliśmy

zdejmować go ze ściany i odkurzać na świeżym powietrzu, nawet w środku zimy, kiedy ręce nam zamarzały. Kiedy spadł śnieg, zabierano nas do posągów Kim Ir Sena z zadaniem usunięcia śniegu wokół nich, by goście mogli oddać cześć Wielkiemu Wodzowi. Przy ładnej pogodzie wycieraliśmy nawet ziemię wokół posągów wilgotnymi ściereczkami. Nauka w stylu wojskowym odpowiadała mi bardzo, ponieważ kładła nacisk na hierarchię i dyscyplinę. Za domem, który przyszło mi opuścić, nie tęskniłem wcale. Od czasu do czasu moi adopcyjni rodzice dzwonili do nauczycieli, żeby dowiedzieć się, jak sobie radzę, nigdy jednak nie odczuwałam żadnej potrzeby spotkania się czy też rozmowy z nimi. Pod koniec drugiej klasy gimnazjum stałem się już małym mężczyzną. Tak samo jak w wojsku uczniowie podzieleni zostali na pułki, którymi dowodzili uczniowscy przywódcy. Każdy nowy uczeń miał starszego mentora, który odgrywając rolę adopcyjnego rodzeństwa, pomagał mu się zaadaptować – prowadził go przez okres pobytu w Szkole Rewolucyjnej. Moją mentorką była uczennica o imieniu Z., która musiała mieć około siedemnastu lat, kiedy wzięła mnie pod swoje skrzydła. Zmieniała kołnierzyki w mojej koszuli, a kiedy między uczniami dochodziło do bójek, zawsze brała moją stronę. Pewnego razu Z. dzielnie odciągnęła jednego ze starszych chłopców, którzy mnie dręczyli. Ale za to, że była moim strażnikiem i obrońcą, została przez tego chłopca pobita. Jak ten bydlak ośmielił się zranić tak drogą mi osobę! Oburzony tym incydentem powziąłem postanowienie, że stanę się silniejszy, by nikt nie mógł ponownie pobić mojej mentorki. Wewnętrznie byłem już twardym gościem, ale na pierwszy rzut oka sprawiałem wrażenie rachitycznego nastolatka. Patrząc na

moją niezbyt imponującą aparycję, inni chłopcy uważali, że mogą mnie szykanować. Nienawidząc tego, zacząłem codziennie podnosić ciężary i ćwiczyć dżudo do chwili, aż wszyscy, z dużymi chłopcami włącznie, poczuli przede mną respekt i zostawili mnie w spokoju. Dla wzmocnienia kąpałem się nawet z bliskimi przyjaciółmi w lodowatej wodzie. Skoro tylko zająłem godziwą pozycję w hierarchii chłopców ze Szkoły Rewolucyjnej, nabrałem pewności siebie, a dzięki temu poczuciu zdobyłem nawet srebrny medal w juniorskich zawodach dżudo. Dobrze mi się więc wiodło w Szkole Rewolucyjnej, póki nie osiągnąłem wieku, w którym albo musiałem iść na studia, albo znaleźć sobie jakiś zawód. Ponieważ byłem sierotą wychowanym dzięki szczodrej łaskawości państwa, przyszłość moja jawiła się obiecująco. Czy się to komu podoba, czy nie, pochodzenie klasowe było czymś, co w Korei Północnej liczyło się najbardziej.

---

[31] Kim Dzong Suk była pierwszą żoną Kim Ir Sena i matką biologiczną Kim Dzong Ila, przywódcy Korei Północnej do 18 grudnia 2011 roku.

[32] Takie grupy sierot i ofiar wojny koreańskiej docierały także do Polski Ludowej (przyp. red.).

[33] Słowo rosyjskie oznaczające „zwycięstwo”. Pobieda była jednym z najlepszych sedanów rosyjskich dostępnych w Korei Północnej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

[34] W języku koreańskim słowo to oznacza „morze krwi”, był to również tytuł znanej opery rewolucyjnej i filmu.

[35] W zaokrągleniu 240 mil, tj. 386 km.

[36] Mangyeongdae jako miejsce narodzin Kim Il Sunga jest otoczone kultem; składa się ze skromnej chaty i podwórka.

[37] Samjiyon to jezioro położone na szczycie góry Baekdu na granicy Korei Północnej i Chin. Podobnie jak Mangyeongdae jest czczone jako święte miejsce rewolucji, ponieważ wiąże się ze zwycięskim powrotem Kim Ir Sena do ojczyzny z Mandżurii, gdzie przebywał na wygnaniu za japońskich czasów kolonialnych.
W północnokoreańskich środkach masowego przekazu góra Baekdu jest identyfikowana jako mitologiczne miejsce narodzin Kim Dzong Ila.

Rozdział drugi
Żyć dla Wielkiego Wodza

Na morze!

Pierwsze wrażenie, jakie wywarło na mnie wielkie morze w Chongjinie, wciąż jeszcze wzbudza w mym sercu uczucie wzruszenia. Jego granatowa głębia i słona bryza oczarowały mnie.

„Do wszystkich młodych tego kraju! Na morze! Kraj was wzywa!".

Hasło to wypełniło moje serce oszałamiającym dreszczem, a rozbrzmiewało w całej Korei Północnej w czasie, gdy pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku ukończyłem Szkołę Rewolucyjną. Nasz Wielki Wódz Kim Ir Sen zachęcał młodych ludzi, by ruszyli ochotniczo na wybrzeże powiększać obszar ziem uprawnych, budować nowe porty, aby pobudzić handel i miejscową gospodarkę. Budowa wielkiego portu była pracą ciężką i niebezpieczną, której każdy chciał uniknąć, mimo to bez

wahania przystąpiłem do młodzieży ze Szkoły Rewolucyjnej, by ulżyć trosce naszego Wielkiego Wodza. W owym czasie nie brałem poważnie pod uwagę studiów wyższych, ale pociągał mnie pomysł wstąpienia do zawodowej służby wojskowej. Nie zdawałem sobie sprawy, że natura może być brutalną i okrutną bestią; wierzyłem natomiast, że ludzie mogą, jeśli postępować będą zgodnie ze wskazaniami Wielkiego Wodza, osiągnąć wszystko.

Byliśmy młodzi, nieustraszeni i bezwarunkowo lojalni. Dziewiętnastu nas ze Szkoły Rewolucyjnej jechało razem z Pjongjangu do Chongjinu. Była to ekscytująca podróż nocnym pociągiem; nadal dobrze to pamiętam. Przez całą noc śpiewaliśmy pieśni wojskowe, których nauczyliśmy się w szkole, i gawędziliśmy o przyszłości w nieznanym miejscu, póki głosy nie zaczęły się nam załamywać. Rozmawialiśmy o tym, jak będziemy nawadniać ugory i sprawimy, że Wielki Wódz będzie dumny z naszych osiągnięć. Rozmawialiśmy również o tajemniczych towarzyszach, którzy powitają nas w obcym mieście. Po raz pierwszy byłem człowiekiem samodzielnym, poza zasięgiem czujnego oka nauczycieli szkolnych, otoczonym gronem lojalnych przyjaciół. Cóż może lepiej służyć osiemnastoletniemu chłopcu?

Do Chongjinu przybyliśmy przed świtem. Noc była chłodna, ale orzeźwiająca, pobudzająca naszą żądzę życia. Wysiadając z pociągu, natychmiast poczułem, że zaczynam zupełnie nowy rozdział życia. Po ciągnących się w nieskończoność rozmowach wszyscy umieraliśmy z głodu, zaczęliśmy więc szukać miejsca, w którym można by coś zjeść. W pobliżu nie było jednak żadnych świateł. Wkrótce jednak dostrzegliśmy je, migocące w ciemności, niedaleko stacji kolejowej. Łudziliśmy się, że może to być coś

w rodzaju całodobowej restauracji, do jakich byliśmy przyzwyczajeni. Całodobowa stołówka, w której można było przyzwoicie zjeść, nie była w Pjongjangu niczym nadzwyczajnym, trudno się więc dziwić, że my, rozwydrzeni pjongjańczycy, uważaliśmy, że takie czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę miejsca istnieją w Korei Północnej wszędzie.

– Naprzód, naprzód, naprzód!!!

– Przełamać linie wroga!!!

Zakrzyknęliśmy, jakbyśmy wciąż jeszcze byli na zajęciach z musztry, i rzuciliśmy się pędem w stronę migającego światła. Głodni byliśmy tak, że wyliśmy jak wygłodzone wilki, marząc o napchaniu naszych pustych brzuchów. Niestety migocące światełko nie wskazywało restauracji, lecz umieszczone było na olinowaniu unoszącego się na oceanie statku. Aczkolwiek z racji swych rozmiarów i zaludnienia Chongjin miał zasłużone prawo nazywać się miastem – był to trzeci co do wielkości miejski obszar Korei Północnej – ale pod względem standardu życia nie zbliżał się nawet do Pjongjangu. Słysząc bulgocące dźwięki naszych żołądków, opadliśmy na ziemię w porcie i roześmialiśmy się. I tak śmialiśmy się i siedzieliśmy przez resztę tej nocy. Musieliśmy oszukać głód, rozmawiając do czasu, aż udało nam się wreszcie zjeść o brzasku nasze pierwsze śniadanie w obcym portowym mieście.

Miejscowi ludzie w Chongjinie powitali nas uprzejmie i z szacunkiem. W porównaniu z pjongjańczykami, których znałem, byli prości i milkliwi. Słyszeli, że jesteśmy z prestiżowej Szkoły Rewolucyjnej, i nikt nie śmiał nas lekceważyć.
Z dziewiętnastu absolwentów wysłanych do Chongjinu ośmiu

zostało zakwaterowanych w jednym pokoju i stworzyło nierozłączną grupę. Praktycznie cały dzień spędzaliśmy razem i wszystko razem robiliśmy. Wszyscy zdawali się sądzić, że absolwenci Szkoły Rewolucyjnej są nietykalni, co oczywiście wywindowało nas na piedestał. Poza jednym kolegą z pokoju, którego skierowano na staż do fabryki samochodów, reszta dostała stanowiska mechaników-stażystów na placu budowy, gdzie miała obserwować i uczyć się, jak budować port oraz obsługiwać koparki i pływające żurawie. Nasza praca polegała na tym, żeby wcześnie wstać, wyczyścić i zaopatrzyć w paliwo maszyny, obserwować, jak mechanicy je obsługują, a po zakończeniu dnia pracy wyczyścić i przygotować maszyny na dzień następny. Niekiedy natykaliśmy się na uwięzłe w maszynach ośmiornice. Tłoczyliśmy się nad tymi cudownymi stworami morskimi i zastanawialiśmy się, czy można je złapać na specjalną kolację. Rodzaj pracy, jaką dla nas przewidziano, w żadnej mierze nie był przedmiotem zazdrości przeciętnych ludzi, ale wszystko, czego musieliśmy się nauczyć, bawiło nas. Byliśmy przecież tak młodzi, dopiero co uwolnieni od koszarowej dyscypliny Szkoły Rewolucyjnej, i czuliśmy się nieskończenie uszczęśliwieni nowym rozdziałem naszego życia. Patrząc z perspektywy czasu, wydaje mi się, że czulibyśmy się tak samo, gdyby nasza praca była bardziej nużąca, jak mycie podłóg lub woskowanie samochodów, ponieważ szczęśliwymi czynił nas entuzjazm, a nie rodzaj wykonywanej pracy. W pełni zaakceptowaliśmy nowe warunki i upajaliśmy się młodością. Zakochałem się w maszynach, które oszczędzały nam mozolnej pracy. Nic nie było bardziej pociągające niż technologia i budowa.

Cóż może być lepszego dla dumnie kiełkującej męskości niż kierowanie takimi maszynami?

Życie w porcie Chongjin szybko przekształcało zmanierowanych nastolatków w mężczyzn. Najbardziej fascynujące wydarzenie wiąże się z człowiekiem zwanym X., który był niezwykłym guru we wszystkich sztukach walki – taekwondo, karate, dżudo. Wcześniej służył w jednostce specjalnej, wysłanej z misją do Korei Południowej. Wszyscy jego towarzysze broni polegli; jemu cudem udało się przeżyć i wrócić na Północ. X. zawsze roztaczał wokół siebie niewiarygodnie bolesną aurę ocalonego męczennika, co wywierało na nas wielkie wrażenie. Po jego powrocie na Północ, zamiast powitać go jako bohatera, zaczęto go podejrzewać, że jest podwójnym agentem, i przeniesiono do zapadłej, prowincjonalnej jednostki. Kiedy jechał do swego nowego miejsca pracy na wygnaniu, konduktor pociągu wyzwał go do walki. X. był w fatalnym stanie umysłu, wyładował więc swój gniew i frustrację na owym konduktorze – pobił go niemal na śmierć. Za ten czyn pełen agresji X. został zesłany do obozu pracy karnej (*gyo-hwa-so*), a po odbyciu wyroku skierowany do Chongjinu. Mieliśmy szczęście, że zgodził się zostać naszym trenerem sztuk walki. Ośmiu z nas do wyczerpania ćwiczyło swe wciąż jeszcze gibkie ciała pod surową kontrolą X. Kazał nam biegać kilometry z workami piasku przymocowanymi do obu nóg albo ciężkim, wyładowanym kamieniami plecakiem. W miarę jak z dnia na dzień stawaliśmy się coraz silniejsi, nikt w mieście nie odważył się wchodzić nam w paradę. Chongjin był wówczas zatłoczony trzema tysiącami nowo przybyłych robotników z całego kraju. Trwała budowa nowego portu. Do miasta, które cierpiało na stały

niedobór siły roboczej, napływały tłumy wszelkiego rodzaju hołoty. W każdym zakładzie pracy w kraju na rozkaz Kim Ir Sena wybrano pewną liczbę robotników, którzy mieli być wysłani na wybrzeże, a kierownicy potraktowali to jako wspaniałą okazję pozbycia się swoich najgorszych ludzi. Poza nielicznymi wyjątkami nowo przybyli pracownicy nie byli ani inteligentni, ani silni, toteż moi przyjaciele i ja spuszczaliśmy tym kmiotom niezły łomot naszymi żelaznymi pięściami i nogami, wyćwiczonymi przez niezrównanego nauczyciela X. Przez dwa lata, jakie tam przeżyliśmy, od 1969 do 1970 roku, ani jeden dzień nie minął bez spektakularnej bijatyki z innymi robotnikami – małymi i dużymi, szybkimi i powolnymi, uległymi i buntowniczymi... nie miało to dla nas żadnego znaczenia. Po prostu pobicie kogoś było częścią rutynowego planu dnia. Bez mordobicia traciliśmy nawet apetyt. Z perspektywy czasu rozumiem, że było to nic innego, jak tylko typowy objaw młodzieńczej zadziorności, podówczas wydawało nam się jednak, że robimy coś wspaniałego, i to czyniło nas najszczęśliwszymi dzieciakami na całej planecie.

Jako sportowiec w wojsku i Wyższej Szkole Technicznej Kim Chaeka

Kiedy nadszedł rok 1970, północnokoreańskie siły zbrojne zaczęły tworzyć własne zespoły sportowe. Główni trenerzy przemierzali cały kraj w poszukiwaniu utalentowanych sportowców. Pewnego dnia w Chongjinie pojawił się mój były instruktor dżudo ze Szkoły

Rewolucyjnej. Powiedział, że szukał mnie przez sześć miesięcy, gdyż chciał, żebym wstąpił do wojskowej drużyny dżudo. Twierdził, że jeśli wstąpię do drużyny, zostanie mi to zaliczone w poczet służby wojskowej. Jak każdy Koreańczyk z Północy, tak czy inaczej byłem zobowiązany do odbycia służby wojskowej, toteż chętnie przyjąłem jego propozycję. Mimo to ciężko mi jednak było porzucić idealną wspólnotę, jaką znalazłem w Chongjinie. Moi drodzy przyjaciele i instruktor sztuk walki byli dla mnie drogocennymi członkami rodziny, ślubowaliśmy sobie, że pozostaniemy braćmi, póki śmierć nas nie rozłączy. Kiedy wsiadałem do pociągu, machając im ręką na pożegnanie, a moi przyjaciele stali na peronie, patrząc, jak odjeżdżam, serce bolało mnie z żalu, a łzy napłynęły do oczu. Nie mruczałem wówczas „Żegnajcie", ale „Do zobaczenia". Ach, towarzysze moi drodzy, współtowarzysze mojej podróży, których twarze wciąż ciepłem napełniają moje serce, gdzież dziś jesteście? Pod jednym niebem żyjemy, ale nie sposób się tego dowiedzieć. Póki żyć będę, nigdy nie porzucę nadziei, że dnia pewnego znów się spotkamy.

I tak wróciłem tam, skąd przyjechałem – do mojego drogiego Pjongjangu, miasta chwały naszego Wielkiego Wodza, serca rewolucji, czerwonej stolicy naszej socjalistycznej ojczyzny! Służbę wojskową rozpocząłem z wielką pewnością siebie, w specjalnym sektorze ochrony, gdzie moim głównym zadaniem było współzawodnictwo w drużynie dżudo. Najbardziej godna pamięci rzecz, jakiej doświadczyłem w czasie służby wojskowej, zdarzyła się w 1972 roku, kiedy zostałem wyznaczony do udziału w końcowej fazie budowy rezydencji prezydenckiej, którą Koreańczycy z Północy nazywali Pałac-Pomnik na wzgórzu

Mansu (*Mansudae ginyeom gungjeon*). Kiedy przystąpiłem do tego zadania, przygotowywano budowę podziemnych bunkrów. W owym czasie prace przy wznoszeniu tego monumentalnego gmachu trwały już niemal dziesięć lat – kiedyś na miejscu budowy znajdował się wielki sad. Rozpościerał się stąd wspaniały widok na całe miasto, zwłaszcza Pawilon Heungbu (*Heungbugak*) na drugim brzegu rzeki Tedong – w specjalnej dzielnicy, w której cudzoziemscy dygnitarze, tacy jak Sihanouk z Kambodży, zatrzymywali się w czasie oficjalnych wizyt. Parter budowli ukończono w roku 1970 i zakładano, że całość zostanie ukończona w roku 1972 jako prezent z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin Kim Ir Sena. W miarę zbliżania się rocznicy, prace nabierały tempa. Jednocześnie wznoszono gigantyczny pomnik Kim Ir Sena na wzgórzu Mansu. Ponieważ budowa rezydencji prezydenckiej była projektem wrażliwym, dotyczącym kwestii bezpieczeństwa Wielkiego Wodza, jedynie siły zbrojne, które zaprzysięgły absolutną poufność i lojalność, mogły brać w nim udział. Szef ekipy ochrony rezydował zwykle w specjalnej jednostce poza pałacem, ale dla lepszego bezpieczeństwa jego kwatery mieściły się wewnątrz. Pałac, w którym Kim Ir Sen mieszkał aż do swej śmierci w 1994 roku, w zamierzeniu pełnił dwie funkcje – rezydencji w czasie pokoju i schronu w czasie wojny. Z tej więc przyczyny nie była to budowla wysoka. Niemniej za pałacem znajdował się wyższy budynek o dziesięciu kondygnacjach, który zawierał zbiornik wody. Nadal nie wiem, w jakim dokładnie celu go wzniesiono, ale przypuszczam, że stamtąd czerpano wodę wyłącznie do pałacu. Były tam także wielkie kanały wentylacyjne, łączące piwnice pałacu z budynkiem za nim – tak ogromne, że

ludzie mogli przez nie przechodzić. Dach pokryto warstwą ołowiu, co miało chronić budynek przed atakiem jądrowym. Każda ściana była wodoodporna. Ponieważ osobiście uczestniczyłem w pracach budowlanych, wciąż pamiętam wystarczająco wiele szczegółów, by narysować plan pałacu. Został włożony weń niewiarygodny wysiłek ludzki, nie szczędzono też żadnych kosztów. Jedwabne koce spowijały rurociągi, które miały przebiegać pod pomieszczeniami mieszkalnymi Kim Ir Sena. Z różnych prowincji przybywały rozmaite gatunki kosztownych drzew – jałowce chińskie, wawrzyny i wiele innych – by je wykorzystać jako materiały budowlane i do ozdoby ogrodów. Biały cement, mielony marmur i wapień mieszano, by uzyskać najlepszy gatunek tynku, który miał pokryć ściany zewnętrzne budowli. Tysiące robotników zwisających na sznurach przytwierdzonych do dachu kuło zewnętrzne ściany Pałacu-Pomnika, opuszczając się ku ziemi. Wspaniały był to widok; wyglądali jak miliony mrówek na tle oślepiająco białego tynku. Żołnierze pracowali bez przerw na sen i posiłki, jakby byli na polu bitwy. Lojalność żołnierzy wobec Wielkiego Wodza Kim Ir Sena była taka, że wszyscy pracowali na ochotnika całą dobę. Wiara, że zbiorowy cel jest wyższy i większy niż indywidualny dobrobyt, była wystarczająco silna, by przyćmić wszystkie inne myśli. Dowodził nami pewien wysokiej rangi generał armii, niejaki Jeon Mu-seok. Jeon był człowiekiem o naturalnej charyzmie i znacznych talentach przywódczych – mimo swego wysokiego statusu w armii żartował z piechurami i zagrzewał ich rozmaitymi niespodziankami. Pewnego razu w środku dnia przyniósł na budowę mnóstwo jabłek i kazał wszystkim zrobić przerwę na przekąskę, co skłoniło i tak już

wysoce zmotywowanych żołnierzy do jeszcze cięższej pracy. Pracowaliśmy tak ciężko, że nawet nasi dowódcy zaczęli się niepokoić i zachęcali nas do spoczynku, ale ochotnicza siła robocza była czymś wspaniałym. Nikt nie mógł nas zatrzymać i rezydencja prezydencka wyszła tak solidnie, że nawet bomba jądrowa miałaby problemy z jej uszkodzeniem. Budowla stała tam jasna, lśniąca bielą, jako świadectwo wielkiej miłości, jaką wszyscy robotnicy budowlani żywili do Wielkiego Wodza. Kiedy heroiczne wysiłki budowlane dobiegły końca, zostałem nagrodzony stopniem podporucznika.

Lata do roku 1974 spędziłem w armii i wiodłem proste życie, polegające na treningach w wojskowej drużynie sportowej. Kiedy drużyna została rozwiązana, skierowano mnie do Szkoły Inżynieryjnej Kim Chaeka[38], gdzie miałem zdobyć wyższe wykształcenie. I tak ja, który nigdy szczególnie nie interesowałem się książkami, zacząłem studiować mechanikę na najbardziej prestiżowej uczelni Pjongjangu. Koreańczycy z Północy uważali Uniwersytet Kim Ir Sena oraz Szkołę Inżynieryjną Kim Chaeka za dwie najlepsze uczelnie wyższe w kraju. Zostałem w Szkole Inżynieryjnej do roku 1980, byłem tam członkiem uczelnianej drużyny sportowej, która została powołana jako część międzyuczelnianej sieci sportowej. Podobną drużynę sportową miał Uniwersytet Kim Ir Sena; opiekował się nią Kim Pyong-il, przyrodni brat Kim Dzong Ila. Naszym zespołem kierował bardzo dobry człowiek, nazywany K., który się o mnie troszczył. K. również był absolwentem Szkoły Rewolucyjnej, szybko więc przypadliśmy sobie do gustu. My, członkowie zespołu sportowego, zawsze cieszyliśmy się powodzeniem wśród dziewcząt, zwłaszcza

tych ze wsi. Marzyły one bowiem, by po zrobieniu dyplomu pozostać w Pjongjangu dzięki małżeństwu z rodowitym pjongjańczykiem[39]. Chociaż nie byłem ani wysoki, ani przystojny, zawsze kręciły się wokół mnie te wiejskie dziewczęta, kiedy uprawiałem różne dyscypliny sportowe – piłkę nożną, siatkówkę, koszykówkę itd. W tym właśnie czasie spotkałem bardzo sławną Hong Yong-hee – heroinę słynnego filmu rewolucyjnego pod tytułem „Kwiaciarka". Pamiętam, że nie była szczególnie piękna, wygląd miała raczej niewinny, z tymi swoimi piegami na całej twarzy. Tak wiele dziewcząt uganiało się za nami i życie było tak łatwe, jak bryza. Rankami mieliśmy siedzieć w salach lekcyjnych, a wieczorami trenować. Jak zwykle daleko mi było do wzorowego studenta. Większość czasu przeznaczonego na zajęcia poranne spędzało się na dachu, paląc papierosy z kumplami. Zamiast matematyki wyższej członkom zespołu sportowego wykładano arytmetykę na <a>poziomie gimnazjalnym, nie musieliśmy się zatem zbytnio troszczyć o zaliczenia. I w taki właśnie sposób udało mi się ukończyć z wyróżnieniem najlepszą uczelnię, nie nadwerężając sobie przy tym zanadto głowy. Inni studenci jedli ryż zmieszany z jęczmieniem w studenckiej stołówce, my natomiast, członkowie drużyny sportowej, jadaliśmy w klubie wydziałowym biały ryż z obfitością mięsa. Przypominam sobie, że w Szkole Inżynieryjnej Kim Chaeka byli studenci z krajów takich jak Kambodża i Tanzania; wszyscy na stypendiach rządu Korei Północnej. Ponieważ w całym kraju edukacja była bezpłatna – od czesnego poczynając, na zakwaterowaniu i wyżywieniu kończąc – stanowiło to spore obciążenie rządowych finansów. Jeden z dietetyków opublikował zatem artykuł, w którym twierdził, że

makaron zrobiony z jęczmienia jest dobrym źródłem energii. Chętne do zaoszczędzenia na żywieniu studentów państwo wykorzystało ten pomysł. Ale chropawa konsystencja klusek powodowała u konsumentów krwawienie przy wypróżnianiu, toteż ta koncepcja gospodarcza, aczkolwiek finansowo pociągająca, została szybko zarzucona.

W roku 1978 K., absolwent Szkoły Rewolucyjnej, który kierował drużyną sportową Szkoły Inżynieryjnej Kim Chaeka, stał się wielką szychą. Awansowano go do stopnia pułkownika i mianowano dyrektorem Biura Politycznego w Partii Pracy Korei. Po ukończeniu studiów w roku 1980 dostałem od niego ofertę pracy w jednostce wojskowej w Wonsanie w prowincji Gangwon. Przyjmując tę pracę, zostałbym awansowany do stopnia kapitana. Podziękowałem mu i powiedziałem, że muszę zastanowić się nad tą ofertą. Ale kiedy dowiedziałem się, że Partia Pracy Korei odwiedziła już Szkołę Inżynieryjną Kim Chaeka, żeby sprawdzić moje pochodzenie klasowe, zrozumiałem, że wyboru już dokonano. Nie miałem nic przeciwko temu, by nadal pozostawać pod jego osobistą opieką. I tak wyjechałem do małego miasteczka Wonsan jako szef placówki wojskowej. Po przybyciu do tej odległej miejscowości okazało się, że mam tylko pięciu podwładnych, co mnie nie zaskoczyło. Kapitan z pięcioma podwładnymi! Jaki ze mnie miał być dowódca?

Ja, arogancki sportowiec ze stołecznego miasta Pjongjangu, czułem, że ta mała miejscowość nie zdzierży mojej energii. O samym miasteczku niewiele dałoby się powiedzieć, zamieszkiwali je ludzie, którzy nie wiedzieli nic o czymkolwiek, co wykraczało poza granice ich oddalonej od świata kotliny górskiej.

Niemniej na miarę Korei Północnej Wonsan był miejscowością raczej ważną. Mieściło się tam pięć dużych zakładów przemysłowych, huta żelaza, fabryka chemiczna, fabryka samochodów, fabryka rur i rafineria, które dostarczały określone ilości produktów i energii północnokoreańskim siłom zbrojnym. Huta żelaza dostarczała na przykład dziesięć ton cynku. Pięciu podwładnych nadzorowało fabryki, ale nawet w moich niedoświadczonych oczach system dostaw nie działał dobrze.

Robotnicy byli nieudolni i zepsuci. Obmyśliłem plan, jak to w krótkim czasie zmienić, toteż kazałem podwładnym wybrać z załogi głównych kierowników, po czym zabrałem ich na bezpłatne wakacje. Postanowiłem bowiem zjednać sobie najpierw ich serca. Zaprosiłem ich do malowniczego ośrodka turystycznego na górze Kumgang. Potem zabrałem na wycieczkę do Pjongjangu, a nawet odwiedziłem z nimi biuro K. w gmachu Komitetu Centralnego Partii Pracy Korei. K. przywitał gości z właściwą sobie wylewnością i obiecał im nawet awans na stanowiska w Pjongjangu, jeżeli będą dobrze wykonywać obowiązki w swoich miejscach pracy. Kiedy delegacja wracała do Wonsanu, umysły wszystkich kierowników były wypełnione nadzieją jak balony. Musieli być pogrążeni w intensywnych rozmyślaniach, zastanawiając się, czy rzeczywiście mogą zostać przeniesieni do Pjongjangu. A kiedy śnili tak sobie na jawie, zacząłem reorganizować ich kierownicze stanowiska, tak by wszyscy pozostawali pod czyjąś obserwacją. Przeniosłem kierownika produkcji huty do fabryki samochodów, której dyrektor został przeniesiony do fabryki chemicznej, tego zaś przeniosłem do

fabryki rur itd. Następnie objechałem wszystkie fabryki. Robotnikom w fabryce rur powiedziałem:

– Słuchajcie, ten nowy kierownik z fabryki chemicznej ma niewiarygodne koneksje w Partii Pracy. Jeśli nie będziecie dobrze pracować, wywrze to wpływ na wasz dalszy los.

Robotników w fabryce samochodów poinformowalem:

– Nowy szef produkcji z huty ma wpływowego kuzyna w wojsku. Lepiej pokażcie mu się z jak najlepszej strony.

W ten sposób wszyscy zaczęli troszczyć się o wykonanie pracy przez siebie i innych. Zrobiłem także dobry użytek ze swoich koneksji ze sportowcami. Kierownik drużyny sportowej w hucie żelaza w Munsanie był swego czasu członkiem zespołu dżudo w Szkole Rewolucyjnej, co automatycznie nasze stosunki nacechowało ufnością. I w taki oto sposób udało mi się osiągnąć wielokrotny wzrost produkcji. Tego roku nadzorowałem pięć fabryk, wyprodukowaliśmy 50 zamiast 10 ton cynku, których od nas wymagano. Zważywszy na to, że roczne potrzeby wojska wynosiły 500 kilogramów, nadwyżka była imponująca, co mogło przynieść jeszcze większy profit, gdyby sprzedać ją za granicę. Podówczas Korea Północna eksportowała jedną tonę cynku za 1000 dolarów do Japonii.

Mile zaskoczony moimi wybitnymi wynikami K. chciał mi dać szansę zarobienia dodatkowych walut zagranicznych za produkcję cynku. Jak każdy inny zespół roboczy Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (*Gukga bowuibu*), istniejąca wewnątrz wojsk północnokoreańskich, miała swój własny wydział zarabiania walut obcych. K. doskonale wiedział, że jestem wiarygodnym podwładnym. Jako sierota, nieżonaty, nie miałem rodziny, której

potrzeby musiałbym zaspokajać, stąd nie byłem aż tak skorumpowany jak inni. Jako sportowiec wojskowy nawykłem do wykonywania rozkazów dowódcy. Musiałem zatem wydawać się idealnym kandydatem do podjęcia się lukratywnego zadania zarabiania obcych walut w jednostce wojskowej. Wkrótce po wysłaniu przeze mnie raportu o nadwyżkach produkcji cynku oznajmił, że będę nadzorował pięć fabryk w Wonsanie. Jednocześnie zostałem przeniesiony do pjongjangskiego wydziału zarabiania walut zagranicznych w ABN. Wydział ten działał pod nazwą West Asia Ashai Trading Company i był *joint venture* propółnocnokoreańskiej spółki w Japonii i oddziału armii północnokoreańskiej. Mimo że miał nazwę prywatnego przedsiębiorstwa, działał pod bezpośrednim nadzorem wojskowych, a celem jego było zarabianie obcych walut dla przywódców północnokoreańskich z Biura Politycznego. Zwerbowany przez potężnego przełożonego, który miał do mnie pełne zaufanie, wszedłem na drogę błyskotliwych sukcesów i awansu. Z długą listą osiągnięć wróciłem do Pjongjangu w tym samym roku, w którym pojechałem do Wonsanu! K. przydzielił mi również jeepa marki Nissan, by ułatwić mi podróże służbowe między Pjongjangiem a Wonsanem. Wraz z pozwoleniem na wyjazdy służbowe zyskałem możność podróżowania wszędzie, dokąd chciałem, co było nieziszczalnym marzeniem zwykłego obywatela. Jeep służył mi jako towarzysz przez dziesięć lat na wszystkich głównych drogach Korei Północnej – od północnej granicy koreańsko-chińskiej, po najbardziej na południe wysunięte portowe miasto Nampo, a jak sobie nim jeździłem, to z czasem zainteresowałem się życiem innych w Korei Północnej.

Małżeństwo i dzieci

Y. wkroczyła w moje życie jako młoda kobieta, zdradzając urok mimo swego surowego munduru wojskowego. Kiedy spotkałem się z nią po raz pierwszy na randce zaaranżowanej przez naszych wspólnych przyjaciół, była maluśkim żołnierzykiem, którego całe doświadczenie sprowadzało się do poddanego wojskowemu reżimowi życia w siłach zbrojnych. Nigdy nie ośmieliła się wyjść poza to, co było ustalone przez partię jako model życia rewolucyjnego. Ani też – do chwili spotkania ze mną – nie uświadamiała sobie, jak pięknie wygląda w mundurze wojskowym.

Moją przyszłą żonę spotkałem w Pjongjangu. Ledwie skończyła dwudziesty rok życia, była świeżo po Szkole Wojskowej Gang Geon[40]. Ojciec Y. był osobistością wpływową. Miał volvo przypisane do jego stanowiska. Żonę stracił, kiedy Y. była dzieckiem. Urodziła się jako pierwsza z czworga jego dzieci – dwóch córek i dwóch synów – i dosłownie stała się matką młodszego rodzeństwa. Moja przyszła żona miała odpowiednie pochodzenie klasowe, była członkiem partii i była niezachwianie lojalna wobec Wielkiego Wodza Kim Ir Sena. Pracowała dla Partii Pracy Korei jako doradca polityczny, co uznawano za wysoko cenioną pozycję przywódczą w Korei Północnej. Była tak oddana naukom Kim Ir Sena, że poświęciła się, by stać na straży jego ideałów. Z tego powodu cierpiała na chroniczne bóle w plecach, gdyż w pojedynkę próbowała uratować wielką tablicę, na której

wypisane było wskazanie Wielkiego Wodza: „Własnym życiem brońmy wielkich ideałów Kim Ir Sena", którą podtrzymywała, kiedy podmuch wiatru ją przewracał. Rzuciła się ku padającej tablicy, ale uwięzła pod nią – ciężka tablica spadła jej na plecy. Miłość do Wielkiego Wodza była tak ogromna, że była gotowa bronić jego ideałów kosztem własnego życia.

Ślub wzięliśmy niedługo po tej randce. A na cóż było czekać? Była młoda, śliczna i miała dobre pochodzenie klasowe, ja zaś tęskniłem za własną rodziną. Miałem dwadzieścia osiem lat – ona dwadzieścia. Jesienią 1978 roku, po typowej dla Koreańczyków skromnej ceremonii ślubnej, zostaliśmy mężem i żoną. Nasz Wielki Wódz Kim Ir Sen krytykował wystawne śluby jako przeżytek epoki feudalnej i kazał wszystkim unikać wydawanych z przepychem przyjęć weselnych. Polecił nam, by wesele było możliwie jak najskromniejsze, a prezenty ślubne jak najbardziej praktyczne. W Korei Północnej nie istniało nic takiego jak miesiąc miodowy. Na prowincji jednak wesela bardziej przypominały uroczystości ślubne z dawnych dni przedrewolucyjnych, kiedy wszystkich mieszkańców wsi zapraszano na wypitkę i zabawę, która często kończyła się bójką na pięści. Wieśniacy sprowadzali ciężarówkę, sadzali nowożeńców w kabinie, członkowie rodziny i przyjaciele sadowili się na platformie i całe towarzystwo jechało odwiedzić pomnik Kim Ir Sena, by złożyć mu hołd. W miastach, zwłaszcza w Pjongjangu, wyglądało to trochę inaczej. Rano członkowie rodziny i bliscy przyjaciele zbierali się w domu panny młodej lub pana młodego i robili sobie zdjęcia przed stołem przybranym jabłkami i gruszkami. Nowożeńcy kłaniali się również rodzicom. Kiedy ceremonia ta dobiegła końca,

organizowano dwa lub trzy samochody, którymi młoda para, jej rodzina i przyjaciele jechali pod pomnik Kim Ir Sena na wzgórzu Mansu, by złożyć pod nim kwiaty i okazać mu uszanowanie. Potem weselnicy przenosili się do malowniczych miejsc Pjongjangu, żeby zrobić sobie więcej zdjęć. My odwiedziliśmy ulicę Changgwang – jedną z najbardziej ruchliwych ulic miasta – i tam zrobiliśmy fotografie. Nowożeńcy wymieniali również podarunki. Zazwyczaj panny młode dawały panom młodym zegarek na rękę, a panowie młodzi dawali w prezencie pannom młodym obrączkę. Ponieważ pracowałem w departamencie zarabiającym waluty obce, miałem dostęp do sklepów walutowych. Tak więc kupiłem żonie obrączkę z osiemnastokaratowego złota, z jakimś szlachetnym kamieniem pośrodku (nie przypominam sobie dokładnie jakim), a także sprezentowałem jej importowaną tkaninę, żeby mogła sobie uszyć nową suknię na dzień ślubu. Oczywiście tych ceremonialnych strojów nie wkładało się po raz drugi i spoczywały w ciemnym kącie szafy na ubrania, tak że rodziny mniej zasobne w środki przekazywały te stroje weselne z pokolenia na pokolenie.

Wydanie na świat naszego pierwszego zdrowego dziecka zajęło mnie i Y. kilka lat, dlatego że nasze pierwsze dziecko zginęło na ołtarzu Kim Ir Sena. W każdym gospodarstwie domowym i w każdej przestrzeni publicznej na ścianie wisiał portret Kim Ir Sena. Pod nim stało pudełko, zwane szkatułką miłości. Przechowywano w niej sprzęt niezbędny do odkurzania i czyszczenia portretu – szmatki i miotełkę z ptasich piór. Moja żona nabożnie czyściła portret każdego dnia rano. Czyściła go nawet w zaawansowanej ciąży i pewnego dnia, czyszcząc ten

portret, spadła z krzesła i poroniła. Po tym wypadku doznała jeszcze kilku poronień, a pierwszym dzieckiem zostaliśmy pobłogosławieni dopiero w roku 1987.

Dzieci

Wreszcie!

Moje pierwsze dziecko urodziło się w 1987 roku w szpitalu wojskowym w Pjongjangu. Wyrósłszy jako sierota, miałem nadzieję na własną rodzinę. Co więcej, ponieważ straciliśmy wcześniej kilkoro dzieci, urodziny mojego syna, B., odebrałem jako niewiarygodny dar, coś więcej niż to, o co kiedykolwiek prosiłem. Nalegałem, by moja żona rodziła w szpitalu wojskowym, jako że była to jedyna instytucja godna zaufania przy tak ważnej okazji jak narodziny dziecka. Szpitalom cywilnym brakowało wyposażenia i kompetentnych lekarzy, co w znacznej mierze ograniczyło ich działalność do czynności podstawowych, takich jak wypisywanie recept. I niewiele więcej. Trzy lata później zostaliśmy pobłogosławieni narodzinami córki, J. Mimo że były dziećmi tych samych rodziców, nasz syn i nasza córka różnili się od siebie diametralnie pod względem usposobienia. O ile B. był małomównym dżentelmenem, o tyle J. – frywolną kokietką. Gdy tylko nauczyła się utrzymywać na nogach, stawiałem ją na swoich dłoniach, a ona stała spokojnie.

Bolesnym jest dla mnie wspomnienie, że byłem ojcem, który nieczęsto gościł w domu. Większość czasu zajmowały mi wyjazdy

służbowe. No i siłą rzeczy zupełnie nie umiałem się dziećmi zajmować. Pewnego letniego wieczoru żona wyszła, zostawiając mi pod opieką córkę – podówczas jeszcze niemowlę. Mała płakała tak bardzo, że owinąłem ją w koc i trzymałem luźno w ramionach, ale zaczęła płakać jeszcze głośniej. Wstałem z kanapy i chodząc, kołysałem ją coraz mocniej. Ale kiedy podszedłem do okna, kołysałem ją już tak mocno, że wysunęła się z koca i wypadła na grządkę warzywną. Dzięki Bogu J. nic się nie stało, ale żona rozwścieczyła się po powrocie do domu i już nigdy więcej nie powierzyła mi obowiązków opiekuńczych.

Jeśli chodzi o dzieci, to jedna rzecz dotąd łamie mi serce, to mianowicie, że po wielekroć prosiły mnie, bym przejechał się z nimi dla przyjemności samochodem, ale ja nigdy nie mogłem wybrać się z nimi na przejażdżkę z racji przepisu wydanego osobiście przez Kim Ir Sena, który zabraniał używania samochodów służbowych do celów prywatnych. Gdyby ktoś zauważył, że podwożę dzieci do szkoły samochodem przeznaczonym do pracy, byłby to wystarczający powód, żeby mnie zwolnić. Kiedyś pewien wicepremier zawiózł swego chłopaka do przedszkola samochodem służbowym i został wyrzucony z pracy, żeby dać przykład innym. Nikt nie ośmielał się lekceważyć poleceń Kim Ir Sena, ale dzieci, jak to dzieci, prosiły mnie o tę przejażdżkę, a ja nigdy tej prośby nie mogłem spełnić.

Mój roczny syn na zdjęciu z 1989 roku, wykonanym w studiu fotograficznym w Pjongjangu. U dołu widać rozmaite rekwizyty studyjne, mające wyobrażać szczęśliwość dziecięcej egzystencji w Korei Północnej. „Żyjmy życiem bohaterskim i walczmy o rewolucję”.

Moje dzieci; zdjęcie wykonane w Pjongjangu 15 kwietnia 1991 roku, mniej więcej dwa lata przed moim aresztowaniem. Powszechnym obyczajem w Korei Północnej jest robienie zdjęć rodzinnych 15 kwietnia – w święto narodowe upamiętniające urodziny Kim Ir Sena.

Kiedy moja córka J. chodziła już do przedszkola, przynosiła czasami cukierki, które chciała zjeść w domu. Te cukierki – produkcji północnokoreańskiej – były wystarczająco szorstkie, by spowodować krwawienie języka. Ale J. smakowały te pyszności, ale zanim ich dotknęła, układała je przed wiszącymi na ścianie portretami Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila. Pewnego dnia całe gospodarstwo domowe zmieniło się w pandemonium, kiedy

stwierdziła, że kilku cukierków brakuje. Natychmiast oskarżyła o kradzież brata. B. zdecydowanie temu zaprzeczył, ale oboje zaczęli się kłócić, aż żona kazała J. przynieść torebkę z cukierkami. A kiedy to uczyniła, żona zauważyła, że torebka była pogryziona przez myszy. Straconych cukierków to nie wróciło, ale przynajmniej B. dowiódł swej niewinności. Po tym incydencie postanowiłem kupić córce wielką torbę chińskich cukierków za dziesięć dolarów w sklepie za waluty cudzoziemskie. W takich sklepach ludzie uprzywilejowani mogli kupować zagraniczne towary i pamiątki północnokoreańskie, takie jak przedmioty z ceramiki i inne wyroby rzemiosła ludowego. Koreańczykom z Północy nie wolno było posługiwać się walutami zagranicznymi, zamiast tego używali czegoś o nazwie „pieniądze z wymiany walut zagranicznych", które były rodzajem talonów sklepowych z napisaną na nich wartością w walucie. Ponieważ prawo nakazywało Koreańczykom z Północy deponować waluty zagraniczne przed upływem dwudziestu czterech godzin od chwili wejścia w ich posiadanie, posłużyłem się „pieniędzmi uzyskanymi z wymiany walut zagranicznych", by zapłacić za te cukierki. Jakością niewiele przewyższały te krajowe, ale J. promieniała ze szczęścia.

– Droga córko, powinnaś ukłonić mi się tak, jak kłaniasz się naszym przywódcom, kiedy dostajesz cukierki – powiedziałem półżartem, widząc jej uszczęśliwioną twarzyczkę.

Wyraz jej twarzy zmienił się nagle i bez wahania powiedziała, patrząc mi prosto w oczy: – Moja nauczycielka uczy nas, że nie musimy kłaniać się naszym rzeczywistym ojcom.

Kiedy to usłyszałem, zamiast pogniewać się, byłem pod wielkim wrażeniem tego, jak dobrze jest wykształcona, przedkłada bowiem naszych wielkich przywódców nad rodzonego ojca.

Zaraz potem zaczęła grzebać w tej cudownej torbie cukierków i obawiałem się, że może zrujnować sobie zęby. Zezwoliłem jej zjadać tylko pięć cukierków dziennie, ale pewnego dnia odkryłem, że zjadła dwadzieścia. Kiedy spytałem ją poważnie, dlaczego złamała przepis, odparła wstydliwie:

– Tatusiu, nie spróbowałam jeszcze wszystkich smaków, a byłam rzeczywiście ciekawa.

W tym momencie po prostu nie mogłem się spierać z tak elokwentną rozmówczynią.

Ponieważ pracowałem w wojsku w departamencie ds. handlu, zdarzało się często, że po powrocie ze szkoły dzieci przekazywały mi przesłania swoich nauczycieli, domagających się specjalnych względów. Niekiedy przysyłali mi oni listy z prośbą o wsparcie materialne, innym razem przekazywali swoje życzenia za pośrednictwem moich dzieci.

– Tatusiu, moja nauczycielka pytała mnie dzisiaj, czy mógłbyś jej dostarczyć trochę papierosów – mówiła mi J., widząc, że wchodzę do domu.

– Czy twoja nauczycielka pali?

– Nie, ale przedszkole realizuje projekt budowlany. Mówiła, że powinieneś zrozumieć.

J. słowo w słowo powtarzała to, co powiedziała jej nauczycielka. Na pewno nauczycielki wymieniają papierosy, żeby budowa sprawnie przebiegała.

– Ile paczek jej potrzeba? – spytałem.

– Nie wiem, ale powinniśmy im dawać tylko po dwie paczki naraz, ponieważ zawsze proszą o więcej.

Tym razem J. powtórzyła to, co ja mówiłem jej za każdym razem, kiedy w imieniu swojej nauczycielki prosiła o papierosy. Od wczesnych lat dziewięćdziesiątych, w miarę pogarszania się sytuacji gospodarczej Korei Północnej, prośby nauczycieli o wsparcie materialne stawały cię coraz bardziej natarczywe. Starałem się robić co mogłem, ale wkrótce znalazłem się w sytuacji, w której nie byłem już zdolny prośbom tym sprostać. Najsłuszniej skądinąd poirytowany, złożyłem wizytę dyrektorce szkoły i zaprotestowałem.

– Towarzyszko dyrektorko, szkoła najwyraźniej cierpi wskutek złego zarządzania. Jak możecie żądać tyle od rodzica, który troszczy się przede wszystkim o własne dzieci? Wszyscy tu sprawiacie wrażenie, jakby głównym waszym zmartwieniem było, co uda wam się wyłudzić od rodziców, a nie właściwa edukacja dzieci! – Wpadłem w złość, a dyrektorka zbladła jak ściana.

– Podpułkowniku, przepraszam, że sprawiłam wam kłopot. Ale musicie równie dobrze jak ja wiedzieć, że szkoła nie dostaje już dorocznej dotacji od rządu. Musimy polegać na sobie, by kierować jakoś tym miejscem i opiekować się waszymi dziećmi.

Dyrektorka usprawiedliwiała się gorąco, ale prawdę powiedziawszy, nie miała żadnego powodu, bowiem tak jak powiedziała, nie można było utrzymać szkoły, nie wycisnąwszy czegoś od rodziców, ponieważ rząd praktycznie przestał dostarczać konieczne fundusze. Moje rozczarowanie związane było ze smutnymi realiami naszej przeżywającej trudności gospodarki. Trudno było zaspokoić elementarne potrzeby życia codziennego,

takie jak jedzenie, ubranie, edukację. I nic na to nie mogłem poradzić. Dyrektorka szkoły również. Pozostała nam tylko przedsiębiorczość i cierpliwa nadzieja na lepsze czasy.

Fundusze lojalności

Żaden Koreańczyk z Północy nie zdziwiłby się, słysząc, że w nękanym kłopotami państwie socjalistycznym kwitną najbardziej rozpasane formy kapitalizmu. Jeśli sobie dobrze przypominam, stało się to rzeczywistością już pod koniec lat siedemdziesiątych. W tym czasie, traktując to jako dowód najwyższej lojalności wobec Wielkiego Wodza, szef Koreańskiej Armii Ludowej, generał Oh, przedłożył Kim Ir Senowi propozycję, w myśl której każda jednostka wojskowa miała powołać wydział zarabiający obce waluty na swoje własne potrzeby, by ulżyć trosce Wielkiego Wodza o ogólnokrajowe kłopoty ekonomiczne. Wkrótce propozycję tę zaakceptowano, a Wielki Wódz nakazał, by każda jednostka wojskowa przystąpiła do wcielania w życie planu generała Oha. Konsekwentnie zatem Ludowe Siły Zbrojne (*Inmin muryeokbu*), Agencja Bezpieczeństwa Narodowego[41] i Agencja Bezpieczeństwa Publicznego (*Sahoe anjeonbu*)[42], potężne organizacje, wymienione tu w kolejności odpowiadającej ich wpływom i potędze, powołały w ramach swoich struktur organizacyjnych wydziały zarabiające waluty zagraniczne. Każdy wydział kierował spółkami handlowymi; ta, w której pracowałem dla ABN, nazywała się West Sea Asahi Trading Company. Pod

koniec lat osiemdziesiątych zadaniem naszej spółki było uzyskanie pół miliona dolarów zysku rocznie z eksportu lukratywnych dóbr takich jak grzyby, zioła lekarskie, owoce morza i temu podobne. Jednak na początku lat dziewięćdziesiątych Kim wysłał nakaz podniesienia kwoty tego zysku do miliona dolarów, co wyeliminowało słabsze spółki. Nasza spółka przetrwała, ponieważ nigdy nie miała problemu z realizacją wyznaczonego celu.

Jako oficer ABN zarabiający zagraniczne waluty dla partii zawsze miałem dostęp do różnych dóbr, nigdy zaś problemów z utrzymaniem rodziny. W półprywatnej firmie, w której generowanie zysku było celem nadrzędnym, każdy oficer chciał się wyróżnić. Wydział zarabiający zagraniczne waluty był małą wyspą kapitalizmu w tym wysoce kontrolowanym państwie, wyjątkowo też konkurencyjnym środowiskiem wewnątrz gigantycznego systemu, obciążonego ospałymi i skorumpowanymi robotnikami. Konkurencja była twarda. W przeciwieństwie do wielu niekompetentnych rodaków, każdy w spółce pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. W West Sea Asahi Trading Company było około trzydziestu pracowników – wszyscy w stopniu pułkownika lub podpułkownika. Kierował nimi jednogwiazdkowy generał. Oczywiście był to tylko mizerny ułamek tej społeczności, którą zaangażowano w zarabianie walut zagranicznych. W każdej prowincji spółka West Sea Asahi Trading Company miała swoją filię, na czele z podpułkownikiem, który dowodził 300–500 miejscowymi robotnikami i członkami personelu biurowego. Robotnicy ci pracowali z innymi miejscowymi rolnikami i robotnikami, którzy tworzyli najbardziej

odległe ogniwa kierowanego przez państwo kapitalistycznego łańcucha pokarmowego.

Wszyscy pracowali ciężko, jak na polu bitwy, by uzyskać nadwyżkę ponad minimalną roczną kwotę jednego miliona dolarów. Ponieważ spółki działały pod pełną ochroną Wielkiego Wodza oraz partii i miały monopol na lukratywne towary eksportowe, zarobienie miliona dolarów nie było szczególnym wyzwaniem. Wprost przeciwnie, każda spółka handlowa osiągała nadwyżkę, która w ostatecznym rozrachunku napełniała kieszenie ludzi na stanowiskach partyjnych. Jeżeli pracownik spółki mógł przyczynić się do nagromadzenia bogactwa dla swego przełożonego, był faworyzowany i dbano o niego. W ten sposób doszło do ostrej walki konkurencyjnej między podwładnymi w celu gromadzenia bogactw dla ich przełożonych. Opierając się na moim osobistym doświadczeniu z pracy dla West Sea Asahi Trading Company, mogę powiedzieć, że całość zysku dzielono między Partię Pracy Korei a spółkę w proporcji, z grubsza rzecz biorąc, 7 do 3, co oznacza, że średnio nadwyżka wynosiła dobrze ponad 400 tysięcy dolarów. Zysk, który nie został wchłonięty przez partię, lądował jako rodzaj inwestycji na poczet przyszłych interesów. Część szła na łapówki dla grubych ryb, które ułatwiały działalność spółki, pozostałe fundusze z nadwyżki trafiały na szwajcarskie konta szefów spółki albo w inne tajemne miejsca.

Jeśli idzie o West Sea Asahi Trading Company, to głównym jej artykułem eksportowym były owoce morza. Innym bardzo lukratywnym interesem, zmonopolizowanym przez biuro Kim Dzong Ila, i głównym źródłem zarabiania walut zagranicznych był eksport grzybów do Japonii. Nasza spółka została doń

wprowadzona, by ułatwić tę operację. Grzyby najwyższej jakości mogły kosztować nawet 300 tysięcy dolarów za tonę, trzeba je jednak było wyeksportować wkrótce po zebraniu, by dotarły do odbiorcy świeże. A to mogło być trudne. Była raz grupa hodowców grzybów, która domagała się większych przydziałów żywności w zamian za swój plon. Na znak protestu odmówili oni przekazania grzybów, które tego samego jeszcze dnia miano wysłać do Japonii. Dobrze wiedziałem, że ci hodowcy otrzymują jedynie skąpe przydziały za swoje lukratywne produkty. Straciliby przytomność, gdyby wiedzieli, ile zagranicznej waluty przynoszą ich plony i jak absurdalnie maleńki udział przypada im w całym schemacie podziału zysku. Ponieważ jednak moja praca polegała na zapewnieniu, że produkty zostaną dostarczone do Japonii na czas, musiałem opracować jakiś plan awaryjny. Liczyła się każda sekunda w przygotowaniu przesyłki, byłoby więc niezgodne z własnym interesem, a nawet niebezpieczne, przeciwstawić się wprost gniewowi tych hodowców. Zaofiarowałem im więc wino ryżowe w wielkiej obfitości, jako wstęp do rozmów, ale mój plan w istocie polegał na ich upiciu. Częstowałem ich drinkami, sam udając tylko, że z nimi piję, i zapewniałem, że zawieramy pokój. Hodowcy – nieprzyzwyczajeni, by ich tak traktowano – skorzystali z okazji. A kiedy ostatni z hodowców bliski był już utraty przytomności, kazałem swoim podwładnym załadować samochód skrzynkami grzybów. Musieliśmy całą noc bez przerwy jechać na lotnisko w Pjongjangu, żeby dotrzymać ustalonego terminu wysyłki. Końcowym akcentem owego nadzwyczajnego planu było nadanie ciężarówce wyglądu karawanu. Dzięki temu oszczędziliśmy sporo czasu na punktach kontrolnych.

Handel owocami morza odbywał się przeważnie na Morzu Wschodnim (Morze Japońskie), które rozciąga się między Koreą a Japonią. Podczas przeładunku owoców morza udawałem się na pokład statków japońskich, by odebrać płatność w gotówce. Partnerzy japońscy nie powinni w zasadzie opuszczać swoich jednostek. Ale w Korei Północnej możliwe jest praktycznie wszystko – jeśli oczywiście ma się odpowiednie koneksje – co nie zostało całkowicie zakazane przez Wielkiego Wodza, toteż wykorzystując moją sieć wpływów, czasem wyprowadzałem ukradkiem moich japońskich partnerów handlowych ze statku i wiozłem ich do regionów wypoczynkowych, gdzie mogli zabawiać się z koreańskimi ślicznotkami. Kobiety te były dobrze wyszkolonymi pracownicami, które rozumiały, że świadcząc dyskretne usługi, mogą zarobić trochę zagranicznych pieniędzy na własny użytek. Nalegałem na partnerów japońskich, by dawali dziewczynom sowite napiwki. I sprawdzałem, czy dziewczyny zostały przyzwoicie wynagrodzone. Mimo że nie uganialiśmy się za nimi, zawsze kiedy podróżowaliśmy, spotykaliśmy się z wieloma przychylnymi naszym prośbom kobietami. Musieliśmy spotykać się z władzami prowincjonalnymi, które chętnie kojarzyły oficjeli z Pjongjangu z miejscowymi pięknościami. Większość tych kobiet dobrze wiedziała, że dolary amerykańskie i jeny japońskie mogą zapewnić im kosztowne artykuły, niedostępne dla zwykłych ludzi, i chętnie oferowały swoje usługi. Większość z nich była początkującymi sekretarkami partyjnymi, które dobrze nauczono, jak się zachowywać i że należy milczeć na temat tych zakazanych kontaktów. Wiele było Koreankami, które dawniej mieszkały w Japonii, ale postanowiły przyjechać do Korei

Północnej. Kobiety te, z zagranicznym doświadczeniem, potrzebowały twardych walut, by uzyskać zagraniczne dobra dla utrzymania dawnego stylu życia, i wiele zgłaszało się dobrowolnie, by zaspokoić swoją żądzę konsumpcji.

Jeśli te kobiety były luksusowymi prostytutkami, to na przeciwległym biegunie północnokoreańskiego sex-biznesu plasowały się dziwki uliczne, które pętały się koło restauracji walutowych. Czekały one, aż klient wyjdzie, i pytały: „Chcesz kupić nocne kwiaty?". Złapane zsyłane były do zakładów poprawczych, gdzie poddawano je torturom i przymusowi ciężkiej pracy, ale nie było żadnej metody, by powstrzymać je od zarabiania twardych walut w jedyny sposób, jaki znały. Kobiety te były uzależnione od kosztownych zagranicznych ubrań i nadal prowadziły swój nielegalny biznes, nawet za cenę surowej kary. Dziwki uliczne uprawiały swój zawód na długo jeszcze, zanim do władzy doszedł Kim Dzong Il, ale ponieważ trudności gospodarcze dotknęły wszystkich, liczba kobiet sprzedających nocne kwiaty systematycznie rosła.

Praca w spółce handlowej dała mi dwukrotnie możliwość wyjazdów do Związku Sowieckiego – po raz pierwszy w roku 1982, drugi w roku 1987. W czasie pierwszej podróży dotarłem na Sachalin, gdzie omawialiśmy możliwości przyszłego handlu z Rosją i Japonią bezpośrednio na granicy morskiej, co obiecywało bardziej wydajny sposób handlowania owocami morza niż przez porty handlowe. Drugą podróż odbyłem do Chabarowska, gdzie omawialiśmy z partnerami sowieckimi możliwości rozszerzenia wspólnych przedsięwzięć. W owym czasie zarówno Związek Sowiecki, jak i Korea Północna czerpały zyski z obecności

północnokoreańskich robotników na Syberii, którzy zapewniali tanią siłę roboczą Sowietom, a do Korei Północnej przywozili zagraniczną walutę. Jedną ze spraw, które omawialiśmy podczas drugiego spotkania, było założenie fabryki przerobu czarnych jagód, których na Syberii było w bród. Wysokoprocentowe alkohole z czarnych jagód były w Korei Północnej bardzo popularne, ale realizacja tego wspólnego przedsięwzięcia okazała się bardziej skomplikowana, niż myśleliśmy z początku. Każda podróż trwała około dwunastu dni, ale zobaczyłem wiele rzeczy, które były inne niż w Korei. Ogólnie rzecz ujmując, odniosłem wrażenie, że Sowieci cieszą się większym stopniem wolności słowa i mówią źle o naszym Wielkim Wodzu Kim Ir Senie. Mówili również źle o swoim przywódcy, Andropowie. Ludzie, z którymi się spotykaliśmy, aczkolwiek pracowali dla rządu sowieckiego, byli w sercu brutalnymi marynarzami – stawali się nawet jeszcze bardziej grubiańscy, kiedy sobie wypili. Mówili swobodnie o wszystkim. Nas, gości, zabrano do imponującej restauracji-baru, gdzie serwowano szeroki wybór owoców morza – marynowane śledzie, wędzonego łososia, ostrygi i jesiotra – i każdy mógł zjeść tyle, ile chciał. Małe dzieci, ze swoimi różowymi policzkami i ostrymi noskami płonącymi czerwienią od syberyjskich zamieci, pętały się przy stolikach. Kiedy dałem małej, tłustej blond dziewczynce serdecznego prztyczka w nos, uśmiechnęła się i powiedziała: „Nielzia!”[43].

Jesień 1988 roku była najbardziej chwalebnym momentem mojej kariery zawodowej jako oficera zarabiającego waluty zagraniczne w West Sea Asahi Trading Company. Mój szef, K., chciał mnie awansować na wyższe stanowisko w ABN, polecając

mi osobiście ofiarować 360 tysięcy dolarów Kim Dzong Ilowi pod wzniosłą nazwą „funduszu lojalności”. Była to w Korei Północnej praktyka powszechna. Namiętnymi darczyńcami było wielu starszych Koreańczyków, którzy mieszkali w Japonii, a których dzieci i wnuki żyły w Korei Północnej, mieli oni bowiem dostęp do zagranicznych walut i chcieli, by reżim północnokoreański dobrze troszczył się o ich potomków. Te szczodre wpłaty nie ograniczały się do twardych walut, często były to inne dobra o znacznej wartości. Pewien rolnik natknął się na trzystuletni korzeń żeń-szenia i wysłał go Ukochanemu Przywódcy jako daninę lojalności. Tego rodzaju wypadkom nadawano szeroki rozgłos w środkach masowego przekazu, by zachęcić innych do naśladownictwa.
W roku 1988, kiedy wniosłem swój fundusz lojalności, Kim Dzong Il potrzebował zagranicznych walut bardziej niż kiedykolwiek. Korea Południowa była tego roku gospodarzem Igrzysk Olimpijskich, a Korea Północna gościła gigantyczny Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Festiwal ten organizowano już wcześniej dwunastokrotnie, ale w roku 1989 urządzono go tak, by był okazalszy niż olimpiada. Wciąż pamiętam, jak wszedłem do gmachu Komitetu Centralnego Partii Pracy Korei i wręczyłem mój fundusz lojalności. Dyrektor trzydziestego ósmego biura zajmował się wyłącznie prywatnymi funduszami Kim Dzong Ila. Następny miesiąc przeżyłem w radośnie niecierpliwym wyczekiwaniu, wiedząc, że będę w jakiś sposób uhonorowany za mą donację na rzecz Ukochanego Przywódcy i partii. Istotnie nieco ponad miesiąc później dowiedziałem się, że Ukochany Przywódca podpisał list nakazujący partii troszczyć się o mą rodzinę. Taki list był w Korei Północnej gwarancją sukcesu nie

tylko dla mnie, lecz również dla moich dzieci i wnuków. Kiedy Ukochany Przywódca okazał taką łaskawość, dla osoby tak hojnie obdarowanej organizowane były uroczystości. Zostałem wezwany do Komitetu Centralnego, gdzie podczas podniosłej ceremonii wręczono mi ten list. Napuchłem z dumy i szczęścia. Moja żona ocierała łzy radości. Mój wielkooki syn, zbyt młody, by pojąć znaczenie tej okazji, zachwycony spoczywał w ramionach żony. Następnego dnia gazeta północnokoreańskiej Armii Ludowej opisała tę ceremonię w dużym artykule, chwaląc me patriotyczne działania w arcypochlebny sposób.

Wszyscy jesteśmy szczęśliwi

Jakkolwiek moje życie osobiste rozwijało się w ustalony wcześniej sposób – bezpieczna praca, rezydencja w Pjongjangu, małżeństwo, dzieci, awans i uznanie dla mojej osoby wyrażone przez partię i samego Ukochanego Przywódcę – widziałem również wiele rzeczy, o których się nie mówiło. Na początku 1994 roku w mieście Sinuiju żyła grupa włóczęgów przybyła z regionów wiejskich o gospodarce tak złej, że nie można było z niej wyżyć. Ludzie przezwali ich pingwinami, przemieszczali się bowiem w grupach i nosili czarne, obszarpane łachmany. Nie mieli gdzie mieszkać ani pracować, nosili więc tobołki z całym swoim dobytkiem – brudnymi kocami, powgniatanymi garnkami, butami z dziurami i innymi artykułami. Utrzymywali się głównie z żebraniny lub wykonywania dorywczych prac, takich jak

noszenie worków mąki importowanej z Chin, za którą to pracę zapłatą był worek mąki. Wciąż jeszcze mam przed oczami żywy obraz tych pingwinów i myślę sobie, że wyglądali raczej jak uchodźcy z wojny koreańskiej niż obywatele wspaniałej, szczęśliwej republiki socjalistycznej.

Ponieważ moja praca, jako funkcjonariusza handlu zagranicznego, pozwalała mi podróżować po całej Korei Północnej, byłem świadkiem wielu tragedii, których inni ludzie nie widzieli. Sytuacja w Pjongjangu nie była tak zła jak gdzie indziej, ale na początku lat dziewięćdziesiątych nawet pjongjańczycy zaczęli borykać się z problemami żywnościowymi. System przydziałów żywności stawał się równie zaburzony jak wszędzie indziej w kraju, ale obywatelom wiodło się lepiej, gdyż mieli trochę władzy, której nadużywali. Mogli zazwyczaj dostać jedzenie, jakiekolwiek chcieli, przez kanały podziemne. Sytuacja tych, którzy mieli krewnych za granicą albo możliwość podróżowania za granicę, była relatywnie lepsza od sytuacji ludzi, którzy uwięźli na wsi, ponieważ mogli sprzedać zagraniczne dobra, które były wielce pożądane przez zamożnych Koreańczyków, gotowych zapłacić za nie każdą cenę.

Pamiętam, jak na początku lat osiemdziesiątych, dowiedziałem się o nieszczęsnych byłych japońskich Koreańczykach (*buksong gyeopo*) w mieście Hamhung. Byli oni etnicznymi Koreańczykami i przedtem mieszkali w Japonii, ale zdecydowali się wrócić do ojczyzny i przedłożyli Północ – jako prawowite miejsce ich pochodzenia – nad Południe. Tych w Hamhung odwiedzili miejscowi członkowie partii, którzy wymogli na nich daninę na rzecz budowy pomnika Kim Ir Sena. Odwiedzający złożyli im

fałszywą obietnicę, że dostaną w zamian prawo zamieszkania w Pjongjangu. Jeden japoński Koreańczyk, wpłaciwszy przyzwoitą sumę, czekał i czekał na odpowiedź, aż się zniecierpliwił i zaczął naprzykrzać się temu miejscowemu dygnitarzowi partyjnemu w sprawie przeniesienia prawa stałego pobytu. Rozzłoszczony częstymi kontaktami dygnitarz partyjny zgodził się spotkać z nim późną nocą w magazynie na peryferiach miasta. Kiedy pełen nadziei japoński Koreańczyk się pojawił, dygnitarz odrąbał mu głowę siekierą. Następnie porąbał ciało, włożył części do kufra i wyrzucił do morza. Kiedy jakiś rybak znalazł kufer, miejscowe władze zleciły mordercy prowadzenie śledztwa w tej sprawie!!! W końcu kryminalistę zdemaskowano i został publicznie stracony.

Jest też mniej ponury incydent związany z byłym japońskim Koreańczykiem, o którym usłyszałem od mojego kolegi z ABN. Powszechną wśród tej grupy praktyką była kremacja przodków, umieszczanie ich szczątków w dzbanie i trzymanie w domu. Kiedy nadchodził czas upamiętniania śmierci zmarłych przodków w dorocznej ceremonii (*jessa*), japońscy Koreańczycy wynosili dzbany, kłaniali się im i składali ofiary. Kremacja nie była obyczajem znanym Koreańczykom z Północy, a zatem kiedy para złodziei włamała się do gospodarstwa domowego pewnego japońskiego Koreańczyka, pomyśleli sobie, że szczątki w wykwintnym dzbanie to jakieś lekarstwo ziołowe, które bogaty ziomek z Japonii wysłał swoim krewnym w Korei Północnej. Tak więc złodzieje ukradli dzban, ze szczątków uwarzyli napój i wyżłopali go jak wyjątkowy przysmak. Kiedy były japoński Koreańczyk odkrył, co się stało, był wściekły i zrozpaczony, ale

w końcu zaniechał pomysłu oskarżenia złodziei, ponieważ byli oni teraz jedynym łącznikiem, jaki miał ze zmarłymi rodzicami. Zapraszał więc złodziei, żeby siedzieli zamiast dzbanów, i składał im ofiary w dorocznej ceremonii ku czci przodków. Ale wiele historii nie kończyło się zbawnie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych w kolektywnym gospodarstwie rolnym Chilgol w miejscowości Mangyeongdae dokonano straszliwego zbiorowego morderstwa, którego ofiarą padło trzynaście osób. Informacja o tym przedostała się do wiadomości publicznej, kiedy pewien chirurg poszedł na targ, żeby kupić wieprzowinę na urodziny ojca. I znalazł niezwykle świeże mięso na straganach. Ale wkrótce – z racji swego wyszkolenia zawodowego – uświadomił sobie z przerażeniem, że patrzy na ludzkie mięso. Zapytał rzeźnika o cenę i stwierdził, że jest znacznie niższa. Kupił kilogram i ruszył prosto na posterunek policji, gdzie rzucił mięso na biurko komendanta i krzyknął do niego:

– Ty bydlaku, co ty robisz, kiedy w mieście dzieją się takie okropności!

– Oszalałeś, co ty tutaj wyprawiasz, rzucając mięso na biurko? – odkrzyknął mu komendant policji.

– Spójrz, ty brudna świnio, to, na co patrzysz, jest ludzkim mięsem!

Dopiero wówczas komendant policji uświadomił sobie, na co patrzy – bezkształtne mięso ciągle jeszcze wydzielało zapach świeżej krwi. Śledztwo, które w następstwie tego podjęto, ustaliło, że cała rodzina rzeźnika była zamieszana w tę szaloną serię kanibalistycznych zabójstw, które były umotywowane głębokimi

problemami gospodarczymi. Rodzina otworzyła stragan na targu w mieście i zauważyła dwóch krzepkich chłopów, którzy próbowali sprzedać worek ryżu. Żona podeszła do owych niczego niepodejrzewających ludzi, żeby kupić ryż, i powiedziała im, żeby poszli do jej domu odebrać zapłatę. A kiedy przyprowadziła ich do swego domu, położonego z dala od ruchliwych ulic, jej mąż i brat zabili ich i poćwiartowali ostrymi nożami. Mężczyźni natychmiast rozebrali ciała na mięso, a żona przyniosła je na targ. W tym czasie mężczyźni spalili szczątki w piecu. Ta grupa została ujęta po zaszlachtowaniu trzynastu ofiar. My, odpowiadający w wojsku za bezpieczeństwo, dowiedzieliśmy się o tym incydencie wkrótce po jego odkryciu, z raportów kryminalnych.

Niewiarygodne wypadki kanibalizmu były zbyt liczne, by wszystkie je wymienić, ale wszystkie łączyło jedno: ludzie dopuszczali się tych niesłychanych czynów, kiedy byli zagłodzeni na śmierć. Aby przeżyć, zmieniali się w zwierzęta. W górniczym mieście Bukchang, na południu prowincji Pyongan, pod koniec lat osiemdziesiątych wstrzymano państwowe racje żywnościowe. Sprawy przybrały naprawdę zły obrót i do początku następnej dekady wiele z osób po prostu znikło. Pewien człowiek po sześćdziesiątce spędzał całe dnie na szukaniu trawy i kory drzewnej u podnóża góry, stopniowo umierając z wyczerpania i głodu. Ale pewnego dnia, kiedy oparty o drzewo jadł korę, zobaczył ceremonię pogrzebową w górach. Wieczorem tego samego dnia wrócił na miejsce pochówku, rozkopał ziemię, otworzył trumnę i zawlókł zwłoki do swej chaty. Tam zamarynował mięso zmarłej osoby i przechowywał je w wielkim słoju. Kiedy starego człowieka ujęto, spożywał mięso trzeciego trupa, którego znalazł.

Inny incydent, w miejscowości Haeju w prowincji Hwanghae, wiąże się ze staruszką, która oszalała i zanurzyła głowę swojej wnuczki w dużym garnku wrzątku. Jej synowa wyszła z domu, żeby wyżebrać trochę jedzenia, podczas gdy jej teściowa opiekowała się niemowlęciem. Babcia zemdlała, kiedy usłyszała, że dziecko krzyknęło, by nigdy już więcej nie otworzyć oczu. Było to wiosną, w najgorszej porze roku dla wieśniaków – na długo przed zebraniem pierwszego plonu i długo po zjedzeniu ostatniego ziarna z plonu zeszłorocznego.

W 1992 roku jechałem w interesach do Jeongju. Gdy jechałem niewybrukowaną wiejską drogą, suchy kurz unosił się na poboczach. Zobaczyłem przede mną kobietę i zwolniłem, by nie wzniecać zbyt wiele kurzu. Kiedy przejeżdżałem obok niej, zauważyłem, że stoi tam, ledwie się ruszając. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała upaść. Zatrzymałem samochód i zaproponowałem jej podwiezienie, mimo że było to wbrew zasadom obowiązującym w spółce. Była zmęczona, okrywał ją pot zmieszany z kurzem, a jej zaczerwienione oczy zlepione były śluzem. Spytałem ją, skąd pochodzi i dokąd zmierza. Kobieta ta ledwie mogła mówić, ale po krótkiej przerwie opowiedziała mi swoją historię. Jej mąż był robotnikiem w fabryce chemicznej w Anju. Mieli dwójkę dzieci, ale kiedy wstrzymano racje żywnościowe, nie było żadnej metody utrzymania się w rodzinnym mieście. Tak więc mąż i ona wzięli po dziecku i poszli szukać żywności. Ona pochodziła z rolniczej wioski Jeongu, toteż zostawiła dziecko w domu i była właśnie w drodze do miasta, mając nadzieję znaleźć tam nieco pożywienia. Nic nie jadła od trzech dni i nie wiedziała, gdzie jest jej mąż i drugie dziecko.

Miałem trochę jaj na twardo, które żona dla mnie zapakowała, zaproponowałem więc jej jedno. Wzięła jajo w dłoń, ale nie mogła go podnieść do ust. Ręce drżały jej tak silnie, jak gdyby nie mogły znieść ciężaru jaja. Kiedy wysadziłem ją na małej uliczce rodzinnego miasteczka, patrzyłem, gdy oddalała się w stronę domu rodziców. Była to na poły rozwalona szopa i nie wyglądało na to, że ta wyczerpana kobieta zbyt wiele tam dostanie.

Jeszcze wcześniej, zanim trudności ekonomiczne zaczęły zostawiać makabryczne ślady, w kwietniu 1982 roku byłem świadkiem publicznej egzekucji pięćdziesięcioletniego mężczyzny w Nampo – porcie położonym opodal Pjongjangu. Przed rokiem 1982 program racjonowania żywności w Korei Północnej wciąż jeszcze funkcjonował normalnie, wielu ludzi jednak borykało się z trudnościami, zwłaszcza na wsi. Stracony mężczyzna był zatrudniony w kolektywnym gospodarstwie rolnym, gdzie dostarczał wodę. Pewnego dnia, kiedy pracował na spłachciu ziemi u podnóża góry, zobaczył młodą kobietę, swoją sąsiadkę, która z tejże góry schodziła z dużym workiem na plecach. Pracowała w stoczni, w tym samym mieście. Jeden z jej kierowników cierpiał na neuralgię, a ona słyszała, że nalewka z płatków azalii może uśmierzyć jego bóle. Poszła więc w góry, żeby nazbierać tych kwiatów, których w kwietniu na wzgórzach jest mnóstwo. Ale ten mężczyzna pomyślał sobie, że ona wraca z pracy z workiem ryżu – racją żywnościową z miejsca pracy. Kiedy zażądał worka, dziewczyna cicho powiedziała: „Ajeossi[44], dlaczego chcesz ten worek?". Była tak zszokowana, że nie mogła wykrztusić nic więcej. Zdesperowany mężczyzna uniósł sierp, żeby

jej pogrozić, ale dostrzegł to sześćdziesięciopięcioletni mężczyzna, który orał glebę u stóp wzgórza.

– Ty bydlaku, zostaw ją! Chcesz ją zabić?

Kiedy starszy mężczyzna zaczął do niego krzyczeć, napastnik zastygł w bezruchu na moment, zostawił dziewczynę i zaczął gonić tego mężczyznę. Ale, o ironio, pięćdziesięciolatek nie mógł złapać sześćdziesięciopięciolatka. Ten ostatni biegł szybko, by ocalić życie, i udało mu się uniknąć niebezpieczeństwa. Pięćdziesięciolatek wrócił na wzgórze, gdzie zostawił dziewczynę. Mimo że miała dość czasu, by uciec, nie mogła się ruszyć nawet o cal, gdyż wciąż była w szoku. Wtedy mężczyzna ją zabił. A kiedy podniósł to, co uważał za worek ryżu, zdziwił się, jak bardzo jest on lekki. Wyprowadzony z równowagi wrócił do domu, spakował cały swój dobytek i powędrował do siostry mieszkającej w następnej wsi, gdzie ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Tamże go aresztowano, osądzono i gdy pierwszy śnieg spadł w listopadzie, zaprowadzono na miejsce straceń. Byłem w Nampo, dokąd mojemu przełożonemu, K., przywiozłem okulary, i wtedy zdarzyło mi się być świadkiem egzekucji tego mężczyzny. Spoglądając na rzecz z perspektywy czasu, rok 1982 wydawał się jeszcze okresem spokojnym, ale niewykluczone, że to właśnie początek kryzysu żywnościowego skłonił tego mężczyznę do zamordowania sąsiadki za to, co, jak myślał, było workiem ryżu. Rząd urządził z tej sprawy publiczną pokazówkę, żeby zaprowadzić prawo i porządek, ale większość świadków żywiła uczucia niepochlebne wobec rządu. Jeśli dobrze sobie przypominam, zgromadzeni na miejscu straceń wyglądali, jakby ujrzeli czarną chmurę przysłaniającą los ich kraju. Wszyscy

milczeli, ale ich pusty wzrok zdawał się mówić: „Co zdarzy się dalej, w *nieznanej przyszłości?”*. Czyż mogliśmy podówczas wiedzieć, że to tylko preludium nadchodzącej nieopisanej tragedii?

---

[38] Kim Chaek był jednym z najbardziej zaufanych towarzyszy Kim Ir Sena od czasów mandżurskich. W Korei Północnej jest czczony jako jeden z najbardziej szanowanych przywódców do tego stopnia, że jedno z miast nazwano jego imieniem.

[39] Mieszkańcy Korei Północnej nie mogą swobodnie wybierać miejsca swego stałego pobytu. Aby się przeprowadzić, muszą mieć zezwolenie. Pjongjang jest najbardziej cenionym pod tym względem miejscem. Jedynym dla mieszkańców prowincji sposobem, by się do tego miejsca przeprowadzić, jest ożenek z rdzennym pjongjańczykiem bądź uzyskanie pracy w tym mieście.

[40] Gang Geon był jednym z adiutantów Kim Ir Sena w czasie walki z Japończykami o wyzwolenie kraju.

[41] Odpowiednik Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

[42] Odpowiednik sił policyjnych; po roku 1998, nazwę tej jednostki zmieniono na Agencja Bezpieczeństwa Ludowego (*Inmin boanseong*), za: David Hawk, *The Hidden Gulag: Exposing North Korea’s Prison Camps*, U.S. Committee for Human Rights in North Korea, Washington D.C., s. 22.

[43] Rosyjskie: nie można.

[44] Dosłownie po koreańsku słowo to znaczy „wuj”, ale może być użyte w stosunku do starszego mężczyzny.

Rozdział trzeci
Upadek wzorcowego obywatela

Sekret rodzinny

W miarę jak moje życie stawało się coraz bardziej normalne, coraz bardziej też interesowało mnie moje własne pochodzenie. Skąd pochodzę? Co stało się z moimi biologicznymi rodzicami, w jaki sposób trafiłem do sierocińca? Nic na ten temat nie wiedziałem i płonąłem z ciekawości za każdym razem, gdy zadawałem sobie te pytania. A że bardzo absorbowała mnie praca w spółce handlowej, nie miałem zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad swoją przeszłością. W końcu jednak ciekawość przerodziła się w postanowienie, że muszę dowiedzieć się czegoś o rodzicach. To, że wychowałem się jako sierota, dało mi w Korei Północnej korzystny status męczennika, ponieważ straciłem rodziców, gdyż bronili oni kraju. Czerpałem również korzyści z tego, że moi rodzice adopcyjni odgrywali wpływowe role w partii. Mimo, że nie łączyły ich ze mną więzy krwi, to sam fakt posiadania takich

rodziców poprawiał mój status. Nie zmieniało to faktu, że odczuwałem rosnącą potrzebę dowiedzenia się czegoś o moich rodzicach biologicznych.

Postanowiłem odwiedzić moją drogą mamkę, Kim Hye-hwa, kobietę, która wychowywała mnie w sierocińcu. W 1988 roku zadzwoniłem do sierocińca i spytałem o nią. Była emerytką, mieszkała z pasierbicą w mieście Byeokseong, w prowincji Hwanghae. Kiedy miałem możliwość zatrzymać się w pobliskim biurze biznesowym, odwiedziłem niespodzianie jej dom.

– O mój Boże... nigdy nie marzyłam o tym, że dziś cię zobaczę!

Moja droga niania wylała strumień ciepłych łez, jako że od razu rozpoznała mnie w drzwiach. Od chwili przeprowadzki do Pjongjangu, pod koniec lat siedemdziesiątych, odwiedziłem ją zaledwie kilka razy i upłynęło niemal dziesięć lat od chwili, kiedy się ostatnio widzieliśmy, ale była taka sama jak przedtem, miła i kochająca, teraz po prostu starsza i słabsza. Była honorową dyrektorką miejscowego sierocińca, którym kierowała jej pasierbica. Ulżyło mi na widok, że pasierbica i zięć, który pracował w miejscowej organizacji partyjnej, troszczą się o nią. Spytałem ją, jak znalazłem się w sierocińcu. Na szczęście, wyprowadzając się z Pjongjangu do Byeokseongu, zabrała kopię dokumentacji archiwalnej sierot, którymi opiekowała się osobiście. Zerknęła na moją teczkę i znalazła informację, że zostawił mnie w domu dziecka młody mężczyzna, zwany H. W dokumentacji był również jego adres: wieś Daepyeong, w prowincji Hwanghae. Stara niania przepisała ten adres i wręczyła mi go ze znaczącym spojrzeniem.

Wkrótce potem odwiedziłem tę wieś i spytałem o H. Wieśniacy powiedzieli mi, że ten człowiek pracuje teraz jako dyrektor generalny fabryki żywności w pobliskim miasteczku. Wiedziałem, że spotkanie z nim może dłużej potrwać, tak że już gotów byłem odjeżdżać, kiedy starszy mężczyzna na rogu ulicy przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

– Czy nie nazywacie się przypadkiem S.?[45].

Gwałtownie się ku niemu odwróciłem.

– Tak, tak jest – odparłem.

– Nie poznajecie mnie?

Mężczyzna był w podeszłym wieku – miał zapadłe policzki, ciemne obwódki wokół oczodołów. – Nie, nie poznaję – mruknąłem.

– Oczywiście, co za głupiec ze mnie, że o to pytam. Byliście niemowlęciem, kiedy wyjechaliście. Jak macie cokolwiek pamiętać, biedaku? A jeśli o mnie idzie, to jestem dalekim krewnym waszej matki.

Powiedziawszy tę zaskakującą rzecz, westchnął głęboko i spuścił ze smutkiem oczy. Chłód przebiegł mi po karku. Z jednej strony poczułem się ogłuszony spotkaniem z krewnym, pierwszą znaną mi osobą tej samej co ja krwi, z drugiej jednak zszokowała mnie niewróżąca nic dobrego mina tego człowieka. Jeśli był moim dalekim krewnym, to dlaczego był tak przygnębiony? Czy ucieszyło go spotkanie, skoro nie widział mnie od mego niemowlęctwa? Nie chciałem go pytać o nic więcej. Dziwna reakcja tego staruszka podziałała jak wiadro lodowatej wody wylane na moją palącą ciekawość. Nie czułem się na siłach wypytywać więcej o swoją przeszłość. Chciałem jak najszybciej

wrócić do domu w Pjongjangu, do znajomych twarzy żony i syna, do ciepłych objęć kochającej rodziny.

Ale po drodze do Pjongjangu zrządzenie losu sprawiło, że minąłem przy drodze wielki znak fabryki żywności, w której pracował H. Było to kilka minut drogi od wsi. Nie mogłem oprzeć się pokusie dokończenia tej dziwnej, odkrywczej podróży. Kiedy wjechałem na teren fabryki, strażnik zażądał ode mnie dokumentu tożsamości, gdyż zamiast munduru miałem na sobie tylko cywilne ubranie, jak to często mi się w podróżach służbowych zdarzało. Po zbadaniu mojego dowodu tożsamości strażnik uświadomił sobie, że jestem porucznikiem ludowego wojska, i serdecznie mnie zaprosił do środka. Kiedy wszedłem do gabinetu H., ów popatrzył na mnie arogancko. Zachowywał się protekcjonalnie, całkiem stosownie do zajmowanego stanowiska dyrektora, nadzorującego pięciuset czy sześciuset pracowników. Pod jego kierownictwem obsługiwali oni ciastkarnię, gorzelnię i piekarnię. W czasach ciężkich warunków gospodarczych H. miał bardzo w Korei Północnej pożądane stanowisko. Kiedy kontrolowany przez państwo system racji żywnościowych nie gwarantował już dłużej dystrybucji, żywność była ważniejsza niż pieniądze, ponieważ każdy chciał wymieniać ją na to, co miał, by przeżyć. Jeśli ktoś miał dostęp do żywności, to z całą pewnością znaczyło to, że ma dostęp do władzy.

– Co was tu sprowadza? – zapytał mnie H. z zauważalną butą.

– Chciałem was o coś spytać – odpowiedziałem.

– W chwili obecnej nie mamy na zbyciu ani jednej butelki trunku – uciął chłodno rozmowę. Najwyraźniej pomyślał sobie, że przyszedł oficer armii, żeby wyprosić u niego darmową wódkę, tak

samo jak nauczycielki mojej córki z przedszkola wyłudzały różne rzeczy ode mnie. – Pracujecie dla rynku? – zapytał.

– Nie, mam z wami coś do omówienia – odpowiedziałem mu niecierpliwie.

Ton mego głosu kazał mu zwolnić wszystkie sekretarki w biurze i zamknąć drzwi. Odczekałem kilka sekund i spytałem. – Czy znacie może osobę o nazwisku S.?

W tym momencie twarz mu się zmieniła. Oczywista arogancja znikła; pobladł i zastygł w bezruchu, ogłuszony tym, co właśnie usłyszał. Zaniepokojony przyjrzał mi się uważnie. Jego policzki drgnęły, po czym łzy napłynęły mu do oczu i dwoma strumyczkami spłynęły po twarzy. – Jestem waszym wujem. Wasza matka jest w pobliżu, mieszka w naszej wiosce – powiedział drżącym głosem.

Nie mogłem ani wymówić słowa, ani oddychać.

Po krótkiej chwili milczenia kontynuował opowieść, odsłaniając moje prawdziwe pochodzenie.

Wuj powiedział mi, że miałem siostrę, o rok starszą ode mnie, która umarła z głodu po wojnie koreańskiej. Miałem też starszego brata. Moja babka macierzysta nalegała na wuja, by oddał mnie do sierocińca, a brata posłał do Szkoły Rewolucyjnej, gdyż obawiała się, że we własnej rodzinie nie będziemy bezpieczni. Wuj był wówczas nastolatkiem, kończył właśnie gimnazjum, kiedy wsadził mnie na wóz i zawiózł do sierocińca. Zostawił tam swój adres w nadziei, że kiedyś zdołam go odnaleźć.

– Co się stało z moją matką? – spytałem, ledwie dysząc.

– Wolałbym, żebyś nie zadawał tego pytania.

– Muszę wiedzieć. Jak mógłbym o nią nie spytać, skoro dopiero co usłyszałem, że żyje?

– Wszyscy bardzo ucierpieliśmy z powodu twego ojca.

I wuj opowiedział mi, że mój ojciec pracował jako domokrążca po obu stronach 38. równoleżnika, w czasie wojny koreańskiej często go przekraczał. Nikt nie wie, co tak naprawdę się stało, ale rząd północnokoreański aresztował go i stracił za szpiegostwo na rzecz amerykańskiej CIA. Wuj uniknął kary, ponieważ formalnie w dokumentach moi rodzice byli rozwiedzeni, stąd w czasie, kiedy mój ojciec został aresztowany, nie łączyły go z wujem formalne więzy powinowactwa. Później wuj zrobił doktorat i stał się wybitnym specjalistą od fermentacji. Dowiódłszy swych umiejętności fachowych i oddania pracy, mniej się obawiał perspektywy prześladowań za powiązania z amerykańskim szpiegiem.

Mój brat odwiedził wuja w roku 1986, przed dwu laty. Na nieszczęście jednak nie był sam. Pojawił się również doradca polityczny z partii, by sprawdzić jego pochodzenie, a to w celu zarekomendowania go na członka partii. Mój brat był robotnikiem wykwalifikowanym, pracownikiem wyróżniającym się pilnością i talentem, toteż jego przełożeni postanowili go wynagrodzić. Każdy Koreańczyk z Północy, by móc awansować albo zostać przyjętym do partii, musiał mieć sprawdzone pochodzenie rodzinne. I z tego powodu mój brat przyjechał do swego rodzinnego miasteczka, które opuścił jako siedmiolatek. Nie mógł nawet przypuszczać, jakie tragiczne następstwa miała pociągnąć za sobą ta jego wizyta. Członek partii, który mu towarzyszył, mało nie zemdlał, uzyskawszy dostęp do teczki brata: nie spodziewał się ujrzeć odrażającego określenia „szpieg amerykański” w aktach wzorowego robotnika. Członek partii był

człowiekiem przyzwoitym; powiedział bratu, że będzie się zachowywać tak, jakby tego dnia nic nie zobaczył. Nie ujrzawszy akt swej rodziny, mój brat nalegał na wuja, by ten wszystko mu powiedział. Dużo czasu mu nie zajęło, by zdać sobie sprawę, że w Korei Północnej nie ma żadnej przyszłości. Ufał, że tym razem uda mu się ocaleć, ale prędzej czy później informacje z jego akt wyjdą na światło dzienne. To tylko kwestia czasu. Trudno było w Korei Północnej o coś gorszego niż mieć za ojca amerykańskiego szpiega, toteż poważnie zaczął rozważać ucieczkę. Zgromadził grupę przyjaciół, którzy podzielali jego plany. Ale ukryty szpieg wśród tej grupy ujawnił ich zamiary władzom, zanim plan się ziścił. Mój brat został aresztowany i stracony. Rozstrzelano go na oczach tłumu w jego miejscu pracy, gdzie dotąd wynoszono go pod niebiosa jako modelowego robotnika. Po jego egzekucji aresztowano również moją matkę i skazano na ciężkie roboty. Odbywszy wyrok, wróciła do rodzinnego miasteczka, gdzie żyje spokojnie, nie rzucając się w oczy.

Jak mi wuj tę historię opowiadał, to moje ręce i nogi zrobiły się gumowe. Zapadła martwa cisza i choć to dziwne, mimo szoku myślałem w tym momencie jasno. Ulgę sprawiło mi, że nikt inny nie był obecny przy tej rozmowie. Ale gdybym się tam pokazał z doradcą politycznym albo członkiem partii, który życzyłby sobie zweryfikować moje pochodzenie rodzinne, byłoby to błędem niewybaczalnym. Aresztowano by mnie z miejsca i nigdy nie wróciłbym do domu. Miałem szczęście, że postanowiłem odwiedzić wuja nieoficjalnie, ale przeszłość lepiej było trzymać w sekrecie, nawet przed samym sobą.

– Nie wracaj. Jeśli możesz, trzymaj się z dala od tego miejsca. Tak będzie lepiej dla wszystkich, ryzyko bowiem, że inni dostrzegą cię w tym miasteczku, jest zbyt wielkie. Nie martw się o akt urodzenia. Wezmę sprawy w swoje ręce i rozwiążę ten problem tak, że wszystko będziesz miał ustawione na przyszłość.

Wuj patrzył na mnie z wyrazem, który był zarazem smutny i stanowczy; czułem, że jest gotów do wszelkich osobistych poświęceń, by chronić mnie przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

– Ale jeśli rzeczywiście musisz zobaczyć swoją matkę, to możesz zatrzymać się tu w czasie podróży służbowej, a ja coś wówczas potajemnie zorganizuję.

Nie pamiętam, jak tego wieczoru dojechałem do Pjongjangu. Uśmiech znikł z mej twarzy, stawałem się coraz bardziej zaniepokojony. Miałem rodzinę, o którą powinienem się troszczyć, lecz jeśli ktoś miałby odkryć moją przeszłość, to co wówczas by się stało? Moja żona była lojalną członkinią partii, która na ołtarzu Kim Ir Sena poświęciła nawet swoje pierwsze dziecko. Jakże mógłbym wyjawić jej moją przeszłość? Jak by zareagowała? Czy opowiedziałaby się po mojej stronie? Warto było pomyśleć nad tym, jak najbliższa mi osoba na świecie zareaguje na tę historię, nad którą nie miałem żadnej kontroli, ale która mogła totalnie zdruzgotać nasze życie. A mój brat!!! Miałem brata!!! Gdybym tylko postarał się dowiedzieć czegoś o swojej przeszłości nieco wcześniej, to może zdołałbym go odwieść od daremnej próby ucieczki! Ale on stracony jest już na zawsze. Myśli o najbliższych krewnych legły mi na duszy wielkim ciężarem i od tego właśnie dnia, dnia, w którym dowiedziałem się o rodzinnej historii,

zmienił mi się charakter. Wcześniej byłem beztroski, radosny i kochający, teraz stawałem się coraz bardziej refleksyjny i drażliwy. Dźwigałem bowiem brzemię fatalnej wiedzy – wiedzy, która mogła zniszczyć wszystkich i wszystko, co najbardziej ceniłem.

Kruche szczęście

– Moje gratulacje. Okazało się, że nie nazywasz się Kim, ale Park.

Mój przełożony D., który zajął miejsce K., był szczęśliwy, mogąc przekazać mi tę wspaniałą wiadomość otrzymaną z urzędu stanu cywilnego w moim rodzinnym miasteczku. Był rok 1989. Jakaś młoda osoba, która przybyła z mojego miasteczka rodzinnego, stała przy nim, najwyraźniej zadowolona, że uradowała tak wysokiego dostojnika.

– Ten oficer ustalił, że prawdziwe nazwisko waszego ojca biologicznego brzmi Park, toteż i wasze nazwisko to Park. Czy w najśmielszych marzeniach wyobrażaliście sobie, że wasze prawdziwe nazwisko nie brzmi Kim W., ale Park S.?

Wyglądał na rozbawionego, myśląc, że odsłonił największą tajemnicę. Wedle przedstawionych mu dokumentów mój „ojciec" był męczennikiem rewolucyjnym z wyśmienitym – wedle standardów północnokoreańskich – pochodzeniem klasowym. Akta urzędu stanu cywilnego stwierdzały, że nazywał się Park Bok-deok i pracował jako wiceprzewodniczący Komitetu Ludowego w prowincji Hwanghae. Cóż za doskonałe pochodzenie zawodowe!

Nie dość na tym jednak, Park Bok-deok umarł również doskonałą śmiercią – stracony przez południowokoreańską policję bezpieczeństwa podczas wojny w 1950 roku. Zaiste, niepokalana metryka. Nic więc dziwnego, że mój przełożony był radośnie podniecony, ponieważ dla przyszłego awansu potrzebny mi był certyfikat starannego sprawdzenia mego pochodzenia. Ja też byłem zdziwiony – nie tyle tym, że mam innego ojca naturalnego, ile faktem, że okazał się nim taki komunistyczny święty, w dokumentach przynajmniej.

Już w chwili, gdy usłyszałem tę wiadomość, byłem pewien, że to robota wuja. Wkrótce po mojej niespodziewanej wizycie musiał naradzić się z moją matką, jak chronić mnie przed zbliżającym się nieuchronnie niebezpieczeństwem. Ponieważ odnosiłem sukcesy w pracy zawodowej, co doprowadziło do szybkiego awansu, było oczywiste, że jakaś wysoka władza wejrzy w dokumenty, żeby sprawdzić moje pochodzenie, co było przymusowym krokiem poprzedzającym awans. A gdyby ktoś staranniej w nie wejrzał, to, co tam by wyczytał, zniszczyłoby mnie. Moja matka i wuj musieli sobie to przemyśleć i wpadli na ryzykowny pomysł. To ona – o czym dowiedziałem się dopiero parę lat później – podsunęła myśl, że powinienem zostać zarejestrowany jako jej dziecko z Park Bok-deokiem, urodzone z nieprawego łoża. Park Bok-deok mieszkał z nią drzwi w drzwi i oboje byli dobrymi przyjaciółmi. Matka zapewniała wuja, że będzie dość świadków, mogących potwierdzić ich zażyły związek. Potem wuj wezwał pewnego urzędnika z urzędu stanu cywilnego w jego dystrykcie, w którym leżało moje rodzinne miasteczko, i opowiedział mu o mojej sprawie. Wuj wyjaśnił, że w przeciwieństwie do innych dzieci tej

rodziny, jestem synem Park Bok-deoka, ale ponieważ przyszedłem na świat z nieprawego łoża, nie zostałem zarejestrowany jako jego syn, co winno się uczynić niezwłocznie. Ten urzędnik, tak jak wielu innych, czerpał korzyści ze znajomości z moim wujem, który dawał mu spirytualia, żywność i pieczywo. Nie zamierzał więc zignorować jego prośby, nawet przeszedł wiele kilometrów, by odwiedzić matkę i przeprowadzić z nią rozmowę, a ona przekonała go, że istotnie jestem synem Park Bok-deoka. W Korei Północnej obowiązuje przepis, w którego myśl dokonanie poważniejszych zmian w aktach stanu cywilnego wymaga co najmniej siedmiu świadków. Moja matka przekonała ośmiu sąsiadów, by potwierdzili, że wyglądam inaczej niż reszta mojego rodzeństwa, przypominam natomiast ich zmarłego sąsiada. Zabezpieczywszy niezbędne świadectwa, urzędnik wrócił do wuja cały podekscytowany i powiedział mu, że moje świadectwo urodzenia zostanie wkrótce poprawione. Niedługo potem pojawił się w biurze mego szefa, by zameldować mu, że w moim świadectwie urodzenia dokonana została zmiana. Do tej pory sprawy moich awansów były oparte na aktach rodziców adopcyjnych, co gwarantowało mi stanowisko w Armii Ludowej, ale w celu osiągnięcia bardziej samodzielnego stanowiska w organizacjach, które zajmowały się sprawami bezpieczeństwa narodowego, takich jak Agencja Bezpieczeństwa Publicznego lub Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, moje pochodzenie biologiczne musiało zostać wyjaśnione w sposób o wiele bardziej skrupulatny.

Postanowiłem wynagrodzić posłańca, który przyniósł tę wieść. Choć nawet nie brałem udziału w montowaniu spisku,

błyskawicznie doszedłem do wniosku, iż matka i wuj wywarli na niego nacisk, by zboczył z drogi cnoty i zmienił moje akta.

– Jaki rodzaj odbiornika telewizyjnego macie w domu? – spytałem całkiem młodo wyglądającego urzędnika.

– Mamy deaedong-gang, proszę pana.

– Czarno-biały telewizor? Z pewnością moglibyście mieć lepszy!

Twarz mu zajaśniała. Wysłałem mu nie tylko fabrycznie nowy telewizor, lecz również i inne urządzenia, takie jak lodówka, wentylator i maszynka do gotowania ryżu, które były towarami pożądanymi przez zwykłych Koreańczyków z Północy. Dałem mu również dość gotówki na powrót do domu. Posłaniec miał wyraz twarzy, jak gdyby spotkał dobrą wróżkę spełniającą wszystkie jego życzenia. Doskonale wiedziałem, co się tutaj dzieje, ale ze strachu nie pisnąłem ani słowa. Wiedziałem również, co czynię, wiele ryzykując, ważąc się na hazard, by przekonać się, co z tego wszystkiego wyniknie. Prędzej czy później ktoś mógł dowiedzieć się o moim prawdziwym pochodzeniu, co mogło całkowicie zniszczyć mnie i moją rodzinę. Podrabianie dokumentów było tylko środkiem zapobiegawczym, ale ryzykowałem ciężko.

Lata mijały. Prowadziłem swoje interesy handlowe, ale gdzieś w zakamarkach mojego umysłu ciągle pozostawało pytanie, co może się jeszcze zdarzyć. W tym czasie prosiłem wuja o zorganizowanie rozmowy z matką. Jakkolwiek to byłoby niebezpieczne, musiałem się z nią spotkać. No i odwiedziłem ją dwukrotnie w moim rodzinnym miasteczku. W małym pokoiku w domu mego wuja siedziała stara kobieta, której twarzy nie widziałem. Obserwowałem tylko jej poruszającą się sylwetkę, ramiona trzęsące się z tłumionych emocji. Płakała i płakała.

Siedzieć tak w ciemnym pokoju z obcą szlochającą osobą, która zarazem była moją biologiczną matką, było doświadczeniem osobliwym. Dziwne, ale nie odczuwałem żadnych głębszych emocji. Nie biorąc żadnego udziału w moim życiu, była dla mnie kimś całkowicie obcym. Zmartwił mnie ów dystans i po dwóch krótkich spotkaniach postanowiłem nie odwiedzać jej więcej. Wszystko, co później dla niej robiłem, ograniczało się do pomocy materialnej – wujowi powierzałem wszystko, co jej dawałem.

W 1990 roku ABN podjęła decyzję o awansowaniu wyróżniających się oficerów z okazji urodzin Kim Ir Sena, 15 kwietnia. Obchodzenie urodzin przywódcy państwowego przez awansowanie wzorcowych obywateli było w Korei Północnej tradycją. Znalazłem się na liście kandydatów do awansu do stopnia pułkownika, siłą rzeczy więc agencja musiała dokładnie prześwietlić pochodzenie moje i mojej rodziny. Centrala ABN wejrzała w akta mojego „ojca" Park Bok-deoka i zatelefonowała do wszystkich członków jego rodziny. Okazało się, że Park miał trzech synów i córkę, a ja zostałem wpisany jako jego czwarty syn. Wszystkie dzieci Parka miały znakomite kariery zawodowe w społeczeństwie północnokoreańskim, a to dzięki ojcu – komunistycznemu świętemu.

Pierwszy syn Parka pracował w Pjongjangu jako funkcjonariusz wysokiego szczebla partii; drugi pracował jako osobisty tłumacz Kim Ir Sena i towarzyszył mu podczas wizyty państwowej w Afryce. Siostra była żoną dowódcy brygady, a trzeci syn był doradcą politycznym w Instytucie Politechnicznym. Dla ABN mój awans musiał wyglądać na idealną okazję do święta rodzinnego – stopień pułkownika, do którego miałem zostać awansowany,

w żadnym razie nie był stanowiskiem nieważnym. Tak więc zadzwonili oni do pierwszego syna Parka w Pjongjangu i złożyli mu gratulacje z okazji zbliżającego się nieubłaganie awansu. Pierwszy syn był mocno skonfundowany, słysząc tę wieść, i powiedział centrali ABN, że ma tylko dwóch braci, a mojego imienia nigdy w życiu nie słyszał. ABN było zbite z tropu. Mojej matce lub wujowi nigdy nie przyszło do głowy skontaktować się z dziećmi Park Bok-deoka, żeby poinformować je o poprawce wniesionej do akt stanu cywilnego, moje rzekome rodzeństwo nie było świadome faktu mojego istnienia, dopóki nie skontaktowała się z nimi ABN. Jeśli o mnie idzie, uważałem, że starsze rodzeństwo prędzej czy później dowie się o nowym wpisie do akt stanu cywilnego rodziny, i miałem nadzieję, że któreś z nich skontaktuje się ze mną. Zgodnie z tradycją koreańską to starsi wyciągają rękę do młodszych. Poza tym świadom byłem, jak niebezpiecznie jest fałszować jakiekolwiek dokumenty oficjalne, stąd też obawiałem się nawiązywania kontaktów z moim „rodzeństwem”.

Zdjęcie karty rezerwisty, weryfikującej mój status jako oficera sił zbrojnych w północnokoreańskiej rezerwie sił zbrojnych. Podano w niej nazwisko „Park S.”, jako że karta została wystawiona po wniesieniu poprawki do moich akt stanu cywilnego.
Napis na okładce brzmi: „Ludowo-Demokratyczna Republika Korei, Ministerstwo Sił Ludowych (Ministerstwo Obrony)”.

Agencją Bezpieczeństwa Narodowego kierowali wyjątkowo lojalni oficerowie, którzy byli wtajemniczeni w najbardziej wrażliwe zagadnienia bezpieczeństwa w Korei Północnej. Agenci ci strzegli interesów przywództwa północnokoreańskiego i chronili jego bezpieczeństwa za cenę własnego życia. Mogli nimi być jedynie ci, których lojalność i pochodzenie klasowe były stuprocentowe. Centrala ABN została zaalarmowana znaczącymi sprzecznościami między zawartością mych akt a świadectwem innych członków rodziny Park Bok-deoka i natychmiast zleciła Agencji Bezpieczeństwa Publicznego przebadać całą sprawę. ABP wezwała urzędnika, który osobiście zbierał świadectwa ośmiu świadków przedstawionych przez moją matkę, i odkryła, że podejrzenia były uzasadnione. Świadkowie ci byli to ludzie prości, pracujący w kolektywnym gospodarstwie rolnym i podczas

przesłuchania przez dobrze wyszkolonych agentów jednej z głównych organizacji państwa zostali całkowicie zastraszeni. Chcieli po prostu uniknąć kłopotów i zeznali, że moja matka wymogła na nich, by zostali świadkami w sprawie, której nie byli pewni. Agenci przesłuchali też urzędnika i ustalili, że dostał on sowite wynagrodzenie w gotówce i fabrycznie nowy sprzęt elektroniczny po tym, jak poprawił moje akta stanu cywilnego. ABP doszła do wniosku, że wuj i matka celowo sfałszowali akt urodzenia po to, bym mógł przeniknąć do samego serca najbardziej zaufanej agencji Kim Dzong Ila. Poza tym, moja rodzina biologiczna była napiętnowana w sposób najgorszy z możliwych – dwie egzekucje publiczne, jedna szpiega amerykańskiego, a druga niedoszłego dezertera z ojczyzny. Skrajny kontrast z rodziną Park Bok-deoka był wystarczająco podejrzany, by ABP przyjęła, iż próbowałem przeniknąć do najpotężniejszej agencji Korei Północnej w celu podjęcia nikczemnej działalności szpiegowskiej na rzecz wrogiego mocarstwa, Stanów Zjednoczonych. Bez względu na to, co powiedziałbym, sprawa była przypieczętowana.

– Powiedz mi, w jaki sposób ojciec przekazał ci misję szpiegowską. Jakie dał ci instrukcje?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Powiedz mi, w jaki sposób ojciec przekazał ci misję szpiegowską. Jakie dał ci instrukcje?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Powiedz mi, w jaki sposób ojciec przekazał ci misję szpiegowską. Jakie dał ci instrukcje?

– Nie mam naj... mniej... szego...

Goła żarówka zwisająca z sufitu raz przybierała oblicze widma ze smutnymi, wpatrującymi się we mnie oczami, innym razem widmo to wydawało się nie mieć nic poza ustami, które pokazywały zimny, obraźliwy uśmiech. Nikłem w ciemnym pokoju przesłuchań. Byłem pozbawiony snu i dręczyły mnie powtarzające się wydarzenia jak przewlekły koszmar. Ale gdy od czasu do czasu zapadałem w mdlący sen, widziałem a to twarz młodego oficera, który przejechał całą drogę do mojego rodzinnego miasteczka po akta, a to oblicze wuja i jego oczy zaszłe łzami, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem go niespodziewanie. Potem pojawiały się twarze członków rodziny w dniu, kiedy mnie aresztowano. Był to zwykły dzień – cichy i spokojny. Z jakiejś przyczyny wcześnie tego ranka żona umyła i wypucowała do błysku nissana. Pamiętam, że jej za to dziękowałem. Syn poszedł już do szkoły, ale córka ciągle jeszcze była w domu i widziała mnie, jak odjeżdżam spod domu. Nasz biały pies merdał ogonem, kiedy wyprowadzałem wóz z alejki. Tego dnia jechałem do portu Nampo, żeby wysłać załogę poławiającą sardele i nadzorować wysyłkę towarów eksportowych – świeżych płastug i fląder – do Japonii. Jak zwykle spotkałem się z partnerami biznesowymi na statku, podpisałem kilka upoważnień do zapłaty. Kiedy wróciłem na parking przy dokach, żeby załadować bagażnik kopertami z zagraniczną walutą, którą właśnie odebrałem od japońskich partnerów biznesowych, nie mogłem znaleźć swego samochodu. Zamiast tego zobaczyłem grupę przyglądających mi się agentów ABP. Pokazali mi nakaz aresztowania podpisany przez samego Kim Dzong Ila. Serce mi zamarło. Czy podpisując ten rozkaz, Kim Dzong Il serio rozważał koneksje między rzekomym szpiegiem a młodym oficerem, który

swego czasu sprezentował mu fundusz lojalności? Nie miałem pojęcia, ale wiedziałem, że tylko sam Kim Dzong Il mógł odwołać te rozkazy. Od razu wiedziałem, co się święci. Agenci kazali mi zająć miejsce na tylnym siedzeniu ich samochodu, a dwóch z nich usiadło po obu moich stronach. Milczałem, ale zauważyłem, że na każdym punkcie kontrolnym było dwóch policjantów na motocyklach, gotowych interweniować, gdybym próbował uciec. Była to sprawa o szpiegostwo, która wymagała od agencji szczególnej uwagi. Czułem, że stało się wreszcie coś, czego się obawiałem i co podświadomie przewidywałem. Decyzja o aresztowaniu mnie zapadła na najwyższym szczeblu, byłem teraz ofiarą machiny państwowej. Czułem się jednak niewinny, ponieważ osobiście nie zrobiłem nic złego. Próbowałem wierzyć w to, że agenci ABN będą mieli lepsze zrozumienie mej sprawy, ponieważ wiedzą, że – przynajmniej do tej pory – żyłem wyłącznie dla mego kraju mimo nieszczęśliwego pochodzenia rodzinnego. Wielki Wódz wyjaśni wszystko. Ale potem pomyślałem o młodym urzędniku, który poprawił moją metrykę urodzenia. Czy on jest bezpieczny? Czy jego również aresztowano? A co z moją rodziną? Co z matką i z wujem? Incydent, który zdarzył się dawno temu, owładnął moje myśli. Wspomnienie to doprowadzało mnie do szaleństwa, paliła ciekawość, chciałem dowiedzieć się, co się dzieje z rodziną i tym urzędnikiem. Gdybym tylko miał broń – pomyślałem – tobym się uwolnił. Wdarłbym się do zakładów, w których ich przetrzymują, i ocaliłbym ich. Dużo później dowiedziałem się, że matka i wuj zostali niezwłocznie aresztowani i zesłani do obozu pracy (*kwanliso*). Nie byłem do końca pewien, co stało się z żoną i dziećmi, ale znając dobrze praktyki

północnokoreańskie, byłbym bardzo zaskoczony, gdyby nie zesłano ich również do obozu. Później dowiedziałem się też, że urzędnik, który poprawił moje świadectwo urodzenia, został zesłany na przymusowe roboty do kopalni. A natychmiast po moim aresztowaniu cała Agencja Bezpieczeństwa Narodowego musiała wszcząć trwającą piętnaście dni walkę rewolucyjną, by oczyścić swe szeregi ze złego wpływu, jaki ja – szpieg amerykański – mogłem pozostawić. Mój bezpośredni przełożony, D., zdegradowany został do niższego stopnia.

Moje oczy zobaczyły eksplodujące błyski światła, a uszy poczuły nieznośny ból, kiedy śledczy spoliczkował mnie swą ogromną łapą.

– Powiedz mi, w jaki sposób ojciec przekazał ci misję szpiegowską. Jakie dał ci instrukcje?

Nie miałem nic do powiedzenia. Nie mogli przecież poważnie wierzyć, że miałem szansę widzieć kiedyś ojca i odziedziczyć po nim misję szpiegowską. Przecież byłem niemowlęciem, kiedy go stracono. Ale wciąż zadawali mi to samo pytanie.

– Powiedz mi, w jaki sposób ojciec przekazał ci misję szpiegowską. Jakie dał ci instrukcje?

Nie miałem już więcej sił, nawet by usta otworzyć. Ból w uszach wyciskał łzy z oczu.

– Ty bękarcie, ty brudny synu kurwy, ty pierdolony synu szpiega amerykańskiego, jak otrzymałeś misję od swego potępionego ojca?

Byłem kompletnie pozbawiony snu i nie mogłem już dłużej reagować. Nie wiedziałem, ile upłynęło godzin albo dni. Wiedziałem jednak, że jeśli powiem im to, co chcą usłyszeć, nie czeka mnie inna kara niż śmierć. Momentami brak snu stawał się

tak wielką torturą, że po prostu chciałem się poddać, ale przygryzałem wargi, by milczeć. W miarę upływu czasu przesłuchujący stawał się coraz bardziej rozwścieczony moim uporem.

Szybko zorientowałem się, że jestem przetrzymywany w ośrodku zatrzymań Maram, znajdującym się w jednej z dzielnic Pjongjangu – Yongseongu. Przez pierwsze trzy dni traktowano mnie dobrze. Umieszczono mnie w pojedynczej celi, małej, ale czystej i z drewnianą podłogą. Podawano mi przyzwoite posiłki z gotowanymi jajami. Jednocześnie chcieli, żebym napisał list, w którym przyznałbym się i wyjaśnił moją działalność jako szpiega, w tym jak odziedziczyłem niesławną profesję mego ojca. Żądali również, bym wyjaśnił swoją misję w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i wyznał, jak udało mi się tak długo uniknąć kary za tak wielki, zbrodniczy spisek. Napisałem list o moim życiu dokładnie tak, jak je znałem, i wyjaśniłem, że nigdy nie miałem innych zamiarów, jak tylko służyć Wielkiemu Wodzowi i Ukochanemu Przywódcy.

Trzymano mnie w ośrodku zatrzymań trzy i pół miesiąca. W tym czasie straciłem około 14 kilogramów. Kiedy odmówiłem podpisania listu, w którym wyznałbym swe zdradzieckie zbrodnie, zaczęli pozbawiać mnie snu. Kiedy to nie zadziałało, wsadzali mi ostre kawałki bambusa pod paznokcie, póki paznokcie nie odpadły. Gdy i ta metoda nie poskutkowała, wzmogli jeszcze tortury. Skuwali mnie kajdankami i wieszali za nadgarstki na wiele godzin, aż ciało wokół nadgarstków pękało. Do dziś pozostały mi blizny. Jedną z najgorszych tortur, jaką musiałem znieść, było zanurzanie ciała – aż po pas – w wodzie w małej celi,

gdzie nie mogłem się ruszać. Pomieszczenie było tak małe, że musiałem lekko się schylić. Trzymali mnie w tej pozycji przez osiem godzin. Kiedy nie mogłem już tego dłużej znieść i zemdlałem, wywlekli mnie na zewnątrz. W przerwach między torturami osadzali mnie w pojedynkę w celi szerokości około 60 cm, a długości 1,5 metra i zakazywali mi się ruszyć nawet o centymetr. Kiedy nie mogłem już dłużej znieść tego bólu, przynosili mi czysty papier i zmuszali mnie do napisania zeznania.

Słyszałem liczne głosy innych osadzonych, przechodzących tortury fizyczne, izolację i załamanie nerwowe, ale nigdy nie miałem szansy z nimi porozmawiać. Strażnicy obserwowali nas cały czas. W tych nielicznych chwilach, kiedy mnie nie torturowano, myślałem o samobójstwie, ale po prostu nie mogłem wymyślić sposobu, by tego dokonać. Innym razem zastanawiałem się, jak partia może podejrzewać mnie o zdradę. Nawet jeśli moi biologiczni rodzice byli kryminalistami, to przecież wychowałem się w państwowym sierocińcu pod opieką Wielkiego Wodza, zostałem zaadoptowany przez wysoko cenionych członków partii i całe życie służyłem państwu. A kiedy cierpiałem w malignie podczas tortur, przed oczami przesuwały mi się obrazy publicznych egzekucji, których byłem świadkiem albo o których słyszałem. Chwila, kiedy rozstrzeliwana osoba wydawała ostatnie na tym świecie tchnienie, wywierała potężne wrażenie na wszystkich świadkach. Kiedyś z całą pewnością wierzyłem, że straceni zasłużyli na swoją karę i bez nich nasza ojczyzna będzie lepszym miejscem. Czyżbym się mylił? Teraz, kiedy sen z powiek spędzała mi perspektywa własnej egzekucji, zacząłem

zastanawiać się, czy w kolejce na śmierć czekają inni, mnie podobni, którzy nie mogą zrozumieć swego położenia. Siedząc na twardej, cementowej podłodze celi, słyszałem, jak strażnicy więzienni rozmawiają ze sobą o różnych przyczynach, dla których więźniowie trafili do ośrodka zatrzymań Maram. Szybko zorientowałem się, że większość z nich została oskarżona o szpiegostwo. Z perspektywy czasu wiem, że Kim Dzong Il wszczął wtedy wielką walkę rewolucyjną o umocnienie swej pozycji prawowitego dziedzica swego ojca, Kim Ir Sena. Kampania ta miała na celu posianie strachu i wzmocnienie wynikającego zeń posłuszeństwa wśród ludzi, którzy powątpiewali w przywództwo Kim Dzong Ila. Prawdopodobnie reżim uznał moją sprawę za służącą temu celowi i zastraszeniu wszystkich rywali Kim Dzong Ila. Czy byłem szpiegiem, czy nie, nie miało większego znaczenia. Ale wówczas wiedziałem tylko, że wysunięte przeciwko mnie oskarżenia były niesprawiedliwe, i ciągle liczyłem na łaskawość, jeśli tylko będę się mógł przed władzami wytłumaczyć. Zupełnie nie doceniałem reżimu, który przywiązywał wielką wagę do więzów krwi i pochodzenia. Dla władzy byłem tylko uzurpatorem, który usiłował zamaskować swą prawdziwą tożsamość i przeniknąć do lojalnej gwardii Kim Dzong Ila. Ale chciałem wykrzyczeć im, że życie moje było nieposzlakowane i że zasługuję na szansę udowodnienia tego memu ukochanemu krajowi.

Piekło na ziemi

Im dłużej siedziałem w ośrodku zatrzymań, tym mocniej byłem przekonany, że na pewno zostanę rozstrzelany. Przekonanie to wzmacniały regularne wizyty w mej celi dyrektora ośrodka, który wrzeszczał do mnie:

– Ty brudny synu kurwy, ty bękarcie przeklętego rodu szpiegów amerykańskich! Powiesz nam coś czy nie? I tak dla wszystkich jest oczywiste, że nas zdradziłeś. Lepiej więc będzie, jak opowiesz nam całą historię i skończysz tę głupią grę milczenia.

Byłem już na krawędzi porzucenia nadziei, że żywy wyjdę z ośrodka, kiedy w środku nocy otworzyły się drzwi mej celi.

– Wyłaź, ty brudny bydlaku! – usłyszałem.

Przede mną stał wicedyrektor z dwoma strażnikami. Jako że bardzo długo byłem zamknięty w malutkiej celi, nie mogłem utrzymać się na nogach. Dwóch strażników wywlokło więc mnie na dziedziniec, gdzie zaparkowana była miniciężarówka produkcji sowieckiej. Założyli mi łańcuchy wokół nadgarstków i kostek. I wciągnęli na tył ciężarówki, której wszystkie cztery ściany były zasłonięte. Dwóch uzbrojonych strażników usiadło przy mnie. Kazali mi opuścić głowę do podłogi, bym nic nie mógł zobaczyć. Byłem jedynym osadzonym, który jechał w tyle ciężarówki. Silnik zaskoczył i ruszyliśmy. W podróżach służbowych przejechałem całą Koreę Północną tak, że znałem nieźle topografię. Gdybym tylko mógł coś zobaczyć, zapewne zorientowałbym się, dokąd zmierza samochód. Było jednak zupełnie ciemno. Czułem, że

jedziemy na północny wschód, ale pewien tego nie byłem. Myślałem, że wloką mnie na miejsce egzekucji, gdzie mogłem zniknąć bez śladu. Gdy o tym pomyślałem, serce we mnie zamarło; śmierć nie byłaby tylko moim osobistym końcem, lecz również końcem linii rodu Kimów. Byłem jedynym ocalałym dzieckiem swoich rodziców, nie wiedziałem też, co się dzieje z synem. Gdy jednak śmierć się zbliżała, gniew zaczął brać górę nad strachem. Czułem się jak idiota, który oddał swe życie Wielkiemu Wodzowi, uważanemu przez wszystkich za żywego boga, bo tak wyprano im mózgi. Boleśnie żałowałem, że zaniedbywałem moją rodzinę, tak ciężko dla niego pracując. Byłem nawet gotów w każdej chwili, bez wahania, oddać za niego życie. Teraz to nic nie znaczyło w obliczu niesprawiedliwości, którą wyrządził jednemu ze swoich najbardziej lojalnych poddanych. Dlaczego? Miałem nadzieję, że nastąpi jakaś boska interwencja, żeby naprawić ten wielki błąd.

Myślałem o córeczce szczebiotce, która zawsze zawracała mi głowę, domagając się ode mnie różnych rzeczy. Gdzie jest teraz? Czy może paplać sobie swoim radosnym głosikiem, jak to zwykła czynić? Potem myśli popłynęły ku synowi i obraz jego zamyślonej twarzyczki żywo do mnie przemówił. Zawsze myślał najpierw o mnie, potem dopiero o sobie. Obraz tego małego mężczyzny wdarł się do mego serca, ciepłe łzy spłynęły mi z oczu i ukoiły wściekły gniew. Byłem przeniknięty miłością i żalem.

Moje ukochane dziecko.

Moje życie.

Samochód jechał dwie albo trzy godziny – wpierw porządną asfaltową szosą prowadzącą z miasta, a potem wyboistymi,

nieutwardzonymi drogami. Kiedy w końcu zjechał na pobocze, strażnicy wywlekli mnie na zewnątrz. Czuło się, że jesteśmy na wysokości ponad 1200 metrów nad poziomem morza. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Ponieważ nie byłem na świeżym powietrzu od ponad trzech miesięcy, zakręciło mi się w głowie, nogi mi się trzęsły. Strażnicy kazali mi klęknąć na ziemi. Zrazu nie wiedziałem, gdzie jestem, wkrótce jednak zdołałem dojrzeć ponure baraki oświetlone reflektorami-szperaczami zwisającymi ze spowitych drutem kolczastym ścian wokół dziedzińca. Znajdowałem się przed wejściem do obozu pracy karnej, opodal głównej bramy, teraz dokładnie zamkniętej. Poza kilkoma oficerami i strażnikami nikogo innego nie było. Zawlekli mnie do najbliższego baraku mieszkalnego i zdjęli mi łańcuchy z rąk i nóg. Próbując zorientować się, gdzie jestem, zacząłem się rozglądać. Skoro tylko zauważył to jeden ze strażników, wrzasnął:

– Przeklęty matkojebco, jak śmiesz rozglądać się jak kretyn? Na kolana i dłonie trzymać na ziemi!

Przerażony, natychmiast wykonałem ten rozkaz. Potem pojawiło się jeszcze dwóch strażników, którzy zaczęli kopać mnie w głowę twardymi, wojskowymi butami. Byłem bliski utraty przytomności: przygniatał mnie ciężar emocji, który ważył niemal tyle co sama śmierć, a podczas jazdy ciężarówką omal nie wprawił mnie w szaleństwo. I zanim jeszcze uświadomiłem sobie, że przeżyłem i że nie będzie mojej egzekucji, zalałem się krwią cieknącą mi z rozbitego nosa. Z głową zwieszoną, wciąż klęcząc na ziemi, usłyszałem wicedyrektora ośrodka zatrzymań mówiącego do oficera przyjmującego mnie w obozie:

– Ten skurwysyn jest szpiegiem amerykańskim. Trzeba go gruntownie poprawić w waszym zakładzie.

Zdałem sobie sprawę, że te trzy i pół miesiąca przesłuchań w ośrodku zatrzymań Maram zakończyło się wyrokiem nakazującym dożywotnie roboty przymusowe. Nie było to coś, czego się spodziewałem, i nie wiedziałem, co z tego wyniknie. Byłem pewien, że tego dnia zostanę stracony. Kiedy wicedyrektor i strażnicy z ośrodka zatrzymań odjechali, dozorcy obozowi wepchnęli mnie do jakiejś celi. Nie wypowiadając ani słowa, jeden ze strażników wsunął talerz, na który rzucono resztki jedzenia, możliwe, że pozostałości posiłku strażników. Nie zważając, że wargi i usta krwawiły mi od zadanych ciosów, zjadłem wszystko, co dostałem. Okazało się potem, że był to najlepszy posiłek, jaki kiedykolwiek spożyłem w obozie.

O ósmej rano przyszedł lekarz, żeby mnie zbadać. Potem zabrano mnie do magazynu, gdzie ściągnięto ze mnie cywilne ubranie i dano więzienny uniform oraz bieliznę. Ubranie uszyte było z szorstkiego szarego materiału nylonowego, a śmierdziało tak, jakby leżał na nim czyjś trup. Kiedy to włożyłem, zostałem umieszczony w samochodzie, który zawiózł mnie w góry. Po drodze wszędzie widziałem szyby kopalniane. Kiedy samochód zatrzymał się przy następnym obszarze biurowym na zboczu górskim, spytano mnie o nazwisko oraz wiek i dano mi dwugodzinne przeszkolenie na temat, jak mam się zachowywać. Powiedziano mi, że więźniowie nie mogą rozmawiać ze sobą o czymkolwiek poza sprawami związanymi z pracą, powinni schylać głowę i trzymać ręce za plecami, kiedy obok przechodzi strażnik, mogą pisać samokrytykę dotyczącą ich przeszłego życia,

nie powinni zaś wahać się donosić władzom, kiedy odkryją, że inni więźniowie wyrażają niezadowolenie, nie wolno im się wspinać na okoliczne wzgórza bez pozwolenia, bo może być to uznane za próbę ucieczki i natychmiast zostaną zabici. Potem strażnik zabrał mnie do szybu i przekazał brygadzie górniczej. Nawet w moim pomieszanym stanie umysłu byłem w najwyższej mierze przerażony twarzami spotkanych tam więźniów – dosłownie cienkie warstwy skóry przylepione do szkieletu. Tylko ich oczy błyszczały dziko w ciemnych, pokrytych pyłem twarzach, kiedy próbowali patrzeć strażnikowi prosto w oczy.

– Oto nowy członek waszej brygady, pokażcie mu, jak pracować! – wrzasnął do nich strażnik.

Szef brygady powiedział mi, że moja praca polega na pchaniu wyładowanego kamieniami wózka. Bez żadnych dalszych instrukcji i wyjaśnień natychmiast przystąpiłem do pracy, kilka godzin zaledwie po pojawieniu się w obozie. I tak zaczęło się moje życie w piekle, z którego śmierć była jedynym sposobem ucieczki.

Po dwóch kursach z naładowanym wózkiem trzęsło mi się całe ciało. Dotąd byłem zdrowy i należałem raczej do ludzi krzepkich, ale przez trzy i pół miesiąca zamknięcia i nieustannych tortur zauważalnie opadłem z sił. Zanim nastała pora przerwy obiadowej, skurcze głodowe o mało nie powaliły mnie na ziemię. Resztki jedzenia, które spożyłem po przybyciu do obozu, dawno już zostały strawione. Tym razem posiłek składał się z wodnistej zupy, garści gotowanych ziaren kukurydzy i pszenicy z grubą solą. Były twarde i niesmaczne. Więźniowie łapczywie pożerali je z grubą solą, którą otrzymali tego poranka. Później dowiedziałem się, że owa sól miała służyć jako jedyny środek do pielęgnacji

zębów. Tak oto zaczął się mój pierwszy dzień w obozie. Było oczywiste, że jest to pierwszy krok do śmierci.

---

[45] Autor, Kim Yong, znany był w Korei Północnej pod innym nazwiskiem – S. Po przybyciu do Korei Południowej zmienił je na Yong, aby zaakcentować początek nowego rozdziału swego życia.

Rozdział czwarty
W uścisku śmierci

Obóz Numer 14

W Korei Północnej wszyscy wiedzą, że obóz jest miejscem, w którym żyje się w zawieszeniu. Właściwie tu się nie żyje, lecz powoli umiera. Byłem po prostu kolejną odchodzącą duszą w Obozie Numer 14. Wszystkich budzono o 5 rano. O godzinie 6 więźniowie musieli już być po swoim skąpym śniadaniu i maszerować do miejsca pracy. Ponieważ szyby kopalniane ukryte były w głębokiej dolinie, nikt nie widział słońca. Po godzinie 7 już pracowaliśmy. Między 12.30 a pierwszą po południu zjadaliśmy szybko obiad w sztolni, pod ziemią. Na wyjście do toalety więźniowie musieli czekać, aż uformuje się grupa, ponieważ pod ziemią było mało światła, a maszerującym do toalety oddawano tylko jedną żarówkę. Jedna osoba musiała trzymać lampę i wskazywać drogę. Z szybu wychodziliśmy o 23.30 i jedliśmy kolację na dworze, po ciemku. Zgodnie z regulaminem

praca powinna się kończyć najpóźniej o godzinie 8 wieczorem. Żaden strażnik jednak się tym nie przejmował. Jedynym rzeczywistym prawem w Obozie Numer 14 była decyzja strażnika. Po pracy maszerowaliśmy z powrotem do baraków, ale nie kładliśmy się spać jeszcze przez godzinę, gdyż poddawani byliśmy obróbce politycznej, polegającej na krytyce wzajemnej i samokrytyce. O pierwszej – trzy godziny później, niż przewidywał regulamin obozowy – wszyscy szli spać. Przed aresztowaniem zwykłem sypiać w nocy średnio osiem godzin. W obozie zostało to obcięte o połowę.

Nawet wedle nieludzkich standardów północnokoreańskich obozów Numer 14 był najgorszy ze wszystkich. O ile wiem, żadna istota ludzka nie wyszła stamtąd żywa. Więźniowie funkcjonowali poniżej progu odczuwania głodu. Ale tym, co rzeczywiście zabijało, była tortura psychiczna. Żadnym członkom rodziny nie wolno było być razem. Po przybyciu do obozu mężów i żony rozdzielano. Dzieci mogły zostać z matkami do ukończenia dwunastego roku życia, potem je zabierano, segregowano wedle płci i trzymano w osobnych barakach. Skoro już rodzina została rozdzielona, żadnym sposobem nie można było się dowiedzieć, czy inni jej członkowie żyją, czy też zmarli. Jedyną szansą, by zobaczyć się nawzajem, było uczestnictwo w publicznych egzekucjach, kiedy wszystkich więźniów gromadzono na dziedzińcu. Więźniowie mówili mi, że warunki w Obozie Numer 14 były tak upiorne, że w roku 1990, około trzech lat przed moim tam przybyciem, skazani zbuntowali się, zabijając sześciu strażników. W odwecie strażnicy więzienni upchnęli 1500 więźniów w pustym szybie i podłożywszy materiały wybuchowe, zmasakrowali ich. Po tym

strażnicy stali się jeszcze bardziej okrutni, ale jednocześnie liczba publicznych egzekucji zmalała; zastąpiły je skrytobójstwa. Kiedy przychodził strażnik i zabierał kilku ludzi, doświadczeni wiedzieli, że być może po raz ostatni widzą swych towarzyszy. Często nie wracali, a to znaczyło, że nie było ich już w tym piekle razem z nami.

W naszym baraku, który miał około 9 na 5,5 metra, a oświetlony był jedynie dwiema żarówkami, spało sześćdziesiąt osób. W pomieszczeniu tym nie było żadnych mebli. Nawet gdyby zostawiono nam książki, to wątpię, czy ktokolwiek miałby dość siły, by je czytać. Kiedy więźniowie wracali z pracy, po prostu chcieli odpocząć. O pierwszej w nocy strażnik liczył więźniów i zamykał ich na klucz. Wciąż jeszcze żywo słyszę skrzypiący głos zardzewiałego zamka w drzwiach. Kiedy metaliczny zgrzyt sygnalizował koniec dnia, me serce krwawiło, tak jakby ten metalowy zamek zagłębiał się wprost w moje ciało. Skoro tylko strażnicy zamknęli drzwi, więźniowie padali na ziemię i natychmiast zasypiali. Ponieważ w pomieszczeniu upchnięto zbyt wielu ludzi, każdy musiał kłaść się tak szybko, jak to możliwe, żeby zdobyć dla siebie przestrzeń na podłodze. Wszyscy dyszeli ciężko, ponieważ ich płuca wypełnione były węglem i popiołem. Spaliśmy na cementowej podłodze bez pościeli, ale nie było nam zimno – byliśmy przecież w obozie kopalnianym, mieliśmy więc dość węgla, by palić cały rok. Niemniej, chłód lata czynił cementową podłogę nieznośnie twardą. Więźniom kazano czuwać na zmianę, przekazywanie tego obowiązku odbywało się co godzinę. Rzeczywiście nie można było mieć w Obozie Numer 14 ani minuty intymności. Wewnątrz baraku znajdowała się toaleta,

zrobiona z dużego, metalowego wiadra. Przez pierwsze trzy miesiące spałem przy tej toalecie, tak jak każdy nowicjusz, zgodnie z zasadami obowiązującymi wśród więźniów. Po zamknięciu drzwi nigdy nie było zupełnie ciemno, świeciły bowiem mdło żarówki. Ale bywało, że niektórzy więźniowie do wiadra nie trafiali i chlapali mi odchodami na włosy i twarz.

Toalety na świeżym powietrzu zrobione były z poukładanych jeden na drugim jutowych worków wypełnionych piaskiem. Więźniowie kucali na szczycie tego stosu. Czegoś takiego jak papier toaletowy nie było. Każdy wiedział, jak się podetrzeć patyczkiem. Niektórzy więźniowie, w jakimś sensie uprzywilejowani, bo pracowali w kuchniach lub chlewach, cieszyli się luksusem używania jako papieru toaletowego wąsów kukurydzy albo liści. Ponieważ pracującym w kopalni więźniom brakowało światła słonecznego, koniecznego do wytwarzania witamin, ich skóra zawsze ociekała ropą. W Numerze 14 nie było luster, nie można więc było zobaczyć obrazu własnego upadku fizycznego, ale spoglądając na upiorne twarze innych więźniów, mogłem wyobrazić sobie, w jakiego rodzaju półwidmo sam się przeobraziłem. Gdyby tam wstawiono lustra i każdy mógłby ujrzeć swą własną twarz, to widok ten wystarczyłby, aby oszaleć. By opis naszego nieludzkiego wyglądu zakończyć, można jeszcze dodać, że włosy i brody były niedbale przystrzyżone przez innych więźniów, kiedy strażnicy raz na miesiąc pozwalali nam użyć tępych nożyczek. Żyletek nie rozdawano, by zapobiec samobójstwom i wypadkom. Wszyscy odsiadywali dożywocie i nagła śmierć wydawała się nadzwyczajnym błogosławieństwem.

Z początku nie mówiłem i nie próbowałem słuchać innych, tym bardziej brać udziału w rozmowach. Przez miesiąc nie zamieniłem z nikim słowa, mimo że nawet niektórzy podchodzili do mnie i pytali, gdzie pracowałem, zanim tu trafiłem. Mimo mych wysiłków, by trzymać się z dala od kłopotów, pewnej nocy podczas snu omal nie zostałem zgwałcony. Przez kilka dni poprzedzających ów atak napastnik był wobec mnie nad wyraz uprzejmy. Mówiąc do mnie, używał form grzecznościowych i podążał za mną, dokądkolwiek szedłem. Od samego początku wyczuwałem, że to kapuś. Mówiło mi to moje doświadczenie z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, jak również moje doświadczenie z sierocińca. Ledwie uratowawszy się przed gwałtem przez odepchnięcie go resztką sił, jaką jeszcze miałem, następnego dnia pobiłem go ciężko w kopalni, kiedy inni nie patrzyli. Mimo że byłem wyczerpany codzienną pracą i złą dietą, relatywnie wciąż byłem jeszcze świeży i mogłem z łatwością obalić na ziemię każdego innego więźnia. Następnego dnia publicznie ciężko mnie pobił strażnik – zemścił się za poturbowanie swego współpracownika. W istocie co trzeci więzień pracował dla strażników, obserwując i informując o sprawach swoich towarzyszy. Obietnice lżejszej pracy i ochłapów żywności motywowały donosicielstwo.

Zdjęcie satelitarne obozów Numer 14 i 18, w których w latach 1993–1999 więziono Kim Yonga.

Od 1993 do 1999 roku pracowałem w szybie górniczym, 432 metry pod ziemią. Było tak duszno i parno, że nawet w środku surowej zimy więźniowie pracowali w samej bieliźnie i trudno było oddychać. Dzień w dzień członkowie mojej brygady roboczej schodzili na dół, by zbierać węgiel wzdłuż malutkiego tunelu. Wind nie było, opuszczaliśmy się na dół w małych, okrągłych pojemnikach używanych do transportu węgla. Kiedy pojemnik zdołaliśmy załadować, inna brygada robocza wciągała go i opróżniała do wagonu kolejowego. Z początku nie byłem zgrany z robotnikami mojej brygady – oni poruszali się jak części tej samej maszyny. Nie mogłem zrozumieć, jak mogą tak pracować, jedząc tak mało i tak mało sypiając. Okazało się z czasem, że każdy, kto pobył tu wystarczająco długo, przyswajał sobie ten

powolny rytm przewlekłej pracy. Z całą pewnością nie byłem nawykły do tego rodzaju pracy, a nikt nie pokazał mi, jak kopać węgiel albo ładować pojemnik.

Zdjęcie satelitarne Obozu Numer 14 w zbliżeniu. Przedstawia kwaterę główną Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, dokąd Kim

Yong został przywieziony w 1993 roku. Na zdjęciu widać wejście do kopalni węgla, gdzie Kim Yong pracował ponad dwanaście godzin dziennie.

Zawsze wchodziłem komuś w paradę i z tej przyczyny wózki ustawiały się w kolejce, czekając na moją porcję węgla. Byłem więc stale bity za opieszałość przez bezlitosnych strażników. Pewnego dnia w pierwszym miesiącu mego tam pobytu, gdy jak zwykle utrudniałem pracę innym, pokazał się strażnik. Towarzyszyło mu dwóch żołnierzy z karabinami.

– Pierdolony zdrajco, znów spowalniasz pracę wszystkich! Próbujesz sabotować, brudny skurwysynu, co?

Jak tylko skończył na mnie wrzeszczeć, uderzył mnie kolbą rewolweru w głowę. Natychmiast straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, szef naszej brygady roboczej bandażował mi głowę. Za karę strażnicy obcięli mi o połowę rację żywnościową na dwa dni. Normalna porcja, czyli garść gotowanych ziaren kukurydzy i pszenicy, i tak nie wystarczała więźniowi, który powoli umierał z głodu. W ograniczonej do połowy łatwo mogłem policzyć ziarenka gotowanych zbóż. Szef naszej brygady roboczej, uprzejmy starszy mężczyzna, dobrowolnie dzielił się ze mną własną porcją, mówiąc mi:

– Proszę, jedz i nie umieraj, musisz jeść, by wyżyć.

Po prostu odjęło mi mowę. Mimo tych czułych słów i wsparcia następne półtora miesiąca strawiłem na obmyślaniu, jak położyć kres tej strasznej egzystencji. Postanowiłem popełnić samobójstwo. Było to dwa i pół miesiąca po moim przybyciu do Obozu Numer 14. Myśl o umieraniu była przemożna i miałem nadzieję, że wszystko skończy się, jak zły sen, że wreszcie nie będę

musiał zaczynać kolejnego dnia, obawiać się zawału kopalni i nagłych kopniaków w głowę. Podjęcie decyzji o popełnieniu samobójstwa było prostsze niż znalezienie sposobu, jak to uczynić. Aż pewnego dnia przyszedł mi do głowy pomysł. Po pracy, kiedy górnicy wyjeżdżali na powierzchnię w metalowych pojemnikach, wykonałem mój plan. Każdy pojemnik wciągano do góry na linach, połączonych kołkiem zabezpieczającym. Tak więc, kiedy byliśmy około 1200 metrów nad poziomem sztolni, wyciągnąłem ów kołek z liny. Słyszałem tylko rozdzierający mi uszy ostry świst, a potem straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, leżałem, krwawiąc, w strumieniu płynącym na samym dnie szybu. Szef naszej brygady roboczej znów owijał mi głowę kawałkiem szmaty. Jego ręce podtrzymywały mi głowę. Ten miły człowiek patrzył na mnie oczyma przepełnionymi łzami.

– To cud, że w ogóle otworzyłeś oczy. Myślałem, że na pewno już cię nie będzie z nami.

Łzy bez końca staczały się po jego kościstych policzkach, padając na mą twarz. Widziałem nieostro.

Byłem półprzytomny, miałem halucynacje, ale nawet w tym stanie czułem bardziej rozczarowanie niż dojmujący ból. Dlaczego wciąż żyję po upadku na ziemię z wysokości 1200 metrów? Przecież powinienem się zabić, ale najwyraźniej prędkość się zmniejszyła, kiedy pojemnik, spadając, wielokrotnie uderzał w ścianę i zataczał koła. Co więcej, pojemnik się przekręcił i wpadłem do strumienia, który zminimalizował siłę uderzenia. Kiedy się obudziłem, żałowałem, że nie znalazłem lepszej metody położenia kresu tej nieopisanej męce.

Drogi ucieczki z Obozu Numer 14 po prostu nie było. Położony był w dolinie otoczonej wysokimi górami. W tych rzadkich wypadkach, gdy więźniowie mieli szansę spojrzeć za dnia w niebo, widzieli setki wron krążących nad doliną. Zbierały się w stada i wrzeszczały „kra, kra". W tradycji koreańskiej wrona nie jest ptakiem opiekuńczym, raczej złowieszczym symbolem. Ale więźniowie lubili wronie wrzaski, ponieważ brzmiały one jak „ga, ga", co po koreańsku znaczy „idź, idź". Można było odnieść wrażenie, że te ptaki litują się nad nami, ludźmi w niewoli, którzy chcą być wolni. Wciąż jeszcze czuję tę samą rozpacz, gdy słyszę kraczącą wronę.

Wrony drogie, wysoko swobodnie latacie
Czemu, że tu na śmierć tyramy, się nie użalacie.
Nawet gdy ciało nasze w więzach gnije
To duch nasz ciągle jeszcze żyje.
Trzydzieści pięć lat przeszło mi w tym łagrze
A wraz z czasem i me łzy strumieniem płyną także.

Więźniowie intonowali tę pieśń, skomponowaną przez anonimowego twórcę, gdy przerzucono ich do pracy przy poszerzeniu drogi. Praca przy tej budowie była znacznie lepsza niż w kopalni węgla, ponieważ mogliśmy przynajmniej oddychać świeżym powietrzem. Ale takie przedsięwzięcia były rzadkie i długo nie trwały. Pracując przy drodze, spotkałem dwóch więźniów kaukaskich, którzy wyglądali, jak gdyby zaraz miał im stuknąć ósmy krzyżyk. Byli w sam raz podobni do więźniów koreańskich – wygarbowana, szorstka skóra i kości. Jedyna różnica polegała na tym, że nosy mieli większe, a oczy kolorowe. Widziałem ich z odległości dwóch albo trzech metrów. Jeden

z nich miał zupełnie zgięte plecy. Nie mogłem ustalić, skąd się tam wzięli. Mogli być jeńcami z wojny koreańskiej i spędzić już wiele czasu w obozie.

Podczas realizacji specjalnego projektu poszerzenia dróg miałem możliwość po raz pierwszy od chwili aresztowania zobaczyć kobietę. Była chuda jak pałeczka do jedzenia i w ogóle nie miała piersi. Ale wśród tego tłumu było kilka kobiet w lepszej kondycji. Musiały pracować w chlewie, gdzie kradły karmę zwierzęcą, albo pracowały w kuchni. A może dostawały skrawki żywności od strażników za szpiclowanie. Nie można było tego ustalić.

Skoro tylko budowa się skończyła, na drogę wyjechały wielkie ciężarówki wojskowe, które kursowały do i z dużych zakładów medycznych po przeciwnej stronie wzgórza. Więźniowie wierzyli, że niektórych z ich grona wykorzystuje się do eksperymentów medycznych. Wrony zbijały się w stada nad tym wzgórzem i krakały nad podejrzanym laboratorium medycznym. Ciężarówki wjeżdżały i wyjeżdżały nocą. Na moje wprawione w handlu zagranicznym oko wyglądało to tak, jakby na ich platformach zamontowano chłodnie. Ale nie było żadnego sposobu sprawdzenia, co transportują te ciężarówki ani czy rzeczywiście do eksperymentów wykorzystywano więźniów. Oni tak uważali. Regularnie bowiem organizowano badania lekarskie, po których zabierano ludzi względnie zdrowych. I oni nigdy już nie wracali. Publiczną tajemnicą było również, że strażnicy, którzy pracowali w zakładach medycznych, mieli często niedorozwinięte dzieci, z wadami okołoporodowymi. Nawet najtwardsi wystrzegali się

Obozu Numer 14, a ci, których tam kierowano, byli najbardziej bezlitośni.

Poza katorżniczą pracą od więźniów wymagano, by cztery razy w tygodniu przedkładali – w formie pisemnej – krytykę innych więźniów, a dwa razy w tygodniu – samokrytykę. Robiono to nocą, w czasie codziennych zajęć kształceniowych, kiedy wszyscy byli w całkowitym odrętwieniu i odpływali w sen. Czasami krytyka miała formę publicznego wystąpienia. Tylko w niedziele oszczędzano nam tego rytuału, a to ze względu na zmianę ekipy strażników. W istocie nie było do czego się przyznawać, ale wszyscy musieli z czymś wystąpić, by uniknąć kary. Niektórzy wykorzystywali to jako pretekst do wyłudzenia dodatkowej porcji żywności i czynili to, mimo że wiedzieli, iż wkrótce spotka ich kara za wyznanie wyssanych z palca wykroczeń. Kiedy przekazywali szczególnie ważne informacje o społeczeństwie, strażnicy dawali im pełną miskę kukurydzy. Inną torturą psychiczną był zupełny brak dostępu do jakichkolwiek środków masowego przekazu – prasy, radia i telewizji. Tych w Obozie Numer 14 nie było. Odcięcie od reszty świata było nieznośne. W tych rzadkich wypadkach, kiedy władze chciały nagrodzić więźniów, puszczały z megafonów popularne piosenki, takie jak *Arirang* i *Moranbong*. To była najbardziej odświętna rzecz, jaką fundowano więźniom.

Zagrożenia i niebezpieczeństwa czyhały wszędzie, ale największym wrogiem był głód. Zjeść tyle, by przeżyć, samo w sobie było walką, którą podejmował każdy więzień. Cały czas więźniowie umierali z niedożywienia. Górnicy byli tak słabi, że potrzebowali godziny na wykonanie pracy, która normalnemu

człowiekowi zajmowała dziesięć minut. Głód był tak dotkliwy, że nawet szczury niemal zupełnie znikły z obozu. Szczury były całkiem spore i uważano je za przysmak oraz źródło protein... Strażnicy zabraniali polowań na szczury, ponieważ uważali, że zwierzęta te informują o zawałach w szybach kopalnianych. Pewnego dnia, kiedy niosłem tarcicę do podparcia sufitu chodnika, dostrzegłem dużego szczura. Uderzyłem go kamieniem i natychmiast zjadłem – od głowy do ogona, na surowo, nie obdarłszy go uprzednio ze skóry. Mięso smakowało jak miód. Innego szczęśliwego dnia na drodze opodal baraków znalazłem cukinię. Pewnie spadła z wozu rolnika, który dostarczał płody rolne strażnikom. Przed mym uwięzieniem nigdy nie żywiłem szczególnego upodobania do tej jarzyny, ale ta jedna, zjedzona na surowo, była wyborna.

Pewnego wieczoru spostrzegłem, że jakiś robotnik z naszej brygady znalazł małego węża, ukamienował go i chciał zjeść. Ale był tak słaby, że nie mógł utrzymać go w ręce, kiedy wkładał jego ogon do ust. Niezupełnie martwy wąż wymsknął mu się z dłoni i go ukąsił, ale on wciąż próbował włożyć do ust drugi jego koniec. Inni więźniowie przyskoczyli, by pochwycić węża i go pożreć. Ten człowiek zmarł dwa dni później. Na obszarze kopalni była ziemia uprawna. Niezbędną wodę przywożono wózkami zaprzężonymi w woły, nad którymi pieczę mieli kontraktowi robotnicy z zewnątrz. Kiedy przejeżdżali przez obóz, wygłodzeni więźniowie szukali zwierzęcego łajna, żeby wyłuskać niestrawione ziarna kukurydzy. Jedzono wszystko, co się ruszało – koniki polne, wszy... cokolwiek. Pewnego szczęśliwego dnia do kopalni przywędrował zbłąkany królik. Wszyscy poszaleli. Trafiliśmy go

w łeb kamieniem i zjedliśmy całego na surowo. Gdyby strażnicy się o tym dowiedzieli, zostalibyśmy surowo ukarani. Ale wszyscy byli ciągle szaleńczo głodni. Na szczęście dla mnie już we wczesnym dzieciństwie w sierocińcu przyuczony zostałem do racjonowania pożywienia. Tak więc lepiej sobie radziłem znosić głód między posiłkami niż pozostali. Na zewnątrz obozu ludzie dostawali specjalne posiłki na urodziny Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila, ale wewnątrz niczego takiego nie było. Jedynym smakołykiem były łuski pozostałe po tłoczeniu roślin strączkowych. Twarde były jak kamień, ale kiedy dawano je więźniom, była to okazja do świętowania. Same w sobie łupiny te były odrażające, ale każda odmiana po gotowanej kukurydzy i pszenicy była bardzo mile widziana. W tym miejscu, gdzie wszyscy byli na wpół oszalali z powodu nieustannego głodu, wielkim przywilejem była praca w kuchni. Można się było przynajmniej najeść do syta kukurydzy. Strażnicy odpowiedzialni za bezpieczeństwo rezerwowali to wysoce pożądane stanowisko dla swoich szpicli.

Najbardziej tragicznym moim wspomnieniem związanym z głodem w obozie jest historia o człowieku zwanym Myeong-cheol, który był osobą potulną i życzliwą. Pracowaliśmy w tej samej brygadzie, znałem go więc osobiście. Pewnego jesiennego poranka maszerowaliśmy jak zwykle w stronę miejsca pracy w towarzystwie uzbrojonych strażników. W głębokiej dolinie, w której położony był Obóz Numer 14, rosły kasztanowce. Jesienią kasztany spadały na prawo i lewo. Członkowie rodzin strażników wyjmowali worki, by napchać je kasztanami, ale kiedy wygłodniały więzień próbował ich trochę zebrać, niezwłocznie był karany. Tego dnia Myeong-cheol nie mógł oprzeć się pokusie

i wystąpił z szeregu, by podnieść kasztan. Musiało to trwać ledwie ułamek sekundy, ale wystarczyło, by jeden z towarzyszących nam strażników zauważył to i walnął Myeong-cheola w głowę kolbą karabinu. Osłabiony mężczyzna natychmiast upadł na ziemię.

– Bestio najgorszego rodzaju, kto ci pozwolił chwycić kasztan? – bezlitosny głos zabrzmiał ostro w uszach wszystkich.

Strażnik skończył mówić i pociągnął za spust. W następnej chwili ujrzeliśmy, jak głowa więźnia eksploduje.

– Usuńcie tego skurwysyna z widoku – wrzasnął obojętnie strażnik do dwóch najbliżej stojących więźniów. Mimo że byliśmy przyzwyczajeni do wypadków nagłej śmierci, ta konkretna zszokowała nas, gdyż zaskoczył nas wybuch okrucieństwa strażnika. Martwy mężczyzna, mocno trzymając kasztan w dłoni, został wywleczony na cmentarz – na swej ostatniej drodze pozostawiał ciemnoszkarłatne plamy krwi.

Był jeszcze jeden incydent związany z głodem w Obozie Numer 14, o którym nie sposób zapomnieć: chodnik zawalił się i przysypało żywcem pięciu więźniów. Kiedyśmy ich wydobyli, już nie żyli. Kazano nam zawinąć zwłoki w słomiane maty i pozbyć się ich, ale dwóch członków naszej brygady było tak głodnych, że z którychś zwłok odcięli nogę i ukryli ją w szybie. Następnego dnia wrócili, by ją zjeść. Strażnicy nakryli ich i natychmiast zastrzelili.

Tak samo jak w rzeczywistym społeczeństwie, tak i w obozie istniała wyraźnie ustalona hierarchia wśród jego mieszkańców. Więźniowie silni sami zazwyczaj nie narażali się, by ukarać tych, którzy ich drażnili. Silny kazał sprowokować oponenta swojej

świcie i czekał, kiedy oponent włączy się do bójki. Wtedy dopiero sam wkraczał do akcji, by przywrócić ład i porządek oraz wymierzyć przeciwnikowi karę. Zazwyczaj dopiero wtedy interweniowali strażnicy i bili słabszego więźnia za wszczęcie burdy. Ponieważ sytuacja się powtarzała, słabszy więzień uczył się, że nie należy sprawiać problemów silniejszemu. Silniejsi byli również lepiej odżywieni. Ściągali haracze od współwięźniów pracujących w kuchni, z których wielu wynagrodzono tą pracą za donoszenie. Potrzebowali więc pomocy silniejszych, by obronić się przed tymi, którzy żywili do nich urazę. Strażnicy bardzo dobrze o tym wiedzieli i dlatego nie karali wyzyskujących. W istocie silni więźniowie byli zastępcami prawdziwych strażników, tyle że żyli i pracowali razem z więźniami.

Ale nie wszyscy strażnicy byli okrutni. Starsi, którzy spędzili w obozie już wiele lat, nie byli tak wymagający w sprawie przestrzegania regulaminu. To młodsi byli okrutni i najbardziej grubiańscy. Mając dużo energii, chętnie używali swych żelaznych pięści i wyładowywali gniew na więźniach. Pamiętam jednak jednego człowieka, który pilnował naszej brygady roboczej, młodego chłopaka. Czasami wynagradzał on w subtelny sposób więźniów, którym chciał okazać przychylność. Kiedy pracowaliśmy w kopalni, palił papierosy. Ponieważ przed przybyciem do obozu byłem namiętnym palaczem, zapach dymu papierosowego sprawiał mi ból, przypominając owe dni, gdy żyłem normalnym życiem w społeczeństwie. W momentach takiej zadumy czasem ze snów na jawie wyrywała mnie skarga strażnika.

– Co za gorzki papieros! Paskudny smak! Fe! Hej, ty tam, sprzątnij to!

Wyrzucał absolutnie doskonałego papierosa na ziemię i odchodził. Papieros był dopiero co zapalony i wciąż się żarzył. Wskazany więzień – czasem ja – doskakiwał i wypalał tego niebiańskiego papierosa, a inni intensywnie wpatrywali się w pomarańczowy płomyk i węszyli powietrze z niezmierną zazdrością.

Strażnicy nie zostawali zbyt długo z jedną brygadą roboczą, żeby nie doszło do bardziej osobistych kontaktów ich z więźniami. Jeśli jakiś strażnik wykrył jakiekolwiek ludzkie związki swych kolegów z więźniami, powinien o tym zameldować przełożonym. Następnego dnia taki strażnik zostawał przeniesiony i przejmował dowodzenie inną brygadą roboczą.

Matka

Pewnego dnia, w godzinach pracy, zostałem wezwany przez strażnika. Moje serce załomotało. Czy to już wreszcie koniec mej ponurej egzystencji? Inni więźniowie pomyśleli pewnie, że już po mnie. Wsiadłem do pojemnika i wjechałem na górę. Zalało mnie olśniewające światło słoneczne. Przez dwa lata pracy w Obozie Numer 14 światła słonecznego nie widziałem poza krótkim epizodem przy budowie drogi. Całe ciało mnie swędziało i ociekało ropą z braku słońca. Moja twarz musiała wyglądać po prostu strasznie. A jak wyszedłem na słońce, to łzy popłynęły mi z oczu. Doszedłem wreszcie do zaparkowanego przed wejściem do kopalni pojazdu z napędem na cztery koła. Strażnik kazał mi wsiadać.

Jadąc samochodem – po raz pierwszy od dwóch lat – widziałem dolinę w całej krasie. Samochód wjechał na główny obszar obozowy i strażnik zaprowadził mnie do biura, całkiem podobnego do tego, w którym byłem sprawdzany przed dwoma laty. Czekało na mnie dużo więcej strażników – nieznajome twarze, z całą pewnością nie strażnicy z obozu. Z nawyku ukląkłem na podłodze i pochyliłem głowę. Jeden strażnik, który wyglądał na przywódcę, zapytał: – Czy wiesz, dlaczego tu jesteś?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Rzeczywiście nie miałem pojęcia. Ale wiedziałem na pewno, że nie będę stracony, w przeciwnym razie nie przyprowadziliby mnie tutaj, do biura.

– Przeczytaj ten formularz i go podpisz. To bardzo ważne dla twego bezpieczeństwa.

Formularz, który mi podał, zawierał ostrzeżenie, że nie wolno mi nikomu ujawnić żadnych informacji o Obozie Numer 14, ani ustnie, ani na piśmie. Główny strażnik zagroził mi niskim, szorstkim głosem, że jeśli puszczę parę z gęby, to przywloką mnie z powrotem do tego obozu i zatłuką na śmierć jak psa. Niezwłocznie podpisałem ten dokument, unikając kontaktu wzrokowego ze strażnikami.

– Wielka Partia wspaniałomyślnie rozpatrzyła waszą sprawę i postanowiła okazać wyrozumiałość. Możecie wyjechać z Obozu Numer 14.

Po prostu nie wierzyłem własnym uszom. To był dla mnie szok. Przez kilka chwil myślałem, że zostałem uniewinniony z zarzutów i będę zwolniony. Nie mogłem uwierzyć, że opuszczam to piekło. Byłem tak wytrącony z równowagi, że padłem na twarz przed portretem Kim Dzong Ila i wrzasnąłem do niego z wszystkich

resztek sił, jakie mi jeszcze zostały: – Niech żyje Ukochany Przywódca! Niech żyje Ukochany Przywódca! Niech żyje Ukochany Przywódca!

Strażnicy nie przerywali mi i dali mi tak krzyczeć aż do utraty tchu.

Kiedy tak oddawałem swój wylewny hołd, jakiś nieznajomy strażnik kazał mi wracać do samochodu. Jechaliśmy czas jakiś i zauważyłem, że przejeżdżamy przez most na rzece. Ku memu zdziwieniu dostrzegłem wielką, żelazną bramę. Czułem się, jakby mnie ktoś walnął młotkiem w głowę. Miałem na tyle zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że nie pozwolą mi żywemu wyjść z Obozu Numer 14, ale byłem tak zszokowany, słysząc to obwieszczenie, że na chwilę straciłem głowę i pomyślałem sobie, że puszczają mnie na wolność. Oczywiście czegoś takiego być nie mogło. Cóż więc się teraz ze mną stanie? Samochód wjechał przez bramę i strażnicy zabrali mnie do biura, gdzie byli już nie tylko miejscowi strażnicy, lecz również strażnicy z pjongjańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Pracując kiedyś w tej organizacji, od razu poznałem, że część strażników przysłana została ze stolicy. Była tam również stara kobieta w łachmanach, postać stojąca zupełnie nieruchomo, jakby w ogóle nie oddychała. Kiedy wszedłem do tego pokoju, jeden ze strażników popchnął mnie w jej stronę i spytał:

– Nie cieszysz się ze spotkania z matką?

Matką?

Jak obco zabrzmiało to słowo w tej dziwacznej chwili. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Widziałem tylko pokrzywioną, pokrytą siecią zmarszczek i licznymi śladami niewysłowionych cierpień staruchę. Skórę

pokrywającą wystające kości policzkowe miała cienką i wysuszoną. Siwe włosy ledwie okrywały jej małą głowę, co w sumie sprawiało wrażenie, jakby z czaszki wyrastały tu i ówdzie kępki wąsów kukurydzy. Mętne oczy staruszki patrzyły na mnie jak na obcego. Była w rozterce, nie wiedziała, co powiedzieć, czy też brakowało jej słów. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale zamiast się ucieszyć albo chociaż zdziwić ponownym z nią spotkaniem, czułem niewiarygodną urazę do tej starej jędzy.

– Ty stara krowo, nie poznajesz swego syna?

Uniosła nieco głowę i dalej patrzyła na mnie obojętnie.

Zaobserwowałem, że strażnicy spoglądają na siebie i wymieniają znaki. Ci z Pjongjangu również zauważyli oczywisty brak poufałości między starą kobietą a mną. Później zdałem sobie sprawę, że był to ostateczny sprawdzian, czy rzeczywiście brałem udział w spisku mojej matki zmierzającym do sfałszowania mojej tożsamości. Potwierdziwszy to, co zapewne i tak już wiedzieli – że nigdy w życiu nie miałem żadnego istotnego kontaktu z matką – oficerowie wyszli z pokoju. Miejscowy strażnik pokazał na wyjście i wrzasnął ordynarnie:

– Możesz odtąd mieszkać z matką! A teraz oboje jesteście zwolnieni.

No i tak właśnie zostałem nagle przeniesiony do Obozu Numer 18 i niespodziewanie ponownie zjednoczony z moją matką biologiczną.

Kiedy strażnicy nas zwolnili, matka zaprowadziła mnie do jej pomieszczeń mieszkalnych. Szła niepewnie, ciężkim i wolnym krokiem. Nie patrzyła na mnie ani się do mnie nie odzywała.

Otworzyła drzwi nędznej szopy ulepionej z łodyg kukurydzy i błota. Gdyby przyszła silna burza, szopa zawaliłaby się. Gołej ziemi w środku nic nie pokrywało. Na małej kuchence w rogu stał stalowy garnek i pęknięta miska – jedyne sprzęty gospodarstwa domowego. Tak właśnie mieszkała matka od chwili aresztowania. Kiedy zostawiono nas samych, usiedliśmy w milczeniu. Przyglądała mi się z lewej strony, potem z prawej, a potem powtórzyła tę czynność jeszcze raz. Jej oczy wezbrały łzami, które stoczyły się strumieniem po jej policzkach. Czułem, że okrutny los poprowadził mnie w korkociąg, z którego nie umiałem się wydobyć, by zobaczyć, co będzie dalej. Zakręciło mi się w głowie i padłem na podłogę – zasnąłem, nie rozumiejąc znaczenia tego wszystkiego.

Tej nocy obudziłem się z twarzą mokrą od łez. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem wpatrującą się we mnie matkę. Świeża łza spadła mi na twarz. Owładnęło mną dziwne i bolesne uczucie. Spojrzałem jej w oczy.

Oboje milczeliśmy, kiedy nasze oczy się spotkały, ale nie było już między nami chłodu.

– Matko! – odparłem cichym głosem na jej spojrzenie.

Matka.

Było to słowo, za którym tęskniłem całe życie, słowo, które tak strasznie chciałem wymawiać, bez żadnego udawania albo wątpliwości. To była ta matka, której łaknąłem całymi dniami w sierocińcu. Potem nastała matka adopcyjna, która mnie nie kochała. A teraz była przede mną matka, którą utraciłem z przyczyn, które przerastały każde z nas. Matka mi nieznana.

Oboje nie spaliśmy tej nocy. Matka przerwała milczenie i zaczęła opowiadać o przeszłości. O ojcu, którego nigdy nie znałem, o tym, jak wuj zaryzykował, by ocalić mi życie, jak ona żałowała, że oddała mnie do sierocińca, jak przez całe życie myślała o mnie. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy i płakaliśmy, a kiedy płakaliśmy razem, rozumieliśmy się wzajemnie. Matka powiedziała mi, że ojciec był zdolnym mechanikiem i często jeździł do Seulu jako domokrążca. Kiedy wybuchła wojna koreańska, został wioskowym dowódcą Korpusu Samoobrony i zabił wielu komunistów. Kiedy armia południowokoreańska i alianci pomaszerowali na północ, ułatwiał im posuwanie się naprzód. Nie była pewna, czy rzeczywiście pracował dla CIA, ale prawdą jest, że kontaktował się z oficerem armii Stanów Zjednoczonych.

I tak zaczął się dwuipółletni okres mego życia z matką w Obozie Numer 18. To, że byliśmy razem, czyniło wszystko znośnym. Jeśli tylko miałem czas, szedłem na stok wzgórza i zbierałem dla niej wszystkie jadalne chwasty, ona również zbierała dla mnie wszystko, co dawało się zjeść. Z początku nie wiedziałem, że odkłada większą część swoich racji dla mnie. Myślała, że obejdzie się mniejszą porcją jedzenia, ponieważ wykonywała prace ręczne, tymczasem ja nadal pracowałem w kopalni. Każdy w Numerze 18, młody czy stary, musiał pracować. Praca matki polegała na tkaniu z łodyg dywaników do wykładania wozów i wyrobie mioteł. Skoro tylko zauważyłem, że nie je, i wypomniałem jej to, powiedziała, że jej stare ciało nie może strawić tak plugawej żywności. Więźniowie w Numerze 18 jedli połowę tego, co powinien zjadać normalny człowiek. Nasza

strawa składała się głównie z suszonej mąki kukurydzianej gotowanej z każdą jadalną trawą, jaką udało się nam zebrać. Tak więc jeśli matka ograniczyła sobie to, co i tak było szczupłą porcją, musiało ją to gwałtownie osłabić. Ale i tak była bardzo szczęśliwa, mogąc znosić głód dla swego jedynego syna, który pozostał przy życiu. Po raz pierwszy doświadczyłem bezwarunkowej miłości macierzyńskiej. Jej miłość była silna i czysta, chroniła mnie przed rozterkami i lękiem.

Obóz Numer 18

W porównaniu z Obozem Numer 14, Obóz Numer 18 sprawiał wrażenie raju. O 7.00 rano wszyscy więźniowie musieli podpisać się w miejscu pracy, podczas gdy w Numerze 14 byliśmy przy pracy przed 5.30 rano. W Numerze 18 więźniowie mogli mieszkać z rodziną w swojej chacie. Bez względu na to, jak bardzo zrujnowane były te kwatery, wolno było mieszkać z rodziną! Bez względu też na to, jak głodni mogli być więźniowie, wolno im było przynajmniej być ze swymi rodzinami. W Obozie Numer 14 sześćdziesięciu więźniów płci męskiej spało razem w małym baraku, ułożonych jeden na drugim w stos. Więźniowie ci nie mieli swobody poruszania się po obozie, natomiast w Obozie Numerze 18 mogli wychodzić w góry, do pewnego poziomu, i zbierać trawę w celu uzupełnienia diety. Musieli tylko o określonej godzinie wrócić do obozu. Ale nie tylko zbierano trawy, odzierano także z kory drzewa sosnowe, czego robić nie

było wolno. Jeżeli strażnik przydybał więźniów zbierających korę, karano ich za wyrządzanie szkody własności państwowej. Jeżeli więzień przyłapany został trzy razy, rozstrzeliwano go za zniszczenie własności państwowej. Mimo to wielu ryzykowało życie, wspinając się, by zdobyć coś do jedzenia. Mimo że warunki w Obozie Numer 18 były o niebo lepsze niż w Obozie Numer 14, nadal bywałem świadkiem tak wielu drastycznych scen – przeważały śmierć z głodu i egzekucje publiczne.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że poprawę mego bytu zawdzięczałem mojemu byłemu szefowi D., który w moim imieniu prosił o wyrozumiałość, co dla niego musiało być ryzykowne. Dowodził, że zostałem zesłany do obozu nie z przyczyny zbrodni, które popełniłem osobiście, lecz z powodu tego, co uczyniło pokolenie moich rodziców. Innymi słowy, nie byłem „pierwszym pokoleniem szkodników", jak to zwykło się mawiać w Korei, a „drugim pokoleniem", uwięzionym za zbrodnie ojca. Poza tym przed uwięzieniem byłem absolutnie lojalny wobec Kim Dzong Ila i reżimu. Pierwsze pokolenie szkodników – i czasami drugie – było często skazywane na śmierć natychmiast po aresztowaniu; trzecie natomiast pokolenie wysyłano do Obozu Numer 18 – bywało, że pojawiało się tam i pokolenie czwarte. W zasadzie więźniom nie wolno było rodzić dzieci w obozie. Ale ponieważ członkowie rodzin mieszkali razem, kobiety niekiedy zachodziły w ciążę. Wiele z nich zmuszano do usunięcia płodu. Opowiadano mi, że strażnicy wstrzykiwali ciężarnym solankę do macic, a płody wydobywali łyżkami. Nie było żadną tajemnicą, że więźniowie zjadali usunięte płody. Gdy ciążę wykryto zbyt późno, kobietom udawało się wydać na świat dziecko w obozie. Rośli więc

ludzie czwartego pokolenia szkodników, którzy nie znali życia poza murami i drutem kolczastym. Oni byli tam przetrzymywani za to, że urodzili się w rodzinach „kryminalistów". Niemniej, ponieważ sami nie popełnili przestępstwa, wykonywali względnie łatwe prace, takie jak praca w gorzelni albo przy karmieniu świń, gdzie mogli liczyć na resztki żywności. Co prawda strażnicy wlewali do karmy zwierzęcej fekalia, żeby więźniowie jej nie kradli, ale to nie odstraszało nikogo od wypijania i zjadania wszystkiego, co było w chlewie. Kiedy oprosiły się maciory – miot liczył zazwyczaj dziesięć do dwunastu prosiąt – więźniowie kradli dwa lub trzy prosięta i wkładali je do wrzątku. A potem spożywali w tajemnicy wystawną ucztę, niewyobrażalną wedle standardów obozowych. Zjadali nie tylko mięciutkie mięso, ale i wszystko inne – skórę, raciczki, gałki oczne i uszy.

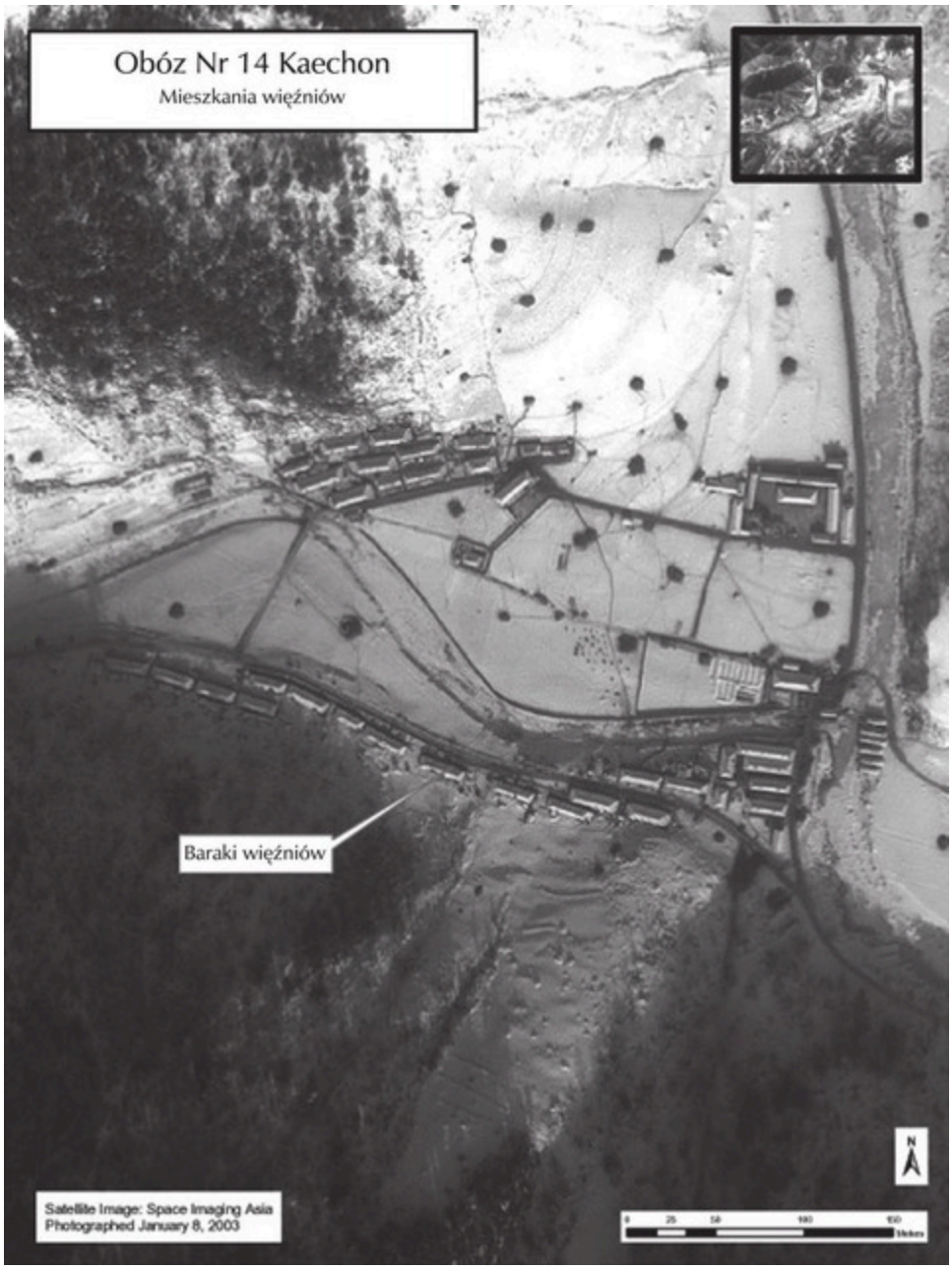

Zdjęcie satelitarne przedstawiające baraki więźniów w Obozie Numer 14; Kim Yong zamknięty był w jednym z nich, o wymiarach 9 na 6,5 metra, wraz z sześćdziesięcioma innymi więźniami.

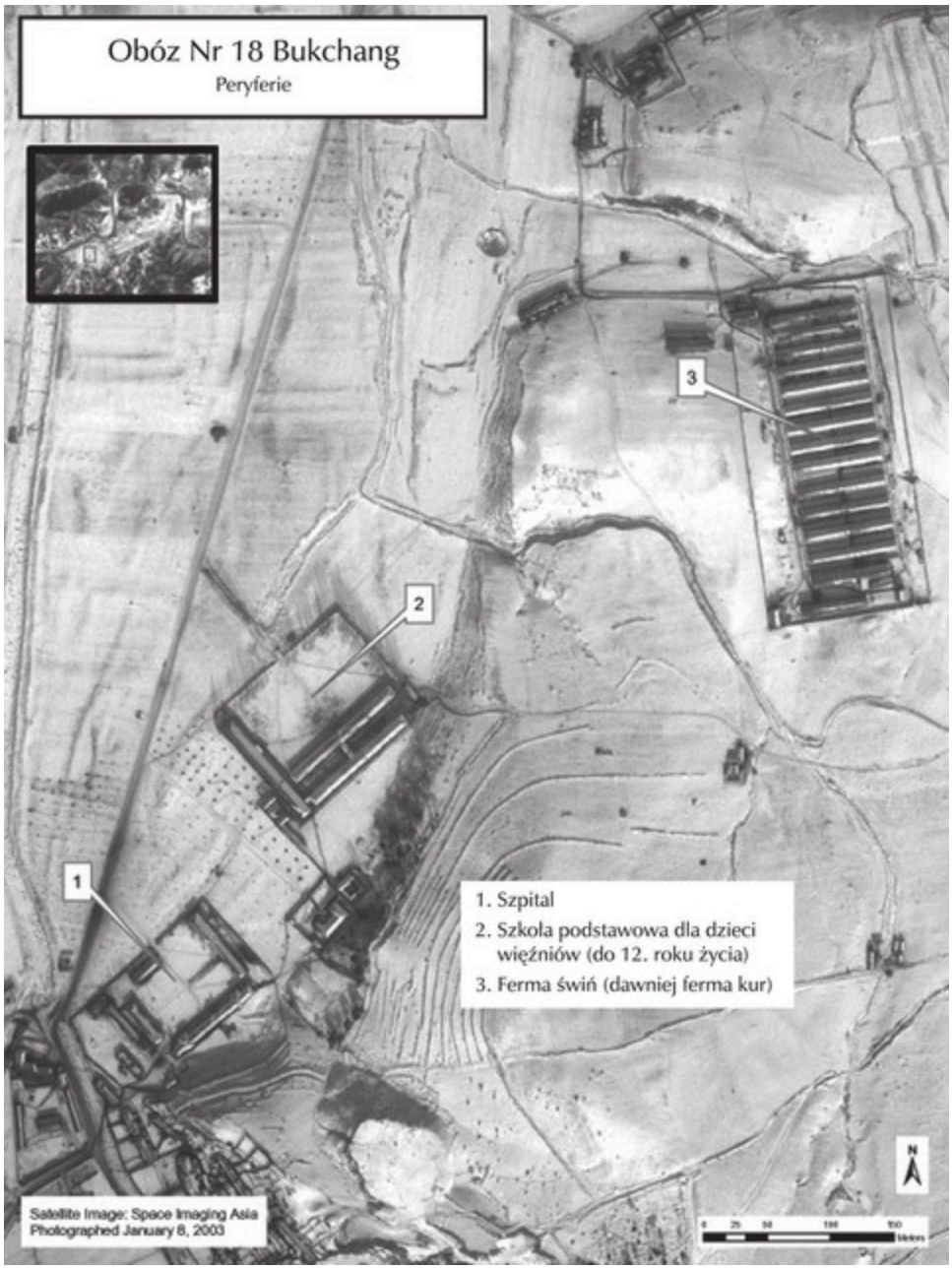

Zdjęcie satelitarne Obozu Numer 18 przedstawiające zabudowania szpitala, szkoły i fermy świń.

Poza drugim i trzecim, a nawet czwartym pokoleniem szkodników w Obozie Numer 18 znalazło się paru byłych bonzów. Kim Chang-nyeong zajmował w przeszłości wybitne stanowisko

w społeczeństwie – był członkiem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, kierującym doborem agentów, którzy mieli być wysłani za granicę. Wszyscy zazdrościli mu potężnego stanowiska, ale Kim popełnił fatalny błąd, sprzymierzając się z osobami, które wypadły z łask Kim Dzong Ila. Był też inny człowiek, który swego czasu był wysokim urzędnikiem partyjnym. Oskarżono go o szpiegostwo, ponieważ podjął prywatnie japońskiego ciężarowca, kiedy Japończyk odwiedził Koreę. Twierdził, że uczynił to na znak koreańskiej gościnności. Ludzie u władzy wiedzieli, że nieszkodliwe przyjęcie Japończyka było tylko pretekstem maskującym prawdziwy powód aresztowania. Urzędnik ów, podobnie jak Kim Chang-nyeong, wziął stronę ludzi, którzy nie sprzymierzyli się z Ukochanym Przywódcą Kim Dzong Ilem. Nie uczyniwszy niczego złego osobiście, przekonany, że może wyjaśnić tę sprawę – tak samo jak uważałem ja, kiedy mnie aresztowano – postanowił apelować. Napisał długi list błagalny do swych przyjaciół w Pjongjangu, ale nie mógł wymyślić sposobu, jak go wysłać. Na koniec wreszcie udało mu się namówić jednego ze strażników, by ten list dostarczył. Gdy posłannik przyniósł pocztę „przyjaciołom" w centralnym biurze partyjnym, nie wszyscy z nich uważali się za przyjaciół szpiega japońskiego. Niektórzy donieśli o tym incydencie samemu Kim Dzong Ilowi i zgodnie ze wskazówkami Ukochanego Przywódcy wszyscy zamieszani, bez względu na swą rangę, zostali aresztowani. Pewnego parnego sierpniowego dnia 1996 roku ciężarówka wypełniona pięćdziesięcioma ludźmi przybyła na miejsce straceń. Niektórzy zostali aresztowani niedawno, twarze innych dobrze były znane w obozie. Wśród nich znajdował się również strażnik,

który list dostarczył. Władze obozowe rzeczywiście zastrzeliły posłańca.

W 1997 roku Obóz Numer 18 przywitał nową grupę więźniów z miasta Songrim. Byli to dawni pracownicy stalowni, produkującej najlepszej jakości stal w Korei Północnej. Miasto słynęło z tego, iż udzielił mu błogosławieństwa osobiście Wielki Wódz, który bezpośrednio czerpał z korzyści, jakie przynosiły produkty tej fabryki. Ale w roku 1997 dla wiecznie wygłodzonych robotników stal stała się środkiem przeżycia – produktem, który potajemnie wymieniali na podłej jakości mąkę chińską, nadającą się tylko na paszę dla zwierząt. Głodnym robotnikom nie pozostało jednak nic innego, jak tylko przedłożyć jedzenie nad dumę narodową. Kiedy Kim Dzong Il się o tym dowiedział, a zwalczał już wtedy niskie morale, zapragnął uczynić przykład z tego, co Koreańczycy z Północy nazwali później „incydentem songrimskim". Rozkazał Agencji Bezpieczeństwa Narodowego wysłać cały korpus wojska, by otoczyć to miasto. Żołnierze polecili jego mieszkańcom pozostać w swoich domach i rozpoczęli rewizje. Dwudziestu czterech mieszkańców miało więcej niż trzy worki chińskiej mąki. Wszystkich ich wywleczono na peryferie miasta i publicznie stracono, bez procesu sądowego. Ci, którzy mieli mniej niż trzy worki owej mąki, zostali aresztowani i zesłani do obozu. Wśród nich było wielu lojalistów, którzy poświęcili swoje życie służbie Wielkiemu Wodzowi i Ukochanemu Przywódcy. Ich ciężka praca została wyróżniona Medalami Ludu i Medalami Pochwalnymi, ale stawiając czoło ustawicznemu i nieznośnemu głodowi, musieli ulec swoim instynktom. Ich jedyną zbrodnią była potrzeba zaspokajania głodu.

Nie mogłem spać tej nocy. Mimo że całe ciało miałem obolałe od ciężkiej pracy, umysł mój po prostu się gotował. Targnął mną ból i gniew z powodu tego, czego właśnie byłem świadkiem. Lojalni obywatele tego państwa gnili w tym piekielnym miejscu, gdzie śmierć była bardziej pożądana niż życie. Myślałem o tym, jak strasznie oszukano ludzi przybyłych właśnie z Songrim. W istocie każdego w tym kraju oszukiwano, każąc mu wierzyć w lepsze życie. Tej nocy leżałem na gołym klepisku, zaciskając zęby, i czułem ciepły pot zwilżający zaciśnięte pięści. Myślałem sobie: „Przeżyję. Muszę przeżyć! Przetrwam! Przetrwam! Przetrwam! Przeżyję i powiem światu o tym, czego byłem świadkiem. W przeciwnym razie ta niemożliwa do przezwyciężenia tragedia zostanie zapomniana, nigdy reszta świata się o niej nie dowie. Przeżyję, by osobiście o tym opowiedzieć. Przeżyję”.

Buntownicy i kolaboranci

W Obozie Numer 18 znajdowało się wiele dzieci – drugie i trzecie pokolenie więźniów – które płaciły za zbrodnie popełnione rzekomo przez ich rodziców i dziadów. Byli w tym obozie, ponieważ państwo północnokoreańskie przypisywało zbiorową winę rodzinom szkodników politycznych. Pierwsze pokolenie – prawdziwi złoczyńcy – musiało iść do kopalni węgla i wykonywać ciężką pracę. Drugie i trzecie, dopóki żył kryminalista w rodzinie, również musiało ciężko pracować. Dopiero gdy pierwsza generacja umarła, szkodnicy drugiego i trzeciego pokolenia traktowani byli

przez państwo jako przestępcy mniejszego kalibru. System ten zachęcał niekiedy do niewiarygodnych działań. W Obozie Numer 18 był przypadek ojcobójstwa. Trzech synów sprzysięgło się i zamordowało ojca, by uwolnić się od katorżniczej pracy w szybie kopalnianym. Kiedy strażnicy odkryli tę zbrodnię, postawili owych synów przed sądem. Ci trzej synowie utrzymywali, że osoba, którą zamordowali, nie była ich ojcem, lecz wrogiem państwa, który często zdradzał bojowników komunistycznych w czasie wojny koreańskiej. Słyszałem, jak mówili – przy zdecydowanym sprzeciwie publiczności – że chcieli ulżyć troskom Ukochanego Przywódcy Kim Dzong Ila, usuwając zły element społeczeństwa. Władze obozowe były usatysfakcjonowane tym wyjaśnieniem i zaklasyfikowały ich jako więźniów „rokujących nadzieję poprawy". Osobiście byłem świadkiem tego i dwóch innych przypadków ojcobójstwa w Obozie Numer 18; w jednym z tych przypadków dziewczyna zmordowała ojca z takiej samej przyczyny.

O ile niektóre dzieci szkodników, by uniknąć kłopotów i wieść ciut lepsze życie, uciekały się do retoryki państwowej, o tyle inne były niewidzialnymi buntownikami. Biura strażników, podobnie jak cała Korea Północna, ozdabiane były portretami Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila, które pieczołowicie odkurzano i polerowano. Niemniej czasami bywało, że szybę pokrywającą te portrety tłuczono i rozsypywano po podłodze. Każdy, kto poważyłby się zrobić coś takiego, z całą pewnością zapłaciłby życiem, gdyby go na tym przyłapano. Zdarzały się też i dni – aczkolwiek rzadko – kiedy odcinano elektryczność w całym obozie, co uniemożliwiało wykonanie jakiejkolwiek pracy w kopalni. Niektórzy łamali

regulamin w proteście, wielu jednak robiło to po prostu, by przeżyć. Tak czy owak ryzykowali życie. Jesienią, kiedy zbliżał się zbiór kukurydzy, głodni więźniowie nie mogli powstrzymać się od tego, by pójść w pole i kraść. Strażnicy obozowi zmieniali się z naładowaną do pełna bronią, by chronić zbiory. Jeżeli zauważyli jakiś ruch na polu, natychmiast strzelali na oślep. Pomimo poważnego niebezpieczeństwa więźniowie i tak szli kraść, w przeciwnym razie umarliby z głodu. Ponieważ zjadałem część racji żywnościowej mojej matki, radziłem sobie z głodem lepiej niż inni. Poświęcenie jej pozwoliło mi przeżyć. Więźniów nieżonatych grupowano w kilku barakach, dokładnie tak jak w Obozie Numer 14. Byli w gorszym stanie zdrowia niż więźniowie, którzy mieszkali razem z rodzinami. Pracowałem z wieloma więźniami kawalerami, którzy często padali z głodu w szybie kopalnianym. Ich kościste ciała ładowano potem na dwukółkę i wysyłano do szpitala, w którym lekarze również byli więźniami politycznymi. Większość z nich miała stopnie naukowe uczelni rosyjskich i wschodnioeuropejskich. Ale bez względu na to, jak dobrze zawodowo byli przygotowani, obóz nie miał żadnych lekarstw ani sprzętu medycznego, by leczyć chorych. Z tej przyczyny wielu strażników wolało, by postawił im diagnozę lekarz w obozie – pewnie lepszy niż poza nim – a lekarstwa załatwi sobie przez znajomości.

Strażnicy obozowi czerpali wiele korzyści z dawnych koneksji więźniów. Pewien strażnik, który wiedział, że pracowałem w wydziale handlowym, chciał skorzystać z moich znajomości.

Wezwał mnie do jakiegoś ustronnego miejsca i spytał twardym tonem:

– Jadę do Pjongjangu. Czy masz coś do przekazania swoim przyjaciołom?

– Czego pan potrzebuje? – odpowiedziałem, nie patrząc na niego.

– Chciałbym nowy kolorowy telewizor – odparł obojętnie.

Musiałem więc napisać list do moich przyjaciół w wydziale zaopatrzenia elektronicznego i poprosić ich, by dostarczyli telewizor strażnikowi, który przyniósł im moją notatkę. Uznałem, że przyjaciele z pewnością rozpoznają mój charakter pisma i podpis. Kiedy strażnik przedstawi im list, zauważą pewnie, że jest on z Obozu Numer 18, i natychmiast zorientują się w sytuacji. Odwołując się do naszej przyjaźni, przypuszczałem, że potraktują strażnika dobrze i powiedzą mu, żeby przyzwoicie się o mnie troszczył, zanim wręczą mu fabrycznie nowy telewizor. Tak się stało. Strażnik wrócił i rzeczywiście dbał o mnie w dyskretny sposób. Strażnicy z Obozu Numer 18 dostawali suszoną kukurydzę, jako karmę dla zwierząt, które hodowali we własnym gospodarstwie domowym. Kiedy mój przedsiębiorczy strażnik otrzymał swoją porcję suszonej kukurydzy, zawołał mnie do magazynu przy chlewie i kazał mi załadować wiadro kukurydzą. A potem kazał mi je zanieść do mojej szopy, podczas gdy on sam podążał za mną ze świnią. Obydwaj wiedzieliśmy, że obserwują nas inni strażnicy, musieliśmy więc udawać, że odgrywamy pospolitą scenę – strażnik każe więźniowi transportować rzeczy. Kiedy dotarliśmy do szopy, po chamsku powiedział mi, by nie trzymać tam karmy dla zwierząt, i szybko wrócił ze świnią do chlewa. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy,

nie wiedziałem, co o tym myśleć, spytałem go więc kilka dni później:

– Co mam zrobić z tą kukurydzą?

– Rób, co potrzeba – odparł szorstko, ale do samego końca nie powiedział wprost, bym sobie zjadł tę kukurydzę.

Innym razem zawołał mnie do biura i powiedział:

– Ty skurwysynu, wyczyść mi ten pojemnik najszybciej, jak tylko można.

Wskazał mi kosz na śmieci, topornie sklecony z suchej słomy. Biuro dzielił z innymi strażnikami, używał więc normalnego języka, jakim strażnik zwraca się do więźnia.

Kosz na śmieci zawierał kilka cukierków. Szybko je oddzieliłem i włożyłem do kieszeni, zanim ktoś to zauważył. Kiedy ssałem cukierek, natychmiast poczułem mały zastrzyk energii. Taki podówczas byłem osłabiony.

Ale słodkie chwile długo nie trwały. Strażników, jak wcześniej już wspomniałem, nieustannie zmieniano. Większość rygorystycznie przestrzegała regulaminu. Jeśli mieli takie życzenie, korzystali z wszechpotężnej władzy. Mogli w każdej chwili zabić każdego więźnia. W przeciwieństwie do normalnych więzień, gdzie odsiadka kończy się w określonym terminie, w obozie nie miało się żadnej nadziei na zwolnienie i z tej przyczyny panowała milcząca zgoda, że wszystko, ale to absolutnie wszystko jest możliwe. Wśród nowo przybyłych więźniów było wiele ładnych kobiet. Dygnitarze wysokiego szczebla z Pjongjangu – o ile przylepiono im etykietę antyrewolucjonisty – zsyłani byli do obozu wraz z całą rodziną, włączając w to młode córki. Te dziewczęta, dopóki nie trafiły do

obozu, nie zaznały żadnych trudności. Przez całe życie rozpieszczano je japońskimi i francuskimi kosmetykami oraz piękną odzieżą, zupełnie niedostępną społeczeństwu. Kiedy przybywały do obozu, strażnicy wykorzystywali je, a potem uciszali groźbami. Później polecano tym dziewczętom wykonywać względnie lekkie prace, takie jak sprzątanie budynków biurowych i dawanie sygnałów ruchu pociągom. Aż nadto rzucało się w oczy, że te dziewczyny były kochankami strażników. Była sobie pewna dziewczyna o ładnej powierzchowności; nazywała się Jeong-sun. Przed uwięzieniem należała do damskiego zespołu muzycznego, słynącego z urody jego członkiń, i często zabawiała Kim Dzong Ila wraz z jego ścisłą świtą. Nigdy tego nie mówiono publicznie, ale było tajemnicą poliszynela, że grupa ta dostarcza najwyższemu przywództwu północnokoreańskiemu rozrywek „wszelkiego rodzaju". Jeong-sun wysłano do obozu, ponieważ wyjawiła sekrety życia płciowego niektórych przywódców. W Obozie Numer 18 jej praca polegała – jak zwykle – na zabawianiu przywództwa. Powierzono jej zadanie sprawdzania obecności w jednej z fabryk. Ale podobnie jak na wolności Jeong-sun nie umiała trzymać języka za zębami w kwestii swej pracy nocnej. Trzy dni po pojawieniu się plotek znaleziono ją martwą w górach, zastrzeloną – wedle strażników – podczas „próby ucieczki".

Ten rodzaj egzekucji był częsty. Wiele dzieci ulegało pokusie, by pójść nad rzekę na ryby. Ich rodzice musieli ostrzegać swoje pociechy, by trzymały się z dala od rzeki, ale młodzi zapominali o ostrzeżeniach. Kiedy strażnicy znajdowali ich nad rzeką, strzelali bez najmniejszego wahania.

W Obozie Numer 18 była strzelnica. Czasami ciężarówki przywoziły ludzi z zewnątrz, ale zamiast zainstalować ich w barakach, rozstrzeliwano ich na strzelnicy. Krążyło wiele plotek na temat tego, kim byli ci ludzie, i wielu podejrzewało, że to najwyżsi dygnitarze państwowi. Reżim musiał uważać ten obóz za czarną dziurę wszechświata, gdzie można wyrzucić najplugawsze nawet tajemnice. Z tej przyczyny strażnicy obozowi – obojętne, jaki mieli stopień – nosili mundury Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, aby pamiętali, że mają obowiązek chronić najbardziej mroczne sekrety Korei Północnej. Kiedy wracali do społeczeństwa, aby uczestniczyć w spotkaniach z innymi oficerami, przebierali się w regularne mundury armijne.

Ostatnie spotkanie z matką

Pewnego dnia matka przepadła bez śladu. Wszczęto poszukiwania. Dzień później strażnicy znaleźli ją nieprzytomną w górach. Najwyraźniej poszła tam, by zebrać jadalne trawy dla mnie na zupę, ale ponieważ była chronicznie niedożywiona, straciła przytomność i zemdlała. Regulamin obozu nakazywał wracać więźniom z gór przed godziną 5.00 po południu. Jeśli tego nie uczynili, strażnicy od razu uznawali to za próbę ucieczki. Matkę znaleziono na wzgórzu. Zanim ją przesłuchano, strażnicy skopali tę słabą kobietę po siedemdziesiątce, skuli kajdankami i zawlekli do swego biura. Kiedy wróciłem z kopalni – o 10.30

wieczorem – wezwali mnie. Skoro tylko się pojawiłem, zostałem spoliczkowany.

– Skurwysynu, twoja matka próbowała uciec z obozu. Czy nie spiskowaliście, by uciec razem?

– Nie, towarzyszu. Mogła zbierać trawę do jedzenia. To wszystko – poczułem się zrozpaczony.

– Nie łżyj, ty przeklęty matkojebco, musiałeś pomagać jej w próbie ucieczki.

Potem dwóch skopało mnie swymi butami wojskowymi.

Matkę natychmiast przeniesiono do kwater przeznaczonych dla więźniów skazanych na śmierć. Strażnicy trzymali tam ludzi tylko wtedy, jeśli miała zapaść decyzja w kwestii metody egzekucji – powieszenia bądź rozstrzelania. W dzień więźniowie ci musieli wykonywać wyjątkowo ciężkie prace. W nocy nie pozwalano im dostatecznie się wyspać i zmuszano do samokrytyki. Byłem tak udręczony zmartwieniami, że kilka dni po aresztowaniu matki postanowiłem potajemnie pójść, by zobaczyć, jak ona pracuje. C., inny więzień, z którym łączyły mnie przyjacielskie stosunki, towarzyszył mi do tego miejsca. Osadzeni ci pracowali na brzegu rzeki, poruszali wielkie skały, by zbudować nowe molo. Większość owych robotników wyglądała bardzo młodo, a matka wyglądała wśród nich jak mała mysz. Odwiedziliśmy to miejsce w porze obiadowej, dostrzegłem więc, jak robotnicy ustawiają się w kolejkę po garść gotowanych ziaren kukurydzy. Ponieważ wszyscy byli wygłodniali, spieszyli się, by dostać swoją porcję, matka jednak ledwie chodziła i przeszkadzała tym, którzy rwali się naprzód. Przyszedł strażnik i wyciągnął ją z kolejki i powlókł do hamaka, którego robotnicy używali do transportu ciężkich skał. Gdyby mój

przyjaciel mnie nie przytrzymał, to chwyciłbym kamienie i zaczął nimi rzucać w tych brutalnych strażników. W drżącej ciszy przez strumień łez widziałem, jak matka rozpaczliwie uczepiła się drąga, na którym zwisał hamak, żeby nie upaść na ziemię. Całe ciało drżało z daremnego wysiłku, by ocalić życie. To był obraz matki, jaki zachowałem w pamięci. Później słyszałem, że straciła zdolność samodzielnego chodzenia do toalety.

Po miesiącu od tego wydarzenia uciekłem z Obozu Numer 18.

Rozdział piąty
Ucieczka

Ryzykowny spisek

Straciłem matkę na zawsze, ale z tej straty zrodziła się potrzeba dowiedzenia się wszystkiego o mojej rodzinie. Teraz byłem jedynym pozostałym przy życiu członkiem mojej generacji i musiałem zrozumieć, dlaczego dotknęła nas taka tragedia. Matka zwykła zachęcać mnie do ucieczki, nawet jeszcze przed jej ostatnim aresztowaniem. Czuła, że jest nieuchronnie skazana na to, by dokonać żywota w tym potwornym miejscu, ale wierzyła, że ja nadal mam szansę. Chciałem uciec, by wypełnić jej wolę, ale gdybym spróbował to uczynić za jej życia, z całą pewnością przysporzyłbym matce nieznośnych cierpień. W Obozie Numer 18 strażnicy zakuwali w łańcuchy więźniów, których członkowie rodzin uciekali, po czym podwieszali ich tak, że ich stopy ledwie dotykały ziemi. Ci zakuci pozostawali na widoku publicznym, nie mogąc ani jeść, ani pójść do toalety, póki sprawa się nie wyjaśniła.

Poniżające to widowisko było zarazem dla wszystkich nauczką. Informowało bowiem, jaki los spotka rodziny, kiedy komuś zachce się uciekać. Sam byłem świadkiem tej tortury i widziałem, jak twarze podwieszonych czerniały w cierpieniu. Dobrze przyswoiłem sobie tę lekcję i nie śmiałem postawić matki w takim położeniu. Ale teraz, kiedy liczyła ona dni do swojej śmierci, nie miałem nadziei znów ujrzeć jej żywej. Zaczynałem mieć obsesję na punkcie tego, jak zrealizować jej życzenie. Był to ryzykowny pomysł, prawie bez żadnych szans powodzenia. Ale im mniej realnie wyglądał, tym bardziej narastało moje pragnienie. Opętało mnie na punkcie wyjaśnienia mej historii rodzinnej.

Pomysł ucieczki przyszedł mi do głowy, kiedy zostałem przeniesiony do Obozu Numer 18. Warunki w Obozie Numer 14 były tak ciężkie, że nie mogłem o takiej możliwości nawet pomyśleć. Był to najgorszy obóz, ponieważ więziono w nim wrogów państwa. Nawet strażnicy zachowywali się tam tak, jakby byli na froncie. Jednak, w Obozie Numer 18, w którym zamykano wrogów drugiego i trzeciego pokolenia, strażnicy przejawiali bardziej ludzkie oblicze i była tam większa swoboda poruszania się. Wiedząc, że śmierć matki jest pewna, podjąłem decyzję. Spróbuję. Zacząłem zatem uważnie badać otaczające obóz rejony. Była tam rzeka przepływająca u podnóża góry. Najpierw pomyślałem o zanurzeniu się w jej wody, by oddychając przez trzcinę, dotrzeć do bezpiecznego obszaru. Uznałem jednak, że jestem zbyt słaby, by to uczynić. Porzuciłem więc ten pomysł, a gdy dowiedziałem się, że strażnicy umieścili w rzece wiele sieci, które miały sygnalizować złapanie się w nie jakiegoś dużego obiektu, uradowałem się, że nie wybrałem tej drogi ucieczki.

O pomyśle strażników więźniowie nic nie wiedzieli, dopóki nie znaleziono zwłok byłego dygnitarza partyjnego, który popełnił samobójstwo przez rzucenie się w nurt rzeki. Po tym wydarzeniu myślałem o ukryciu się wewnątrz ciężarówki, która transportowała do obozu racje żywnościowe. Ale wejście do ciężarówki byłoby mniejszym problemem niż wyjście z niej, gdyż to drugie wiązało się ze zbyt wielkim ryzykiem, ponieważ drzwi były zamykane z zewnątrz, a ja nie wiedziałem, jak je otworzyć od środka.

Przemyśliwałem również o ucieczce pociągiem, transportującym węgiel do świata zewnętrznego. To w oczywisty sposób udać się nie mogło, kiedy bowiem załadowane pociągi wyjeżdżały z szybu, wielka metalowa prasa opadała na wierzch każdego wagonu, by sprasować ładunek dla pewności, że nikt się nie ukrywa w środku. Żadna istota ludzka takiego ciężkiego nacisku by nie przeżyła. Zwróciłem więc oczy ku górom, ale wkrótce przekonałem się, że uciec tą drogą byłoby nawet trudniej. Były tam bowiem nie tylko szeregi wysokich murów zwieńczonych drutem kolczastym, lecz również rozstawiono liczne pułapki, które rozszarpałyby ciało zbiega na strzępy. Więźniowie dowiedzieli się o tym, kiedy kilku z nich skierowano do wyczyszczenia owych pułapek. Znaleźli tam nieco królików, które się w nie złapały. Króliki były martwe, ale nadal dość świeże, by je zjeść. Wprawiło ich to w świetny nastrój.

Drogą przez góry udało się jednak uciec z Obozu Numer 18 jednemu więźniowi. Był on młodym człowiekiem uwięzionym za zdradę, której rzekomo dopuścił się jego ojciec. Młodzieniec ów był dawniej członkiem jednostki specjalnej w armii, gdzie go wyszkolono na wysokim poziomie. Był zatem przygotowany do

wykonania bardzo trudnych zadań. Wysyłano go już dwukrotnie do Korei Południowej. Jego ojciec był członkiem KC Partii Pracy Korei, ale z powodu spisku politycznego cała rodzina została narażona na oskarżenia i nieuchronny upadek. Wszystkich czworo zesłano do Obozu Numer 18 – matkę, ojca, syna i córkę. Tak jak wielu innych nowo przybyłych, ojciec młodego człowieka nie mógł kompletnie zrozumieć, jak to się mogło stać, że taki twardogłowy lojalista jak on może skończyć w politycznym obozie karnym. Myślał, że ma obowiązek naprawić ten ciężki błąd, by oszczędzić swej rodzinie niesprawiedliwej kary. Toteż napisał sto listów do członków partii, utrzymując, że jest niewinny. Potem udało mu się przekupić jakiegoś strażnika, by wysłać te listy do Pjongjangu. Syn również był zszokowany tym nieporozumieniem i chciał się oczyścić z zarzutów. W przeciwieństwie jednak do ojca, nie wysyłał listów do Pjongjangu, ale użył swego wyszkolonego ciała, by je tam zanieść samemu. W czasie kiedy próbował ucieczki, wciąż był jeszcze sprawny, bo nie okaleczył go jeszcze głód i ciężka praca. Udało mu się ukraść z obozu linę i poczekał, aż się ściemni. Potem wszedł na szczyt wzgórza, gdzie stał płot. Wspiął się na jego szczyt, przerzucił linę do drugiego płotu i przebył dzielącą je przestrzeń, nie dotykając ziemi naszpikowanej śmiercionośnymi pułapkami. A jak już udało mu się wydostać z obozu, ruszył prosto do Pjongjangu. Tam poszedł do gmachu KC partii, rozrzucił podania, które przygotował, i oświadczył, że został niesłusznie oskarżony o spisek i że jedynym celem jego życia jest ze wszech sił służyć Ukochanemu Przywódcy. Następnie rozciął sobie żołądek nożem, co miało świadczyć o lojalności wobec reżimu. Było oczywiste, że uciekł,

ponieważ chciał zaprotestować i przedstawić swoje racje, właśnie tak, jak i ja miałem nadzieję uczynić, kiedy mnie aresztowano. Sądzę, iż liczył na to, że Kim Dzong Il zauważy jego starania i okaże jemu i jego rodzinie łaskę oraz oczyści z zarzutów, ale czy Kim Dzong Il o tym usłyszał, czy nie – tego nie wiadomo. Więźnia zabrano do szpitala na kurację, a kiedy wrócił do zdrowia, wysłano go z powrotem do obozu. Tam był ciężko torturowany przez trzy miesiące. Kiedy wyprowadzono go na miejsce egzekucji, wszyscy więźniowie byli zaskoczeni, widząc, jak ten zdrowy mężczyzna, którego pamiętali, skurczył się do połowy swych pierwotnych rozmiarów. Wyglądał jak mały, zabłąkany piesek. Kiedy więźniów tracono, inni więźniowie musieli być świadkami tej procedury, a potem ustawić się w szeregu, by rzucać kamienie lub pluć na zwłoki. Kiedy zbliżyłem się do ciała, zauważyłem liczne ślady okrutnych tortur.

Tak oto doszedłem do wniosku, że wyjście główną bramą będzie pomysłem najlepszym. Zaskakujące może, ale środki bezpieczeństwa były tam względnie słabe. O godzinie 2.00 nad ranem lub 5.30 przy bramie wejściowej było zupełnie cicho. Być może strażnicy nie przewidywali, że ktokolwiek ośmieli się tamtędy wyjść. Sama brama była wysoka, ale przylegające do niej mury wydawały się wystarczająco niskie, bym mógł się po nich wspiąć. Ale były tam dwa bestialskie psy, które zagoniłyby mnie na śmierć, gdybym podjął to ryzyko. Przygotowanie pieczonego na ruszcie mięsa dla uspokojenia psów było jedynym rozwiązaniem. Ale nawet gdybym zdobył trochę mięsa, czy mógłbym je upiec, by inni więźniowie nie poczuli zapachu? Przemyślawszy dogłębnie wszystkie możliwości, uznałem, że przejście przez bramę

frontową, w czasie silnego, ulewnego deszczu, powinno się powieść. Psy nie zdołają ani wyśledzić mego zapachu, bez względu na to, jak byłyby wyczulone, ani też usłyszeć moich kroków. Postanowiłem więc czekać stosownej chwili.

Nocny zbieg

Wreszcie zupełnie niespodziewanie pojawiła się cudowna szansa.

Patrząc wstecz, okoliczność ta była czymś więcej niż tylko szczęściem. Musiała być to pomoc Boża. Dzień ów rozpoczął się jak każdy inny – pracą. Wszyscy pojawili się o godzinie 7.00 rano po zwykłą, szczupłą porcję gotowanej kukurydzy i pszenicy z solą, a pracowali, póki nie poczuli się tak, jakby kark im pękał. Ale pod koniec dnia, kiedy wszystko już było gotowe do załadowania węglem pociągu – ostatniego etapu długiej codziennej pracy – na dnie wagonów znaleźliśmy rozsypane ziarna kukurydzy. Pociągami musiano wcześniej transportować żywność. Nie pierwszy raz pojawiła się szansa na dodatkowe pożywienie, ale obojętne, jak bardzo niewiele go było, wszyscy więźniowie oszaleli, próbując zebrać ziarna. W dwójce roboczej partnerował mi bliski przyjaciel z dzieciństwa, pochodzący z zasobnej w dostatki dzielnicy Pjongjangu – Namsanu. Jak wielu innych sprzymierzył się z szefem, który wypadł z łask Ukochanego Przywódcy, no i trafił do obozu. Na podłodze wagonu zauważyłem cienką metalową płytę, wymiarów co najwyżej dwa na trzy metry. W wagonie tym znaleźli się też inni więźniowie, ale nawet jeśli

dostrzegli tę metalową płytę, to tak byli zaabsorbowani ziarnem, że nie zwrócili na nią żadnej uwagi. Mój przyjaciel i ja od razu zdaliśmy sobie sprawę, że to coś niezwykłego. Wkrótce pojawili się strażnicy i zaczęli gwizdać na więźniów i ich przeklinać.

Przestraszeni reakcją strażników, ale też zachwyceni swą zdobyczą, więźniowie wrócili do pracy. Ale my zostaliśmy – ryzyko było ogromne, w razie gdyby znaleźli nas strażnicy. Na szczęście wagon stał w mrocznym miejscu szybu, liczyliśmy więc na to, że nawet gdyby ktoś podszedł bardzo blisko, i tak trudno byłoby mu nas tam dostrzec. Spróbowaliśmy unieść leżącą w wagonie płytę, ale dla ludzi osłabionych głodem była niezwykle ciężka i nie mogliśmy tego zrobić gołymi rękami. Użyliśmy więc dźwigni i poruszyliśmy ją o centymetr. Po chwili pod płytą dostrzegliśmy trzy dziury w zniszczonej drewnianej podłodze. W okresie tym, przed spodziewanym straszliwym kryzysem gospodarczym, w Korei Północnej nie przewidywano żadnych funduszy na utrzymanie w należytym stanie sprzętu czy dokonywanie napraw. Rozwiązaniem doraźnym była więc owa metalowa płyta, która umożliwiała przewóz materiałów sypkich.

Kiedy zatem odkryliśmy, co jest pod płytą, oczy nasze się spotkały, a serca zamarły. Obydwaj wiedzieliśmy, co to oznacza: idealną szansę, jaka nigdy już więcej może się nie powtórzyć. Metalowa płyta płasko przylegała do drewnianej podłogi, ale gdybyśmy wetknęli dużą bryłę węgla w jedną z dziur i przykryli ją metalem, powstałaby kryjówka dla jednej osoby. Moglibyśmy tam wejść i stamtąd wyjść przez jedną z dwóch pozostałych dziur w dnie kolejowego wagonu. Ale wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Na przykład czy metalowa płyta wystarczająco

ochroni przed ciężarem prasy zgniatającej węgiel? „Zadziała czy nie – pomyślałem – jeśli zostanę w obozie, tak czy inaczej umrę. Mogę więc równie dobrze, spróbować uciec". Pomysł ucieczki nabierał realnych kształtów, co sprawiło, że serce zaczęło mi bić żywiej. Spojrzeliśmy na siebie. W ułamku sekundy wymieniliśmy tak wiele myśli. Który z nas podejmie to ryzyko? Było oczywiste, że jest tam miejsce ledwie dla jednej osoby, a uciec chciały dwie. Nie było za dużo czasu do namysłu. Musiała już dochodzić 11.00 w nocy, minęły więc jakieś cztery i pół godziny od naszego zjazdu do szybu na nocną szychtę, która normalnie trwała od 7.30 wieczorem do 1.00 lub 2.00 w nocy. Zaraz zacznie się załadunek pociągu. Musieliśmy działać szybko. Wyszukaliśmy największą bryłę węgla, wepchnęliśmy ją w najmniejszą dziurę i wciągnęliśmy z powrotem na wierzch płytę. W ten sposób największa dziura została zarezerwowana na wejście i wyjście. Podówczas musiałem ważyć około 40 kilogramów, natomiast mój przyjaciel ważył więcej. Obydwaj próbowaliśmy wejść do tej dziury, ale ja pasowałem lepiej, bo byłem mniejszy i lżejszy.

– No, właź szybko, a ja przysypię wierzch węglem – odezwał się wreszcie mój przyjaciel. Wiedziałem, jak trudno mu było oddać mi taką szansę, byłem jednak bardzo szczęśliwy, że to nie ja muszę ustąpić.

– Dziękuję ci, dziękuję, tak bardzo ci dziękuję, nigdy ci tego nie zapomnę... – Reszta słów uwięzła mi w gardle. Jego oczy były pełne smutku, objął mnie. Jego ciepłe łzy spadały mi na twarz.

– Przyjacielu, ufam, że ci się powiedzie, mam nadzieję, że dotrzesz bezpiecznie.

Nic nie odrzekłem.

Zostało nam ledwie kilka minut do czasu, gdy ponownie wszyscy zajmą swe stanowiska po zbieraniu ziarna. Szybko wszedłem pod wagon i zająłem miejsce w kryjówce. Wszystko działo się tak szybko, że kiedy zdążyłem zdać sobie sprawę z potencjalnie ciężkich konsekwencji mego czynu, już usłyszałem dźwięk węgla spadającego na wierzch płyty. Jak szybko strażnicy zorientują się, że znikłem? O 10.00 rano na pewno zauważą. W tym momencie ponure wizje powieszonych więźniów nawiedziły mój umysł. Czy skończy się na tym, że ludzie będą rzucać kamieniami w moje martwe ciało, tak jak ja nimi obrzucałem zwłoki młodego agenta? Jego poszarpane buty niemal dotykały drewnianej podłogi, widziałem obite kostki nóg, które pokrywały ciemne siniaki i plamy krwi. Głowa jego zwisała cicho, ale odniosłem niesamowite wrażenie, iż oczy patrzą na mnie. Nigdy nie wierzyłem, że włosy mogą stanąć komuś na głowie, ale poczułem, że właśnie mi się to przytrafiło. Nie wiem, jak długo myślałem o zmarłych – nagle poczułem, że pociąg ruszył. Wtedy zająłem się myślą o metalowej prasie, która opadnie wkrótce na otwarty wagon przy wyjeździe z kopalni. Nie byłem pewien, czy mnie zabije, czy nie. Wszystko było możliwe. Dosłownie odnosiłem wrażenie, że głośno krzyczę, by zatrzymali pociąg, abym mógł wysiąść z wagonu. Kiedy usłyszałem, jak żelazna prasa opada na każdy z szeregu wagonów ustawionych przede mną, cały się skurczyłem. Kiedy zaczęto zgniatać węgiel w wagonie, w którym się ukryłem, zamknąłem oczy. Duża bryła węgla, która podpierała metalową płytę, z lekka popękała, a płyta nieco się obniżyła, nie pozwalając mi już teraz na żaden ruch, czy głębszy oddech. Cały zlałem się zimnym potem. Niepokój zawładnął moim ciałem.

Czułem, jakby bezustannie przeze mnie przepływał silny prąd elektryczny.

Kiedy czynność ugniatania węgla została zakończona, pociąg przyspieszył. Nawet gdy już wyjechałem z obszaru obozu, nadal pozostawałem przerażony. Podróż ta była ciężka; obawiałem się, że bryła węgla utrzymująca mnie przy życiu może w każdej chwili się pokruszyć, obracając wniwecz całą moją walkę i wszystkie wysiłki. W miarę upływu czasu coraz silniej też targały mną podejrzenia co do lojalności przyjaciela. Czy poinformuje strażników o mej ucieczce w nadziei otrzymania zwiększonej racji żywnościowej albo bezpieczniejszego miejsca pracy? Więźniowie robili wszystko, co możliwe, by otrzymać większą porcję jedzenia i bezpieczniejsze miejsce pracy. W szybie kopalnianym często przecież widziało się ludzkie zwłoki wynoszone z podziemnego tunelu. Sprawiało to, że każdy więzień zatrudniony w kopalni chciał pracować gdzie indziej. Wiedząc o tym, znów pomyślałem, czy on rzeczywiście mógłby to zrobić. W żadnym wypadku – odpowiedziałem sobie. Strażnicy wiedzieli, że sam nie uniósłbym ciężkiej metalowej płyty. Musiałem mieć wspólnika. A jeśli odkryliby, że on nim był, z całą pewnością zostałby stracony. Kiedy strażnicy zorientują się, że mnie nie ma, niewykluczone, że przesłuchają także mojego przyjaciela, a to mogłoby pociągnąć za sobą tortury i straszniejszy jeszcze głód. Zapobiegłby temu, od razu mówiąc prawdę. Później dowiedziałem się, że mój przyjaciel zupełnie poświęcił się dla mego dobra, ale wtedy nie mogłem powstrzymać się od zamartwiania się o jego wierność. Straszne było to ciągłe wyobrażanie sobie, że pociąg może w każdej chwili zostać zatrzymany, a ja wywleczony z niego. Za każdym razem,

kiedy pociąg zwalniał, czułem, że do reszty tracę oddech. Najgorzej było, gdy wagony zatrzymały się na stacji Pjongjang Zachodni – na trzy lub cztery godziny. Ponieważ dobrze znałem kraj, wiedziałem, gdzie jestem. Pociąg jechał z Obozu Numer 18 na południowy wschód – w przeciwnym kierunku niż ten, w którym chciałem uciekać, to znaczy do granicy z Rosją albo z Chinami. Niemniej, większość pociągów towarowych musiała przejeżdżać przez Pjongjang Zachodni – który był stacją przeładunkową, ulokowaną na skrzyżowaniu głównych linii kolejowych – obojętne, do jakiej stacji docelowej zmierzały pociągi. Robotnicy kolejowi godzinami sprawdzali ładunek i koła. Mimo że byłem na to przygotowany, długi postój brałem za niechybne poszukiwania mnie. Później przypomniałem sobie sen, który śniłem w noc poprzedzającą moją ucieczkę. Byłem w nim małym dzieckiem stojącym na polu pełnym jadalnych kasztanów. Chciałem się ruszyć, ale byłem boso i nie wiedziałem, gdzie są moje buty. Teraz w istocie czułem taką samą desperacką rozterkę. Wiedziałem, że muszę opuścić wagon, kiedy pociąg się zatrzyma, ale powinienem to uczynić w słabo zamieszkanym regionie wiejskim oraz wtedy gdy zapadną zupełne ciemności. Pjongjang był zbyt zatłoczony, a na torach nie panowały kompletne ciemności, toteż nie planowałam tutaj właśnie uciekać. Ale kiedy pomyślałem sobie, że trwają poszukiwania, niemal poczułem się skłonny, by takie ryzyko podjąć. Wreszcie ruszyliśmy i wiedziałem, że na pewno muszę wysiąść na następnej stacji. Mój pociąg najprawdopodobniej zmierzał do Muncheon, miasteczka w prowincji Gang-won, opodal miejsca, w którym pracowałem za młodu. Dobrze je znałem, ale było ono zbyt oddalone od granicy.

Go-on, inne ciche miasteczko kolejowe na granicy Pyonganu Południowego i Hamgyongu Południowego, było najlepszym miejscem, by wysiąść. Mogłem tam złapać pociąg do Chongjin, gdzie mieszkali moi bliscy przyjaciele, których mogłem poprosić o pomoc. Kiedy nachodziły mnie takie myśli, wiedziałem, że to tylko takie sobie rozważania, a przyszłość ma swój własny rozum. Nie kontrolowałem jej i musiałem zdać się na los.

O czwartej nad ranem pociąg przybył do Go-on. Było ciemno. Miasteczko to leżało w rejonie, który graniczył z wieloma prowincjami, i przecinało się tam wiele linii kolejowych. Co oznaczało, że pociąg może zatrzymać się tu na wystarczająco długo, bym zdołał uciec. Robotnicy kolejowi rozpoczęli sprawdzanie kół pociągu. Słyszałem, jak ze sobą rozmawiają z wyraźnie rozróżnialnym miejscowym akcentem. Zamierzałem złapać pociąg do Chongjin, gdzie mieszkał G., mój stary przyjaciel ze Szkoły Rewolucyjnej. Był jednym z tych przyjaciół, którzy po ukończeniu szkoły opuścili Pjongjang i udali się do Chongjin. Ponieważ zmiana miejsca pobytu wymagała stosownego dokumentu lokalnych władz, niewielu Koreańczyków z Północy przenosiło się tam, dokąd chcieli. Byłem więc pewien, że tam go znajdę.

Wypełzłem z wagonu, ale przez kilka minut nie mogłem się ruszać, bo zdrętwiały mi nogi. Leżałem obolały przy torach. Niebezpiecznie jednak kręcić się zbyt długo wokół stacji kolejowej, nawet jeśli na zewnątrz było ciemno, choć oko wykol. Podczołgałem się zatem do brzegu rzeki, daleko od stacji, i usiadłem na ziemi. Zacząłem szukać suchej trawy, by oczyścić twarz, ale nie mogłem pocierać zbyt mocno, gdyż skórę pokrywały

wszelkiego rodzaju i wielkości wypryski. Tej nocy była pełnia księżyca, a jego światło odbijało się w rzece. Mogłem dostrzec wyraźnie swoje odbicie, każdy pryszcz i każdy rys mej zniekształconej postaci. Od stóp do głów byłem kompletnie czarny. W czasie jazdy wiatr dął przez dziurę, co spowodowało, że twarz oraz ciało miałem pokryte pyłem. Zmieniłem się w potworne stworzenie, które mało podobne było do człowieka. Siadłem w blasku księżyca i zapłakałem. Łzy nie przestawały spływać mi po twarzy. Przez sześć lat mego uwięzienia, nigdy tak strasznie nie płakałem. Teraz jednak nastąpiła nagła eksplozja emocji. Zastanawiałem się, jak odmiennie mogło wyglądać moje życie, gdybym nie spędził tych sześciu lat w obozie. Jak do tego wszystkiego doszło? Dlaczego?

Poskromiwszy emocje, wykonałem szybko różne czynności. Umyłem w rzece twarz i zacząłem szukać jakiegoś nowego ubrania. Ciągle miałem na sobie ciemnoszary uniform więzienny; musiałem jak najszybciej znaleźć cywilne łachy. Późną jesienią powietrze było zimne i suche, wielu ludzi zostawiało zawszoną odzież na dworze, licząc, że insekty wymarzną. Gdybym jednak podszedł blisko tych szop, w których mieszkali ludzie, a jakiś pies zacząłby szczekać, to wszystkie inne poszłyby w jego ślady. Bałem się tego, a nie było żadnego sposobu, by uniknąć tych hałaśliwych zwierząt. Wróciłem więc na stację, w której pobliżu znajdowała się sypialnia dla robotników kolejowych. Nadal było cicho i spokojnie. Tak jak oczekiwałem, znalazłem tam ubrania robocze wiszące obok domu na sznurze. Nawet w ciemności jednak mogłem zauważyć, że były złachane okrutnie i całe w łatach. Oczywiście robotnicy nie zostawiliby swych najlepszych uniformów na

zewnątrz, żeby ktoś im je ukradł. Szybko chwyciwszy kompletny uniform i parę watowanych butów zimowych, pognałem z powrotem w odległy rejon. Nogi mi się trzęsły z osłabienia, ale ruchy miałem szybkie i spokojne. Wyświechtany uniform był wszystkim, czego potrzebowałem. Poczułem się szczęśliwy, że go zdobyłem. Kiedy zdjąłem mój więzienny strój, zobaczyłem, że całe me ciało pokrywa gruba warstwa węglowego pyłu. Zmyłem ją wodą i włożyłem uniform robotnika kolejowego. Gołymi rękami rozgrzebałem zmarzniętą ziemię i zakopałem uniform obozowy. Dopiero wówczas poczułem głęboką wdzięczność dla przyjaciela, który dał mi szansę ucieczki. Powtarzałem sobie raz po raz: „Cóż mogę dla ciebie zrobić, co ty zrobisz, by uciec, co ja mogę dla ciebie zrobić?". Całe ciało drżało, jakbym był opętany. Ciągle widziałem jego nieśmiałe oczy wpatrzone we mnie w ciemności szybu. Smutnym głosem prosił mnie, bym wsiadł do wagonu. Znów zalałem się łzami, a serce przepełniał mi żal za tym, że go ze mną tu nie ma. Wykrzykiwałem, że nadal musi tkwić w najciemniejszym z piekieł, bym ja mógł być teraz tutaj. Dużo później dowiedziałem się od pewnych domokrążców, którzy kursowali między Chinami a Pjongjangiem, że mój przyjaciel, który dopomógł mi w ucieczce, zmarł z głodu w Obozie Numer 18. Ponieważ był on względnie wpływową postacią w polityce pjongjańskiej strażnicy, musieli powiedzieć komuś z Pjongjangu i wiadomość przedostała się dalej. Powątpiewam jednak w tę wersję wydarzeń. Mój przyjaciel, choć w słabej formie, należał do najsilniejszych więźniów. Musiała być jakaś inna przyczyna jego śmierci. Tak czy inaczej, do dzisiaj odczuwam okrutny ból, gdy wspomnę, że nie zdołał przedrzeć się na wolność.

W roku 1999 gospodarka północnokoreańska była kompletnie zrujnowana. Z powodu ostrych niedoborów energii, pociągi kursowały wolno i nieregularnie bądź wcale. Często zatrzymywały się w szczerym polu z powodu braku paliwa. Jeśli to się zdarzyło w środku zimy, przemarznięci pasażerowie wyjmowali siedzenia – czy były to siedzenia tapicerskie z pierwszej klasy, czy też zwykłe, drewniane, z klas drugiej i trzeciej – i palili je na polach, żeby ogrzać się w cieple ognia. Z tej przyczyny wagony pasażerskie zostały wypatroszone tak, jak gdyby przeleciał przez nie huragan. Rozkłady jazdy na stacjach nic nie znaczyły. Pasażerowie więc musieli trzymać się w pobliżu dworców, żeby złapać jakikolwiek pociąg. Teraz, kiedy miałem na sobie „normalne" ubranie, budziłem mniej podejrzeń. Nie miałem jednak pieniędzy, toteż przejazd pociągiem towarowym wydawał się lepszym pomysłem. Nie tylko ja, ale wszyscy zirytowani czekaniem pasażerowie wskakiwali do pociągu towarowego bez płacenia. Często dochodziło do gwałtownych sprzeczek między gapowiczami a kolejarzami, ale sceny te w niczym nie wykraczały poza powszedniość ówczesnych dni.

Kiedy czekałem na stacji Go-on przyodziany w kolejarski mundur roboczy, zauważyłem, że na peron wjeżdża ciężarówka wojskowa produkcji chińskiej. Serce mi zamarło. Ciężarówka wyglądała jak wysłany po mnie wóz patrolowy. Szybko więc ukryłem się za kołami najbliższego stojącego pociągu. Ciężarówka zatrzymała się, a jej pasażerowie wysiedli, po czym przystąpili do załadunku ciał walających się po stacji. Myślałem, że byli to znużeni pasażerowie, którzy zasnęli, oczekując na jakiś pociąg, ale postacie te nie reagowały, kiedy wrzucano je jak worki pełne

śmieci do ciężarówki. Kiedy zostałem aresztowany i wysłany do obozu w 1993 roku, stacje w Korei Północnej były kiepskie, ale do roku 1999 stały się upiorne. Przebywając w obozie, nie byliśmy świadomi, co się dzieje na zewnątrz w polityce, ani tym bardziej ze społeczeństwem. Chociaż wiedziałem, że ludzie cierpią z niedożywienia, nie spodziewałem się, iż śmierć z głodu jest tak powszechna, co czyniło życie w obozie podobnym do tego poza drutami kolczastymi. Później dowiedziałem się, że wiele sierot i ludzi bezdomnych ściągało gromadnie na stacje kolejowe, by się ogrzać, ale przepędzali ich pracownicy dworcowi, którzy pragnęli uniknąć wszelkiej odpowiedzialności. Późno w nocy bezdomni i sieroty powracali jednak na stację i wielu z nich umierało tam z zimna i wygłodzenia, stąd rytuałem się stało, iż o brzasku ciężarówka patrolowa zabiera stosy nieruchomych zwłok z podłogi poczekalni.

Kiedy wskoczyłem do pociągu towarowego zmierzającego w kierunku domu mojego przyjaciela, natknąłem się na kilku ludzi, niewiele się różniących ode mnie. Ponieważ pociąg towarowy przewoził węgiel i dmący wiatr pokrywał pasażerów pyłem węglowym, wszyscy byli brudni. Wyglądali na wygłodzonych i znużonych, właśnie tak jak więźniowie, których niedawno opuściłem. Z początku byłem zadowolony, że nie wyróżniam się z tłumu, im dłużej jednak obserwowałem podróżnych, tym stawałem się bardziej smutny. Jak doszło do tego, że nasza ojczyzna popadła w taką ruinę? Przypomniałem sobie wycieczki, na jakie wyjeżdżałem, będąc dzieckiem, w sierocińcu i w Szkole Rewolucyjnej. Podróżowaliśmy pociągiem i odwiedzaliśmy wiele miejsc pamięci. Pociągi były wtedy czyste

i miłe. To, co teraz zobaczyłem, było przegniłym trupem pociągu ze wspomnień dziecięcych.

Umysł mój pracował z prędkością leciwej lokomotywy. Oparłem się o rozchybotaną ścianę wagonu i zacząłem myśleć o tym, co powinienem zrobić. Jako pracownik Agencji Bezpieczeństwa Narodowego wiedziałem, że jeśli przejdę przez rzekę Tumen na stronę chińską przed upływem tygodnia od chwili ucieczki, będę bezpieczny. Tyle właśnie zajmie agencji rozesłanie mojej fotografii po kraju. W innych państwach, w których istnieje sprawna sieć komputerowa, moje zdjęcie wysłano by w ciągu kilku sekund, ale w Korei Północnej Agencja Bezpieczeństwa Narodowego musiała wydrukować tony fotografii i rozwieźć je ciężarówkami. Poza tym dobrze wiedziałem, że jeśli więzień znika z obozu pracy karnej, najpierw przeszukuje się sam obóz. A że ucieczki z nich były prawie niemożliwe, zazwyczaj zakładano, że gdy brakuje więźniów, to albo popełnili samobójstwo, albo zginęli w wypadku.

Jeśli poszukiwania w obozie nie przynosiły rezultatów, rozpoczynało się poszukiwanie po drugiej stronie jego murów. Urzędnicy obozowi dzwonili do straży granicznej, informowali ją o brakującym więźniu i czekali na reakcję ABN. Od chwili podjęcia poszukiwań w obozie do momentu rozesłania fotografii po całym kraju mijało zwykle piętnaście dni. Oznaczało to, że miałem z grubsza dwadzieścia dni, by uciec z Korei Północnej. Jeśli chciałem tego dokonać, musiałem postarać się o pomoc i uzupełnić swą energię. Od chwili opuszczenia obozu nic nie jadłem. W takim stanie padłbym niechybnie na drodze. Musiałem dotrzeć do Chongjin najszybciej, jak to możliwe.

Starzy przyjaciele

Wedle standardów północnokoreańskich G. powodziło się względnie dobrze. Pracował w fabryce chemicznej i od dwudziestu lat zarządzał działem zajmującym się przewozem leków w obrębie prowincji Hamgyong Północny. Wszystkie lekarstwa i cały sprzęt medyczny musiały przejść przez jego wydział, zanim zostały komukolwiek przydzielone – o wysokiej czy niskiej pozycji społecznej, staremu czy młodemu, bogatemu czy biednemu – w całej prowincji. Kiedy organizacje międzynarodowe ofiarowywały lekarstwa albo sprzęt medyczny, wszystko to szło do magazynu w Hoe-ryeong, gdzie przechowywano zaopatrzenie wojenne. G. zarządzał tym magazynem. Rozdzielał lekarstwa, którym wkrótce kończyły się terminy ważności, po szpitalach wojskowych i uzupełniał powstałe w ten sposób niedobory z nowych dostaw darowanych leków, głównie ze Stanów Zjednoczonych. Nagromadzone tam dobra rzadko kiedy trafiały do ludzi, którzy ich potrzebowali. G. miał dostęp do czystego alkoholu, który rozcieńczał wodą i innymi napojami, by zrobić trunki. Rozdawał je w prezencie, by przekupić miejscowych członków partii i by zaskarbić sobie ich względy, albo sprzedawał je na bazarze za gotówkę. Tak więc chociaż nie pracował na wysokim stanowisku, miał władzę jak dygnitarz partyjny i był na ogół w dobrych stosunkach z ludnością miasta.

Dawniej, w czasach Szkoły Rewolucyjnej, byliśmy sobie bardzo bliscy. Nasze więzy zacieśniły się jeszcze bardziej, kiedy

dołączyliśmy do grupy ochotników pracujących przy budowie portu w Chongjin. Byliśmy tak młodzi i pełni entuzjazmu dla idei podjętej przez naszego ojca, Wielkiego Wodza Kim Ir Sena, wzniesienia tego obiektu. Wkrótce po przybyciu do Chongjin G. się zakochał. Jego piękna wybranka również niedawno przybyła do miasteczka – była kinooperatorką. Wśród mniej więcej tysiąca pięciuset mężczyzn pracujących na tej budowie znajdowało się zaledwie sto kobiet. Większość z nich zatrudniano w stołówkach i sklepach. Bez względu jednak na to, gdzie były i co robiły, mężczyźni rywalizowali o ich przychylność. Każda więc dziewczyna cieszyła się ogromnym powodzeniem. Kinooperatorka wyróżniała się wśród nich, gdyż była wytworna i zgrabna, jak śnieżnobiały żuraw. Nie sposób było jej nie zauważyć. G., jeśli chciał ją dostać, musiał działać szybko, bo konkurencja była ostra. Jako jego bliski przyjaciel postanowiłem pomagać mu w aranżowaniu randek i odstraszałem od panny pozostałych zalotników. Wkrótce dziewczyna zaszła w ciążę i moje swaty zakończyły się ich ślubem. Miała lat 21, a on jedynie 19. Ilekroć później odwiedzałem to małżeństwo, spędzaliśmy razem baśniowe chwile. Nawet kiedy już porzuciłem w roku 1970 Chongijn dla Wyższej Szkoły Technicznej Kim Chaeka, pozostałem bliskim przyjacielem, a nawet członkiem tej rodziny. Małżeństwo to miało dwóch chłopców bliźniaków, którzy grali w ping-ponga tak dobrze, iż często odwiedzali Pjongjang, gdzie rozgrywali mecze państwowe. Zawsze zatrzymywali się u mnie – uważali mnie za wuja. Kiedy – w trzeciej dekadzie ich życia – odbywali służbę wojskową, też często odwiedzali mnie i przywozili wszelkie rodzaje dóbr przeznaczone dla ich przełożonych. Byłem więc

przekonany, że mogę zaufać żonie G., kiedy będę prosił o ukrycie mnie w ich domu.

Od roku 1988 do 1990 pracowałem przy realizacji innego projektu budowy portu w rejonie Rajin-Sonbong, który graniczył z rosyjskim miastem Chasan na wysuniętym najdalej na północny wschód skrawku Półwyspu Koreańskiego i który miał odbierać tarcicę wysyłaną przez koreańskich pracowników z Syberii. Wtedy ponownie miałem okazję pracować z mym przyjacielem. Na pierwszy rzut oka mogłem zauważyć, że boryka się z problemami finansowymi. Sprezentowałem mu więc nowy odbiornik telewizyjny i maszynę do szycia, które były wielce pożądanymi towarami w Korei Północnej; jak przypuszczam, był to ekwiwalent samochodu gdzie indziej. Z wdzięczności chciał mi oddać całą posiadaną gotówkę, ale odmówiłem przyjęcia pieniędzy. Powiedział, że mi tego nie zapomni, i dotrzymał obietnicy. Kiedy ujrzał mą nieopisanie umęczoną twarz i ciało w łachmanach na progu swego domu, zrozumiał, że znalazłem się w ciężkich tarapatach, ale nie zadał żadnego pytania. Powiedziałem mu po prostu, że miałem pecha z audytorami w moim miejscu pracy. Nic nie odpowiedział. A ja nie wspomniałem o obozie, ponieważ wszyscy w Korei Północnej wiedzieli, że więźniowie po prostu stamtąd nie uciekają. Mimo że był moim naprawdę bliskim przyjacielem, prosiłbym go może wtedy o zbyt wiele, bo o ochronę więźnia politycznego.

Przez ponad tydzień on i jego rodzina troszczyli się o mnie najlepiej, jak mogli, goszcząc mnie i żywiąc, bym nieco odzyskał siły. Ale, jak wszędzie w Korei Północnej, wszyscy przyglądali się sobie nawzajem. Do G. zaglądali goście przysłani przez

przywódców sąsiedniego komitetu. W czasie, gdy ukrywałem się u niego, gości było dwóch. G. opróżnił szafę i na czas odwiedzin kazał mi się w niej zamykać. Czekałem tam cichutko, aż goście sobie pójdą. Myślałem już wtedy, jaki powinien być mój następny ruch. Czas uciekał i musiałem podjąć decyzję szybko. Po dłuższym namyśle postanowiłem uciec do Rosji. Dawniej, kiedy pracowałem w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, kilka razy odwiedziłem rosyjskie miasteczko po przeciwnej stronie granicy, żeby podpisać dokumenty handlowe. Teren ten nie był mi więc zupełnie obcy. W czasie gdy listy gończe miały za chwilę zostać rozesłane, zdecydowałem znów udać się do Rajin-Sonbong. Rejon ten był specjalną strefą ekonomiczną i wjazd do niej wymagał odpowiedniego zezwolenia. Ponieważ G. był naczelnikiem wydziału dystrybucji, miał taką przepustkę. Odwiedzał rejon kilka razy w miesiącu i znał większość ochroniarzy na punktach kontrolnych. Za każdym razem, gdy przejeżdżał, strażnicy prosili go o drobne upominki, o różne leki i witaminy. G. ukrył mnie w cysternie, którą w Rajin-Sonbong miano napełnić karbidem. Podróż z Chongjinu trwała trzy godziny. W czasie jazdy oddychałem przez gumową rurę przytwierdzoną do maski gazowej, którą G. przyniósł ze swojego magazynu. Z trudem chwytałem oddech, ale ważniejsze było pilnowanie się, by nie zostać wykrytym przez ochroniarzy, którzy dwukrotnie rewidowali ciężarówkę. Ukrycie się w cysternie było dobrym pomysłem, ponieważ czerwone litery ostrzegające: „Niebezpieczeństwo, materiały wybuchowe”, którymi oznaczony był pojazd, nie zachęcały strażników do sprawdzenia wnętrza zbiornika. Wyjechaliśmy nocą, minęliśmy kolejno wszystkie

punkty kontrolne i kiedy dotarliśmy do strefy nadgranicznej, było ciemno choć oko wykol. G. zatrzymał ciężarówkę nad rzeką Tumen i wypuścił mnie z cysterny. Przed odjazdem wręczył mi zestaw umożliwiający przetrwanie w nieprzychylnych warunkach, składający się z około 3 kilogramów suszonej kukurydzy, 500 wonów[46] gumowej butelki wojskowej z wodą pitną, lekarstwa na kaszel oraz rury do oddychania przydatnej, gdy zdecyduję się dotrzeć do Rosji, przepływając rzekę.

Rzeka Tumen, która dzieliła Koreę Północną od Rosji, okazała się szersza, niż sobie wyobrażałem, a temperatura wody w listopadzie była za niska, by ktoś się mógł w niej zanurzyć. Miała około zera. Musiałem więc zmienić plany i iść do Unggi, wiejskiego miasteczka przy granicy chińsko-koreańskiej, i poczekać tam, aż woda w rzece zamarznie. G. zaprowadził mnie do innego naszego wspólnego znajomego, zwanego W. Także z nim zaprzyjaźniłem się, kiedy pracowałem przy budowie portu. Pewnego razu znaleźliśmy w morzu radio wysłane z Korei Południowej i razem słuchaliśmy południowokoreańskich audycji. Było to nielegalne i niebezpieczne. Ślubowaliśmy sobie, że zostanie to między nami. Od tego wydarzenia zostaliśmy przyjaciółmi, którzy mają wspólny sekret. W. również nie zadawał mi pytań, kiedy mnie ujrzał. Mieszkał w miasteczku przygranicznym, musiało więc być dla niego oczywiste, dlaczego wyruszyłem w drogę aż do granicy koreańsko-chińskiej. Nie mogłem powiedzieć mu o swoich planach ani on nie mógł mnie o nie pytać. Jako bliski przyjaciel zdecydował się mi pomóc bez względu na okoliczności, a w takiej sytuacji łatwiej było nie znać szczegółów. Jak starzy przyjaciele znów razem zasiedliśmy

w rozpadającym się, bardzo przypominającym szopę domu W. Piliśmy i płakaliśmy gorzko całą noc. Czule wspominaliśmy przeszłość i szlochaliśmy, bo być może się już nigdy nie ujrzymy.

– Bez względu na to, co się stanie w przyszłości, obiecuję, że nie zdradzę. Nic innego obiecać nie mogę, ale nigdy cię nie wydam – powiedziałem im, przełykając łzy.

– Ja nie zdradzę cię również.

W naszych myślach przenieśliśmy się do starych, dobrych czasów, kiedy byliśmy sobie bliżsi niż bracia związani więzami krwi. Okoliczności miały nas jednak rozdzielić na zawsze. Nie mogliśmy już więcej mówić, tylko całą noc szlochaliśmy.

Mój pobyt w domu W. trwał trzy dni. Tak jak większość Koreańczyków z Północy w 1999 roku, W. był ubogi. Zarabiał na życie, hodując świnie i sprzedając je rządowi za kukurydzę, dzięki której cała rodzina utrzymywała się przy życiu. Ponieważ w Korei Północnej panował głód, W. bał się o swoje świnie. Zaopatrzył więc bramę w trzy wielkie zamki, a nad chlewem wybudował mały pokoik, w którym spał co noc, z dala od swej rodziny, strzegąc jedynego źródła utrzymania. Zgłosiłem się na ochotnika do pilnowania tych świń; spędziłem tam trzy noce. Ale nie mogłem tam zostać dłużej. Okolica co prawda była słabo zaludniona, ale właśnie z tej przyczyny łatwo mnie było zauważyć. Pożegnałem zatem W. i ruszyłem dalej ku niepewnej przyszłości.

Nieproszony gość

Wkrótce po opuszczeniu domu W. wpadłem na ulicy na starego znajomego. Utrzymywałem z nim kontakty jakieś trzydzieści lat wcześniej, w roku 1970, kiedy należeliśmy do tej samej drużyny sportowej. Pomimo długich lat, jakie dzieliły nasze spotkania, natychmiast się rozpoznaliśmy. Był zadowolony, że mnie spotkał, i powiedział mi, że zarabia twardą walutę w wydziale handlowym jednostki wojskowej w tym regionie. Wykonywał taką samą pracę jak ja przed aresztowaniem. Byłem bardziej zaniepokojony niż zadowolony, że mnie rozpoznał. Choć miałem na sobie ubranie, które dał mi G., wciąż byłem zbiegłym więźniem politycznym desperacko próbującym uciec. Nie zajęło mu wiele czasu, by dostrzec oznaki choroby i niepokoju na mej twarzy.

– Co cię sprowadza w te okolice? – spytał mnie mocno zmartwiony.

– Ciężko chorowałem ostatnio i przyjechałem tu szukać ziół leczniczych, zatrzymałem się u przyjaciela – odparłem powoli. Nie spodziewałem się, że będę musiał komukolwiek udzielać tego rodzaju wyjaśnień, musiałem więc powiedzieć pierwsze, co mi wpadło do głowy. Choć miałem na sobie wojskowy płaszcz i spodnie, które dali mi przyjaciele, nadal musiałem przypominać tego osłabionego i chorego człowieka, jakim byłem w obozie.

Byłem zadowolony, że zdawał się wierzyć w to, co powiedziałem.

– No, to chodźmy do domu mego przyjaciela i poprośmy go o pomoc. To dobry chłopina, który może ci pomóc we wszystkim. Jego żona jest dobrą przyjaciółką mojej żony.

Odmówiłem, ale nalegał. W końcu poddałem się, ponieważ rzeczywiście próbował mi pomóc. Poza tym obawiałem się, że odtrącenie go może wzbudzić jego podejrzenia.

Tak więc niechętnie poszedłem z nim odwiedzić miejscowego przyjaciela, który był wicedyrektorem Departamentu Morskiego Rajin-Sonbong. Miał stopień podpułkownika marynarki wojennej. Jego żona, której na imię było L., była instruktorem politycznym członków rodzin miejscowego personelu wojskowego. Przyjaciel przedstawił mnie jako osobę z Pjongjangu zarabiającą waluty zagraniczne, co oczywiście wywarło przychylne wrażenie na tym małżeństwie.

– Co cię sprowadza w ten zapadły rejon? – spytał mąż.

– Cóż, byłem ciężko chory i szukam sposobów kuracji. No i mam również parę rzeczy do sprzedania.

Przygotowałem sobie tę odpowiedź, kiedy mój właśnie odnaleziony znajomy prowadził mnie do swych przyjaciół. Wyjaśnienie to powinno wystarczyć, wszyscy wiedzieli bowiem, że ludzie właściwie ustosunkowani mogą uzyskać zaawansowaną kurację medyczną w Chinach, mimo że tego rodzaju podróż była formalnie zakazana dla większości Koreańczyków z Północy. W dodatku rejon Rajin-Sonbong był specjalną strefą ekonomiczną, gdzie handel między Chinami a Koreą Północna odbywał się swobodnie, wielu Chińczyków i Koreańczyków z Północy przybywało tam i przekraczało granicę w celach handlowych. Oczywiście formalnie było to zakazane, ale wszyscy to robili, by przeżyć i uzupełnić swe szczupłe dochody.

– O, a co masz do sprzedania? – zapytał mąż z błyskiem w oku.

– Kilka niewielkich, ale wartościowych sztuk zielono glazurowanej porcelany chińskiej.

– A tak, są bardzo w Chinach popularne – wydawał się całkowicie moją odpowiedzią usatysfakcjonowany.

– Jeśli w tym rzecz, to mogę pomóc ci sprzedać ten towar. Mam wiele znajomości na targu po obu stronach granicy – wtrąciła się jego żona.

L. była niewiastą czarującą, pełną energii i pomysłów. Była typową politruczką – wielce towarzyską, wymowną i przekonywającą.

– Dobry pomysł. My też mamy trochę porcelany, którą chcemy sprzedać w Chinach – powiedział jej mąż. Wydawał się wierzyć mi bez reszty. W rzeczy samej to, co powiedziałem, nie było niczym niezwykłym, wielu bowiem Koreańczyków udawało się do Chin, by sprzedać porcelanę, jako że jej cena po drugiej stronie granicy była wyższa. Ulżyło mi, gdy spostrzegłem, że możliwość pozyskania ich pomocy w przejściu do Chin pojawia się w sposób tak bezpośredni i naturalny. Ponieważ wspólny przyjaciel, który zaprowadził mnie do ich domu, był z tym małżeństwem bardzo blisko, wydawało się zatem, że mąż i żona nie mają żadnych wątpliwości.

L. zaproponowała, bym zabrał ze sobą nieco jej towarów, i obiecała skojarzyć mnie z doświadczonym przewodnikiem, który tę granicę przekraczał wiele razy. Z radością na to przystałem i dziękowałem im za pomoc. Dokładali wszelkich starań, by ułożyć sobie ze mną kontakty na stopie przyjacielskiej, uchodziłem bowiem za mierzącego wysoko oficera ABN z Pjongjangu, który może odpłacić im przychylnością, kiedy takowa będzie im potrzebna. Małżeństwo nakłoniło swe dzieci, by mi się przedstawiły, i ugościło mnie także posiłkiem. Byłem im wdzięczny, ale coraz bardziej doskwierał mi ciężar prowadzenia niebezpiecznej gry. Tak więc kiedy uczta dobiegła końca, wziąłem

od nich jedną malutką sztukę porcelany, którą obiecałem sprzedać w Chinach razem z wyimaginowaną porcelaną. Małżeństwo zapraszało mnie na dłuższy pobyt, ja jednak zdecydowanie nie chciałem zwlekać. Stąd też uporczywie nalegałem, by zabrali mnie do miejsca mego ostatecznego przeznaczenia w Korei Północnej, skąd Chiny były na wyciągnięcie ręki.

Długi cień na lodowatej rzece

Przewodnik L. świetnie znał obszary nadgraniczne. Po stronie chińskiej miał kilku krewnych. Utrzymywał, że bezustannie kursuje między Rajin-Sonbong a Yanji[47] – chińskim miasteczkiem, w którym mieszka wielu Koreańczyków. Zamierzał tam właśnie odwiedzić rodzinę. Cała nasza trójka pojechała ciężarówką z Unggi do Namyangu. Jazda zajęła nam niecałą godzinę, ale przy drodze znajdowało się wiele punktów kontrolnych, które mogłyby stanowić wielki problem, gdybym nie podróżował w grupie L., która znała wszystkich strażników placówek w całym rejonie i bez trudu pozyskiwała ich zaufanie. Odeskortowawszy nas do najodleglejszego skrawka Korei, niczego niepodejrzewająca L. wróciła do domu. Byłem wdzięczny moim starym przyjaciołom za podarowanie mi nieco gotówki, gdyż mogłem zapłacić za tę jazdę. W 1998 roku na drogach kursowało wiele ciężarówek w poszukiwaniu żywności, stąd też łatwo było się między nie wmieszać. Gdyby to były lata siedemdziesiąte,

kiedy społeczeństwo koreańskie funkcjonowało ściśle według przepisów, o wiele trudniej byłoby przekroczyć granicę.

W Namyangu mój przewodnik i ja ukrywaliśmy się w grotach górskich przez mniej więcej dziesięć dni – aż rzeka Tumen zamarzła. Potrwało to dłużej, niż on przewidywał, i ta niewielka ilość suszonej kukurydzy, jaką moi przyjaciele mi ofiarowali, starczyłaby nam na krótko, toteż pozwalaliśmy sobie na bardzo ograniczone porcje, by jakoś wyżyć. A i tak pod koniec tego okresu ciągle byłem w złej kondycji. Trochę pewności siebie dodawał mi fakt, że mój przewodnik ma w tym, co robi, wielkie doświadczenie. Nie ufałem mu jednak w pełni, bardzo mało więc rozmawialiśmy. Ciągle tylko coś mamrotał cichym, niezadowolonym głosem, że powinien się zobaczyć ze swymi krewnymi raczej prędzej niż później, a to przejście zajmuje więcej czasu, niż przypuszczał. Był początek grudnia. Inaczej niż na granicy rosyjskiej rzeka była tu wąska i tym samym łatwiejsza do przejścia. Nie chciałem wyglądać podejrzanie, w razie gdybym natknął się na innych ludzi, toteż znalazłszy w górach okruch szkła, ogoliłem twarz. Chociaż odzyskałem nieco energii, nadal odczuwałem osłabienie. Ciężkie warunki, jakie przez sześć lat znosiłem w dwóch obozach, pozostawiły wiele śladów na moim ciele, ale również nauczyły mnie znosić nieustanny głód. Tak bardzo słabe było moje ciało, umysł pracował jednak tylko nad jednym – powodzeniem ucieczki. Musiałem to zrobić za wszelką cenę, byłoby to jednak niemożliwe, gdyby moi przyjaciele nie podjęli niewiarygodnego ryzyka. Gdybym choć na moment stracił zdolność koncentracji, wszystkie ich poświęcenia poszłyby na marne.

Zmienialiśmy co jakiś czas grotę z obawy, że nas wykryją. Pewnego słonecznego dnia, kiedy przewodnik spał, wyszedłem z jaskini i uciąłem sobie drzemkę na słońcu. Jakże rozkoszne było to uczucie. W końcu jednak posłyszałem jakieś głosy w pobliżu i natychmiast zerwałem się na równe nogi. To były dzieci i spostrzegłem, że cała rodzina zbiera chrust na opał. Na szczęście miałem ze sobą wiązkę gałęzi, które zamierzałem spalić, gdyby się ochłodziło. Toteż jak tylko ich ujrzałem, wstałem, wziąłem tę wiązkę i odszedłem. Rodzina nie zwróciła na mnie większej uwagi, ponieważ było wielu ludzi, którzy gromadzili opał, gdyż zima była sroga. Odtąd zawsze niosłem ze sobą tę wiązkę jako użyteczny rekwizyt maskujący.

Pierwszy śnieg spadł pod koniec grudnia, mniej więcej o zmierzchu. Serce mi szybciej zabiło, gdy przyglądałem się czystym śnieżynkom, jak gdyby śnieg był boskim posłańcem, wieszczącym doniosły moment mego odejścia. Ale wzdłuż brzegu wciąż stali strażnicy. Nie było ich wielu, lecz przewodnik i ja, uważnie obserwując ich ruchy, zastanawialiśmy się, czy gdzieś w pobliżu nie ukrywa się większa liczba żołnierzy. Nie mogliśmy jednak poruszać się swobodnie po okolicy, by to stwierdzić. Towarzyszyła mi tylko nadzieja, że strażnicy, których widziałem, to jedyni, jacy byli. Musiałem ryzykować, bez tego nic by przecież nie wyszło. Przewodnik zauważył, że strażnicy rozchodzą się na swoje posterunki około 7.30 wieczorem – na bardzo krótką zmianę. Rzeka musiała już teraz być zamarznięta; miałem nadzieję, że lód jest dość gruby, by utrzymać moje wątłe ciało. W tym miejscu szerokość rzeki oddzielającej Koreę Północną od Chin wynosiła zaledwie 18 metrów. Przewodnik sądził, że będzie

bezpiecznie wyruszyć tego wieczoru. Tak więc kiedy zbliżył się czas zajęcia przez strażników posterunków, przywiązałem sobie buty do pasa, wymasowałem napięte nogi i zszedłem zboczem wzgórza ku rzece, raniąc sobie stopy o szorstką powierzchnię zbocza. Niosłem dwie długie trzciny na wypadek, gdyby lód się pode mną załamał. Zamierzałem ich użyć, by wydostać się z lodowatej wody, właśnie tak, jak nauczyłem się na lekcjach z historii rewolucji w szkole. Wuj Kim Ir Sena, Kim Hyong-gon, również niósł ze sobą dwie trzciny, kiedy przechodził po lodzie przez rzekę Tumen, jeszcze za czasów japońskich kolonialistów. Uciekał przed zagranicznym agresorem, żeby uratować ojczyznę; teraz ja uciekałem od mego ludu, by ocalić samego siebie. Jak na ironię, ta rewolucyjna opowieść, którą pilnie studiowaliśmy w szkole, stała się mą przewodniczką, gdy uchodząc z życiem, szukałem jakiegokolwiek oparcia i pomocy.

Przejście przez rzekę trwało mniej niż trzy minuty, ale mnie wydawało się, że raczej trzy godziny. Nie chcąc zmarnować choćby ułamka sekundy, w ogóle nie oglądałem się za siebie i wytrwale wpatrywałem się w ciemny brzeg po stronie chińskiej. Słyszałem i czułem ciężkie bicie serca. Nie zwracałem żadnej uwagi na przewodnika, który mi towarzyszył. Prześlizgiwałem się po lodzie ostrożnie. Na szczęście strażnicy byli na swoich posterunkach i nas nie widzieli. Gdy dotarłem na chińską stronę, zauważyłem, że przewodnikowi również udało się przejść bez kłopotów. Po raz pierwszy od chwili ucieczki poczułem się względnie bezpieczny. Ta ulga nie trwała jednak długo, ponieważ po tej stronie też byli strażnicy, tyle że chińscy. Jeżeli mnie złapią, to mogą odesłać z powrotem do Korei Północnej. Rozejrzałem się i spostrzegłem

jedynie dziesięć domostw, drogę i za nią góry. Po raz pierwszy w życiu postawiłem stopę w Chinach, oczywiste więc, że nie wiedziałem nic o okolicy. Przewodnik szepnął, że lepiej się rozdzielić niż pętać się tu razem, ponieważ kryjówkę łatwiej jest znaleźć jednej osobie niż dwóm. Już wcześniej dał mi numer telefonu do swoich krewnych w Yanji, teraz mnie zachęcał, bym zadzwonił do nich, jeśli się coś stanie. Powierzyłem mu wyroby z porcelany glazurowanej na zielono i poprosiłem, by sprzedał je w moim imieniu, ponieważ nie zamierzałem wracać do Unggi. Wziął te malutkie skarby i znikł natychmiast. Nie byłem w stanie wymówić słowa. Wkrótce psy zaczęły ujadać jak oszalałe. Usłyszałem zbliżający się samochód i natychmiast ukryłem się w krzakach. Była to policja chińska. Upadłem na duchu. Odczekałem w ciszy, aż pojazd przejedzie. Skoro tylko samochód znikł z pola widzenia, z powrotem wyszedłem na drogę. Potem zobaczyłem, że samochód zawraca i jedzie w moim kierunku. Wspiąłem się na wzgórze, gdzie postanowiłem się ukryć i obserwować sytuację. Samochód policyjny jeździł drogą w tę i z powrotem, aż w końcu odjechał.

Kiedy zszedłem ze wzgórza było poniżej zera. Moje stare znoszone ubranie nie nadawało się na taki mroźny dzień zimowy. Rozejrzałem się po okolicy. Na obrzeżach wsi ujrzałem budynek z czerwonej cegły z krzyżem na dachu. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko tam pójść – pałętanie się po ulicy byłoby zaproszeniem do aresztowania. Pospiesznie podążyłem ku temu domowi. Zakradłem się do kotłowni, gdzie mogłem się ogrzać. Po dziesięciodniowym pobycie na zimnych górskich wzgórzach poczułem się obezwładniony ciepłem. Było ono tak

wszechogarniające, że miałem wrażenie, iż może mnie roztopić. Na krótką chwilę niemal zapomniałem, że ciągle jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Ale zanim kompletnie się zatraciłem, odkrył mnie jakiś postarzały robotnik o miłej powierzchowności. Sądzę, że domyślał się, w jakiej znalazłem się sytuacji. Mówił po koreańsku, choć niezbyt dobrze i z obcym akcentem.

– Nie być bezpiecznie tu. Nie ma bezpieczeństwa. Policja znaleźć szybko. Oni przyjeżdżać. Zostać nie wolno.

Mówił łamanym koreańskim, ale można go było zrozumieć. W miasteczku widać mieszkali Koreańczycy i Chińczycy. To była dobra nowina, ponieważ przynajmniej mogłem się z nimi porozumiewać. Później dowiedziałem się, że miejscowość ta w Chinach nazywała się Tumen[48]. Uprzejmy z wyglądu człowiek zaprowadził mnie do innego budynku w pobliżu. Zabrał mnie do składziku na tyłach restauracyjnej kuchni, gdzie ukrywałem się pięć dni. Mogłem tam przynajmniej uniknąć odmrożenia i żywić się odpadami z kuchni. W górach dziewięć dni praktycznie głodowałem i byłem skrajnie osłabiony. W dużym metalowym kuble na śmieci znajdowałem na poły zjedzone jabłka, smażony ryż, kawałki warzyw, a wszystko to w jakiejś mazistej, szumowinami pokrytej cieczy. Grzebałem w tych śmieciach i jadłem, cokolwiek znalazłem. Nocą podejmowałem ryzykowne wyprawy na dziedziniec, gdzie szukałem na ziemi niedopałków papierosów. Znalazłem kilka sztuk – do połowy wypalonych – i przypalałem je zapałkami, które dali mi moi przyjaciele w Korei Północnej. Smakowały niebiańsko. Kiedy tak wdychałem dym tytoniowy do utraty tchu, myślałem o moich przyjaciołach. Muszę

odejść stąd, ponieważ gdyby mnie pojmano i odesłano do Korei Północnej, oznaczałoby to również i dla nich wielkie niebezpieczeństwo. Nie powinienem ich zawieść. Być w Tumenie jest lepiej niż ukrywać się w górach, obawiałem się wszakże, iż w każdej chwili może mnie znaleźć chińska policja.

Uprzejmy człowiek miał bardzo nabożną żonę. Czwartego dnia odwiedziła mnie w tej kryjówce. Przyniosła również pojemnik z obiadem i nowe ubrania.

– Będziesz się wyróżniał, jeśli nadal będziesz nosił te stare ubrania. Każdy pozna, że jesteś północnokoreańskim uchodźcą. Lepiej zmień je na tamte. – Poleciła mi także pójść do kościoła, gdzie spotkam misjonarzy, którzy pomogą mi uciec.

Następnego dnia przyprowadziła jakąś południowokoreańską parę. Oni byli chrześcijańskimi misjonarzami. Kontakt z Koreańczykami z Południa zaskoczył mnie, a potem również zaniepokoił. Moim zamiarem bowiem – choć nie miałem pojęcia, jak go zrealizować – było przedostanie się do Japonii, gdzie mógłbym prosić o pomoc moich partnerów biznesowych, z którymi zaprzyjaźniłem się, kiedy pracowałem w ABN. Znalazłem się jednak w sytuacji, w której nie miałem innego wyboru, jak powiedzieć tej parze, że jestem zbiegiem, który nie może wrócić do kraju, i poprosić o pomoc. Nie zadawali zbędnych pytań, ale nawet gdyby to uczynili, to i tak nie miałem zamiaru nic więcej o sobie powiedzieć. Raz jeszcze moje życie bez reszty było na łasce obcych.

---

[46] Wedle kursu oficjalnego 500 wonów to w przybliżeniu 320 dolarów amerykańskich. Niemniej wedle czarnorynkowego kursu

to znacznie mniej. Do grudnia 2001 roku rząd północnokoreański twardo obstawał przy oficjalnym kursie 2,16 wona za 1 dolara amerykańskiego, opartym rzekomo na dacie urodzin Kim Dzong Ila, 16 lutego [w listopadzie 2009 roku ze względu na gwałtowną inflację przeprowadzono reformę walutową, dane te więc są dziś nieaktualne – przyp. red.].

[47] W czasie tego wywiadu Kim Yong nazywał to miasteczko Yeongil, co jest koreańską wymową Yanji.

[48] Kim Yong przypomina sobie to miasteczko jako Domun, co jest koreańską wymową Tumen.

Rozdział szósty
Droga przez Azję

Wciąż na granicy

Para misjonarzy zaprowadziła mnie do domu pewnego koreańsko-chińskiego małżeństwa robotników w Yanji oraz dała mi 230 dolarów amerykańskich w charakterze funduszu nadzwyczajnego. Za dnia moi gospodarze pracowali w miasteczku, ukrywali mnie więc w pokoju i dawali zarówno pożywienie, jak i wiadro, służące za toaletę. Wieczorem, kiedy wracali z pracy do domu, w całym pokoju rozchodziła się nieprzyjemna woń. By nie wprawiać mnie w zakłopotanie, nic na ten temat nie mówili. Wydawało się, że łączyły ich bliskie kontakty z parą misjonarzy południowokoreańskich, bo bez słowa wzięli na siebie obowiązek dania mi dachu nad głową. Nie mogłem sobie pozwolić na to, by za bardzo im ufać. Dlaczego ci Koreańczycy z Południa byli tak szczodrzy w okazywaniu mi pomocy? Co oni z tego mają? Zastanawiałem się, czy nie kierują się przypadkiem jakimiś

ukrytymi motywami. Czyżby byli południowokoreańskimi agentami, podszywającymi się pod misjonarzy, którzy starają się uśpić moją czujność? Albo gorzej nawet: czyżby pracowali dla policji chińskiej, która zabiegała o współpracę z władzami północnokoreańskimi w wyszukiwaniu uciekinierów? Nie mogłem na te pytania odpowiedzieć, małżeństwo to bowiem było moim jedynym łącznikiem ze światem, a zarazem czułem się nieskończenie wdzięczny im za to, że robili wszystko, by zapewnić mi bezpieczeństwo. Poza myśleniem zatem nie miałem nic innego do roboty. Wszystkie plany na przyszłość szybko ustępowały rozważaniom dotyczącym moich wybawców. Szarpały mną skrajne uczucia: od wdzięczności do podejrzeń.

W tym czasie przyśniła mi się matka. Czekałem na nią na peronie stacji kolejowej. Nie przychodziła, zacząłem więc się denerwować. W następnej chwili znalazłem się w wagonie, a ona siedziała obok mnie. Miała na sobie tradycyjną, śnieżnobiałą suknię i buty. Wyglądała na odprężoną. Pociąg był zatłoczony i było mi duszno, ale ona powtarzała:

– Wielkie nieba, jak tu wygodnie, jak w niebie.

Do pociągu wszedł konduktor, by sprawdzić bilety. Zdenerwowałem się i bez powodzenia zacząłem szukać w kieszeniach, ale matka – wciąż bardzo spokojna – wręczyła konduktorowi czysty biały papier. Kiedy go rozwinął, zobaczyłem napisane tam jej imię – poziomo, chińskimi znakami. Spojrzał na nie i powiedział:

– Bardzo dobrze. Miłej podróży.

Kiedy się obudziłem, moją twarz pokrywały ciepłe łzy. Miałem nadzieję, że matka miała dobrą podróż do świata podziemnego,

tak jak to widziałem we śnie. Życzyłem jej, żeby odpoczywała tam sobie w spokoju, wreszcie nie cierpiąc. A co zaś mnie się tyczy, wciąż przede mną była droga. Zdenerwowanie, jakiego doznałem we śnie, przeniosłem z życia realnego, podróżowałem bowiem bez biletu, a pociąg zabierał mnie do nieznanej stacji docelowej.

Yanji

Mój pobyt u koreańsko-chińskiej pary dobiegł końca. Misjonarze, o których już teraz wiem, że byli nimi pani i pan M., zaprowadzili mnie do czystego, pustego mieszkania. Było małe, dwusypialniane, na czwartym piętrze, w dzielnicy na przedmieściach Yanji. W owym czasie nabrałem już do moich opiekunów odrobiny zaufania, toteż zanim zaprowadzili mnie do nowego schronienia, które pełne było żywności i książek chrześcijańskich, zapytałem ich, czy mogą dostarczyć notatkę przewodnikowi granicznemu, który mi towarzyszył. Zgodzili się chętnie. Poprosiłem ich, by zatelefonowali do przewodnika, który przebywał razem ze swoimi krewnymi w tym samym miasteczku, oraz by przekazali mu pieniądze, które od nich otrzymałem, aby doręczył je L. Do L. napisałem inny list, w którym poinformowałem ją, że z powodu mego stanu zdrowia nie mogę się zająć sprzedażą wyrobów z porcelany, gdyż zajęłoby mi to zbyt dużo czasu, toteż miast trzymać je przy sobie, powierzam je przewodnikowi. Zakończyłem list naleganiem, by L. przybyła do Chin w celu ułatwienia tego procesu. Ponieważ nie byłem pewien,

czy przewodnik jest zdolny sprostać oczekiwaniom L. w sprawie sprzedaży porcelany, czułem się dość niezręcznie, a chciałem przekonać ją, że nie znikłem z jej skarbem. Pan i pani M., gdy zauważyli, że przekazywałem wszystkie pieniądze, jakie od nich dostałem, wręczyli mi dodatkową gotówkę na niespodziewane wydatki.

Małżonkowie zostawili mnie w moim nowym mieszkaniu i zamknęli drzwi na klucz od zewnątrz. Słyszałem, jak metalowy zamek ostro zgrzytnął. Dźwięk ów boleśnie przypomniał mi o Obozie Numer 14, gdzie zamykano więźniów na noc. Pan i pani M. powiedzieli mi, że czynią tak dla mego bezpieczeństwa, ale to niewiarygodnie mnie zaniepokoiło. Moi opiekunowie przychodzili niemal co dzień, żeby uzupełnić żywność i inne zapasy. Obserwowałem ich – nabożnie przychodzących i wychodzących – i sobie myślałem: „Czy oni mówią mi prawdę o pomocy w szukaniu bezpiecznego miejsca? A może chcą zyskać na czasie, dopóki nie pojawią się władze północnokoreańskie, by mnie aresztować?". Od samego początku mego pobytu w tym mieszkaniu poważnie myślałem o zamordowaniu ich i wydostaniu się na wolność. Często rozważałem różne warianty uczynienia tego i godzinami zastanawiałem się nad narzędziem, które najlepiej temu celowi posłuży. W mieszkaniu znalazłem noże kuchenne i młotki. Mógłbym ukryć się za drzwiami, gdy wchodzili, i ogłuszyć ich albo strzaskać im czaszki. Ale ilekroć przychodzili, by przygotować mi posiłek, czułem tak szczerą życzliwość w ich słowach i uczynkach, że nie mogłem przejść do działania. Niemniej, pozbawiony wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym, stawałem się coraz bardziej niespokojny. Musiałem

coś zrobić, by przygotować się na niebezpieczeństwo. Zacząłem zbierać żyletki, darowane mi przez opiekunów, które łamałem na małe kawałeczki, potem rozprowadzałem herbatniki wodą i robiłem ciasto z połamanymi żyletkami w środku. Formowałem z tego ciasta małe kuleczki, suszyłem je i trzymałem w kieszeni. Planowałem je połknąć, gdybym został aresztowany. Przeszedłszy piekło na ziemi, bez chwili wahania połknąłbym te żyletkowe kulki, byle nie trafić do obozu ponownie. Będąc tak przygotowany na najgorsze, poczułem niejaką ulgę.

Przez dwa pierwsze tygodnie małżeństwo zdawało się nie zauważać mego dziwnie podejrzliwego zachowania; robili wszystko, by pozyskać moje zaufanie. To mnie trochę uspokoiło. Kilka tygodni później spytałem ich otwarcie, czy dostarczyli notatkę i pieniądze przewodnikowi w miasteczku.

– Tak. Czy chcesz zobaczyć się z nim osobiście? – odpowiedział spokojnie mąż.

– Mógłbym? – zapytałem drżącym głosem. Spędziłem w tym mieszkaniu z grubsza miesiąc i moja cierpliwość była u kresu wytrzymałości.

– Jeśli chcesz, to możemy zorganizować spotkanie w herbaciarni, ale wszyscy musimy być ostrożni, gdyż w okolicy jest mnóstwo chińskiej policji, która szuka północnokoreańskich uciekinierów.

– Ach tak! Z pewnością. Tak będzie dobrze!

Kilka dni później pan i pani M. polecili mi włożyć ubranie, które przywieźli z Korei Południowej. Wieczorem towarzyszyli mi do małej herbaciarni. Był tam przewodnik graniczny, który poinformował mnie, że odebrał pieniądze i notatkę, która miała

być przekazana L. Wciąż zajmował się swoimi interesami, ale planował wkrótce wrócić do Korei Północnej. Wielokrotnie powtarzałem przewodnikowi, by powiedział L. i jej mężowi, że byłoby najlepiej, gdyby przyjechali do Chin i sami sprzedali tę porcelanę, a tymczasem przesyłam im pieniądze. Spytałem pana M., czy mógłby podać numer telefonu, pod którym L. bądź jej małżonek mogliby się ze mną skontaktować, jeśli przyjadą do Chin. Pan M. z chęcią zapisał ten numer i dał go przewodnikowi.

Wyjście do herbaciarni było miłą odmianą w monotonii życia w czasie sześciomiesięcznego zamknięcia w mieszkaniu. Pan i pani M. wciąż przychodzili i zachęcali mnie, bym czytał Biblię i się modlił. Nie dotknąłem Biblii, której nigdy wcześniej nie czytałem. Niemniej moi opiekunowie odwiedzali mnie o piątej, by odmówić modlitwy wczesnoporanne. Nauczyli mnie również, jak się modlić. Nigdy nie mówili mi o planach na przyszłość, co doprowadzało mnie do szaleństwa. Za każdym razem, kiedy byłem zniecierpliwiony, kazali mi się tylko szczerze modlić. Przynieśli mi również taśmy wideo z filmem o życiu Jezusa. Nie mając nic innego do roboty i siedząc cały dzień sam, czasami je oglądałem, niewiele przy tym myśląc. Pewnego dnia pani M. niespodziewanie spytała mnie, czy wiem, dlaczego wybuchła wojna koreańska.

– Oczywiście. Imperialiści amerykańscy podjudzili marionetkowy reżim południowokoreański do najazdu na naszych braci i siostry z Północy – odpowiedziałem mechanicznie, w sposób, jaki mnie uczono.

– Ależ nie. Naprawdę to w sobotę 25 czerwca 1950 roku, kiedy większość sił zbrojnych nie stała na straży, Kim Ir Sen przypuścił atak na Koreę Południową. Ponieważ był to atak podstępny,

najeźdźcy z Północy szybko przedarli się aż do południowego miasta Busan, co trwało zaledwie trzy dni – odpowiedziała spokojnie, ale w swej postawie była niezachwiana.

Dziwną rzeczą jest ideologia – tajemniczo uzależniająca i uparcie niezmienna. Byłem aresztowany, torturowany i skazany przez reżim północnokoreański na powolną śmierć w wyniku ciężkich robót, ale w tej chwili nie mogłem nie poczuć się obrażony tym, że pani M. podważała to, co – w mym najgłębszym przekonaniu – było prawdą historyczną. Nie dowodziłem tej uprzejmej niewieście, że się myli, ale zwyczajnie czułem, że mnie obraża, wypaczając fakty.

Towarzysz w nieszczęściu

Pewnego dnia małżonkowie przyszli wcześnie rano, aby poinformować mnie o kilku nowinach z Korei Północnej. Pani M. powiedziała mi, że poprzedniej nocy odebrała telefon od L. Dzwoniła z Tumenu, pierwszego chińskiego miasteczka, jakie napotkałem po przekroczeniu granicy. L. nie miała się dokąd udać, poprosiłem więc panią M., by zezwoliła mi się z nią spotkać i całą sytuację wyjaśnić. Pani M. zabrała mnie do domu pary koreańsko-chińskiej, gdzie zostałem pięć dni, a w tym czasie przywiozła z Tumenu L., by ta się ze mną spotkała. Tak wielka w niej zaszła zmiana. Wcześniej była ufną i czarującą kobietą, pełną energii i dobrej woli. Teraz siedziała przede mną

w ciemnym pokoju, niechlujna i rozkojarzona, nie wiedząc, gdzie zacząć swą opowieść.

– Nie mogę uwierzyć w to, co stało się ze mną i moją rodziną – naprawdę trudno w to uwierzyć.

– Powiedz wreszcie, co się stało – rzekłem niecierpliwie, jako że miałem złe przeczucie, iż mocno się przyczyniłem do jej obecnej sytuacji.

– No cóż, jak już wyjechałeś z przewodnikiem, czekaliśmy i czekaliśmy, by dostać o tobie wiadomość. I kiedy minęły ponad dwa tygodnie, postanowiłam sprawdzić, co się dzieje. Miałam zezwolenie na wyjazd do Chin, no to pojechałam do Tumenu i tam, pilnując interesów, szukałam ciebie i przewodnika. Zatrzymałam się w miasteczku na ponad dwa dni, daremnie wszakże. Po prostu musiałam wracać do domu, zbliżały się bowiem wybory lokalne, a biorąc pod uwagę moją pracę, nie mogłam ich opuścić. Wsiadłam do pociągu, by powrócić do Namyangu. No i zgadnij, co tam ujrzałam? – Wzburzyła się i zaczęła mówić szybciej. Wszyscy słuchali nerwowo. – Wpadłam na grupkę milicjantów, którzy aresztowali w Chinach północnokoreańskich uciekinierów. Widuję takie scenki na co dzień, ale tym razem wśród aresztowanych był ten przewodnik, który towarzyszył ci z Namyangu do Tumenu. Kiedy go zobaczyłam, zamarłam i odwróciłam oczy. On mnie jednak spostrzegł. Był na tyle ostrożny, by nie odezwać się do mnie i nie dać poznać po sobie, że mnie rozpoznaje. Ale ciągle spoglądał na mnie, a ja – od czasu do czasu – odwzajemniałam ukradkiem jego spojrzenie. Sprawiało to wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć. Wkrótce zauważyłam, że daje mi znaki zakutymi w kajdanki

rękami. Pokazywał na swą prawą kieszeń. Uświadomiłam sobie, że chce mi coś przekazać, ale okropnie się bałam, że milicja może dostrzec, iż się porozumiewamy i mnie również aresztować.

L. przerwała na chwilę i podniosła oczy.

– No i co się stało? – pani M. spytała L., która nadal sprawiała wrażenie zagubionej.

– Wreszcie, na ułamek sekundy, jeden z dwóch milicjantów odszedł. Nie wiem dokąd. A drugi odwrócił się do nas tyłem. I wtedy właśnie przewodnik wyciągnął z kieszeni złożony papier i upewnił się, że to dostrzegłam. Musiałam działać szybko. Wstałam z siedzenia, przeszłam obok i wyrwałam mu ów papier z ręki. Na szczęście nikt tego nie zauważył. Przeszłam do drugiego przedziału, kurczowo ściskając ów papier w dłoni. Strasznie się trzęsłam. Nie poruszyłam się do chwili, aż pociąg dojechał do Namyanu. Dopiero po wyjściu z wagonu otworzyłam liścik, w którym znalazłam trochę zagranicznych pieniędzy i wiadomość od ciebie. – Patrzyła mi prosto w oczy. – Nie wyobrażacie sobie, jak byłam zdenerwowana. Wiecie, co oznacza list z Chin, przekazany przez osobę nielegalnie przekraczającą granicę. Gdyby ten przewodnik nie dał mi tego listu, a tenże zostałby odkryty przez milicję w Korei Północnej, toby dopiero się działo. Starałam się jednak uspokoić i wrócić do rejonu Rajin-Sonbang. Ale tam czekała na mnie dopiero prawdziwa niespodzianka. – Przerwała swą opowieść i nadal przyglądała mi się, jakby patrzyła na upiora. – W moim rodzinnym miasteczku wszędzie widziałam twą twarz. Wszędzie – na ulicach, na targu, na ścianach szkół – wszędzie rozlepili twoją podobiznę wraz ze szczegółowym opisem twych zbrodni.

Spuściłem wzrok. Nie mogłem znieść jej spojrzenia. Wiedziałam, że oto właśnie nadeszła pora, by ABN wysłała list gończy, przede wszystkim w strefie przygranicznej.

– Poszłam prosto do domu i zobaczyłam, że nie ma tam nikogo. Sąsiadka usłyszała me kroki i przyszła do mnie bardzo podenerwowana. Powiedziała mi, że mój mąż sądził, iż zostałam porwana przez kryminalistę, który podał się za oficjela z Pjongjangu. Poszedł na milicję i wraz z nią szuka mego miejsca pobytu. Dziećmi w tym czasie miała opiekować się sąsiadka. Nie zastałam dzieci w domu, ponieważ były wtedy w szkole.

L. zauważalnie drżała, gdy mówiła o rodzinie. Tym razem nikt jej nie przerwał.

– Wiedziałam, co to wszystko znaczy. Wszystko dla nas skończone. To wszystko skończone... Mój mąż pewnie został zatrzymany przez milicję – mimo swej niewinności. I mnie też natychmiast aresztują, kiedy uznają, że utrzymywaliśmy kontakty z najgorszym zbiegłym przestępcą... Nie spędziłam w mym domu ani sekundy, po wyjściu sąsiadki niezwłocznie wróciłam do Namyangu, przeszłam przez rzekę na piechotę, kiedy zapadły ciemności. Kiedy przybyłam do Tumenu, zadzwoniłam pod numer zapisany w twoim liściku. No i jestem.

Przez chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Słuchałem jej opowieści ze spuszczoną głową, unikając jej świdrującego wzroku. Wkrótce jednak odzyskałem panowanie nad sobą i powiedziałem do pana i pani M.: – L. jest moją krewną. Ponieważ pomogła mi w ucieczce z Korei Północnej, ona i jej rodzina popadli w wielkie kłopoty. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, ale czy mógłbym państwa prosić, by pozwolili jej ukrywać się w tym mieszkaniu

wraz ze mną? Ona nie może wrócić, a jeśli tu ją złapią, to będzie strasznie.

Pan i pani M. nie wyrazili zastrzeżeń. Nie podawali w wątpliwość tego, co powiedziałem, ale chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o L., która po swej długiej przemowie teraz zaniemówiła.

– Jej mąż jest wicedyrektorem Wydziału Morskiego w Rajin-Sonbong – zacząłem. Pan i pani M. okazali wielkie zainteresowanie tym, co miałem do powiedzenia. Chcieli usłyszeć coś więcej o jej pochodzeniu. Spostrzegłszy zachętę z ich strony, kontynuowałem. – Jest całkiem wpływowym człowiekiem po tamtej tronie. L. jest również dobrze ustosunkowana, ponieważ pracuje jako instruktorka polityczna rodzin wojskowych. Wszystkich bardzo dobrze zna.

Małżeństwo rade było się dowiedzieć, co kobieta ma do powiedzenia o tamtej stronie granicy, do której oni zbliżyć się nie mogli. Wyczułem, że współczują jej w niedoli, ale L. mogła być też cennym źródłem informacji w ich pracy – udzielaniu pomocy uchodźcom. W środku nocy wszyscy wróciliśmy do mieszkania, w którym się ukrywałem, i kontynuowaliśmy rozmowę. W taki oto sposób dołączyła do mnie L., która nigdy nie przypuszczała, że udzielenie gościny nieznanemu przybyszowi aż tak całkowicie odmieni jej życie.

Przez sześć miesięcy mego pobytu pod opieką małżeństwa M. przyprowadzili oni do mego mieszkania trzech innych uciekinierów. Polecono mi jednak, bym nie nawiązywał z nimi bliższych kontaktów.

– Jeśli gość zadaje pytania, powiedz mu po prostu, że jesteś właścicielem tego mieszkania – powiedziała mi pani M.

Jeden z nich powiedział mi, że zwiedza okolicę. Ale nie było mowy o oszukiwaniu się nawzajem. Uciekinierzy włączali szósty zmysł, który kazał im podejrzewać, budził niepewność i strach. Łatwo rozpoznawali kogoś będącego w tej samej sytuacji. Gość ów powiedział mi później, że jest doktorem medycyny z Chongjinu, który pomaga panu i pani M. przemycać rozmaite lekarstwa do Korei Północnej. Informacja ta przestraszyła mnie. Znaczyła bowiem, że moi opiekunowie wraz z doktorem mają jakieś powiązania z Koreą Północną. L. również obawiała się takiej możliwości. Ciągle nachodziły mnie podejrzenia i wątpliwości. Zmodyfikowałem więc moje plany i w razie wsypy postanowiłem uciec frontowymi drzwiami. L. – wciąż w szoku – zgodziła się ze mną; przypominaliśmy sobie nawzajem, by zachować czujność.

Ale nawet w takich chwilach gdzieś w głębi serca byłem bardzo, bardzo pewien, że ludzie ci nie uczynią mi żadnej krzywdy. Każdego ranka po modłach pani M. przygotowywała ciepłe posiłki. Mieszała różne zdrowe ziarna z ryżem, a czasami na obiad wracała z targu z kluskami aromatyzowanymi azalią dla pobudzenia apetytu. W lodówce znajdowałem banany, pomarańcze, jabłka i dużo jeszcze więcej pyszności. Z ogromną troską próbowała przywrócić mi zdrowie. Objadając się wszystkimi tymi frykasami, przekształciłem się z wychudłego szkieletu w tłustą świnię. W obozie musiałem ważyć około 40 kilogramów, ale w ciągu sześciu miesięcy pobytu u M. przybrałem dodatkowe 23 kilogramy. W obozie nigdy nie myślałem o kobietach, ale w czasie tych miesięcy próżnowania, podjadając

do syta, znów poczułem żądze cielesne, po raz pierwszy od czasu aresztowania.

W tym czasie często rozmyślałem o mym życiu w Korei Północnej. Dawniej, kiedy pracowałem dla ABN i całymi godzinami prowadziłem samochód, nastawiałem radio na południowokoreańskie kanały, by nie zasnąć. Pewnego razu włączyłem na cały regulator południowokoreańską muzykę, a jechałem wtedy z moim przełożonym D. On spojrzał na mnie i zapytał, czego słucham. Odpowiedziałem, że to jedna z zagranicznych piosenek z kraju komunistycznego i że była przedstawiona na tegorocznym Festiwalu Kwietniowym, na który ponad sto krajów przysłało swoich artystów dla upamiętnienia urodzin Kim Ir Sena. D. spojrzal na mnie ostro i powiedział stanowczo:

– Gówno prawda, to tak nie brzmi. Znów sobie żarty stroisz.

Ale mimo krytycznych uwag wyrażonych surowym tonem nie zmienił kanału. Słuchał tej piosenki, łamiąc swój zamiar pozostania wolnym od wpływów kapitalistycznych. Nie było żadną tajemnicą, że przywództwo północnokoreańskie jest dobrze zaznajomione z południowokoreańską kulturą masową. Bywało, że szukając sygnałów radiowych, mimowolnie słuchałem antypółnocnokoreańskich programów propagandowych, nadawanych przez rozgłośnie południowokoreańskie. Ich tematem były przeważnie błędne przekonania reżimu Kim Ir Sena. Południowokoreańscy spikerzy mówili swymi przesłodzonymi głosami, że przyczyną cierpień ludu północnokoreańskiego jest wyzysk Kimowych rządców. Zawsze się z tych bzdur śmiałem, ale później w obozie te południowokoreańskie komentarze wracały od

czasu do czasu, co kazało mi myśleć, że za łatwo je odrzuciłem, kiedy w życiu naśladowałem model niepokalanie zwycięskich bohaterów rewolucyjnych.

Teraz oglądałem wiele południowokoreańskich sztuk telewizyjnych. Zupełnie były mi obce te historyjki o romansie, zazdrości i miłości. W przeciwieństwie do bohaterów większości dramatów północnokoreańskich, którzy realizowali ambitne misje i idee, wykraczające poza dobro jednostki – jak sprawy społeczeństwa, kraju i umacniania rewolucji socjalistycznej – postacie ze sztuk południowokoreańskich zdawały się zanurzone wyłącznie we własnych problemach. Mężczyźni ronili łzy jak kobiety, co bardzo mnie dziwiło. L. też nie mogła uwierzyć, bo mężczyźni, tak zniewieściali i śmieszni, wciąż rozważali swe uczucia i myśli. To wprawiło mnie jednak w zadumę. Zadałem sobie pytanie, czy ja kiedykolwiek miałem chwilę, by poważnie zastanowić się nad moją rodziną. Moja żona i dzieci zawsze ustępowały przed oddaniem wobec naszych przywódców i ojczyzny. Nie myślałem o moich osobistych sprawach ani o tym, co czuję. Dokądkolwiek szedłem, zawsze brałem ze sobą moją legitymację partyjną. Był na niej portret Kim Ir Sena; nosiłem ją blisko serca i zawsze czułem do niej miłość fizyczną.

Najlepiej zapamiętany program telewizyjny, jaki wtedy obejrzałem, opowiadał o zaaranżowanych spotkaniach członków rodzin długo rozdzielonych przez wojnę koreańską. Nawet w samej Korei Południowej pozostawało wciąż wielu takich ludzi, mimo że od zawieszenia broni minęło wiele lat. Program przedstawiał umierającą matkę, która nie mogła rozpoznać swego syna, widzianego po raz ostatni, gdy był dzieckiem dopiero

uczącym się chodzić. Bracia i siostry szlochali, dowiadując się, że w czasie ich długoletniej rozłąki zmarli ich rodzice. Ten sam program przedstawiał sieroty koreańskie adoptowane przez rodziny amerykańskie. Po wielu latach wracały do ojczyzny, by odszukać swych biologicznych rodziców. Gdy oglądałem ten program, przyszła mi do głowy myśl. Matka opowiedziała mi kiedyś o wuju, który mieszkał w Korei Południowej. Może mógłbym go odnaleźć przez ten kanał? Szybko zapisałem numer kontaktowy wyświetlony na ekranie. Obiecałem sobie, że jak tylko dotrę do bezpiecznego miejsca, zadzwonię pod ten numer. Może uda mi się odnaleźć nieznanego wuja. Byłem bardzo tym poruszony, gdyż dawało mi to nadzieję odnalezienia nowego członka rodziny na Południu. Ale co z moją rodziną na Północy? Ciepłe łzy strumieniem pociekły mi po twarzy. Co robiły żona i dzieci? Co się z nimi stało po mojej ucieczce? Czy ja ich znów zobaczę?

L., która jeszcze krótko przebywała w ukryciu, a teraz oglądała ten program razem ze mną, czasem płakała cichutko, kiedy indziej głośno szlochała. Nie mogła pogodzić się z faktem, że tak łatwo zostawiła swoje dzieci. Wszystko działo się tak nagle, że nie miała czasu pomyśleć, co się z nimi stanie. Wtedy myślała o jednym, że jeśli nie wyjedzie, zostanie aresztowana, tak samo jak inni w takiej sytuacji, czego była świadkiem. Ale biedne dzieci, one są niewinne! Przygniatało ją ogromne poczucie winy. Miewała momenty wybuchów, wtedy zawodziła i wypowiadała zdania świadczące o głębokim cierpieniu.

– Nawet dzikie bestie opiekują się swoimi małymi! O tyleż lepiej! O tyleż lepiej niż ludzie tacy jak ja... szalone i samolubne

istoty ludzkie jak ja... Jestem gorsza od bestii! Milion razy gorsza!

W takich chwilach upierała się, że musi wracać do Korei Północnej dla bezpieczeństwa swoich dzieci. Chociaż wiedziała, że nic dla nich zrobić nie może, musiała dać upust swoim uczuciom, by ulżyć swemu bólowi. Czy rzeczywiście przypuszczała, że mogłaby przynajmniej żyć razem z nimi w obozie, tak jak ja z matką w Obozie Numer 18? Jako ten, który zrujnował jej życie rodzinne, cierpiałem wraz z nią. Tyle przynajmniej mogłem dla niej zrobić. Nalegałem, by rzuciła mi w twarz oskarżenie, jeśli poczuje się dzięki temu cokolwiek lepiej. Ale zamiast tego L. szukała pocieszenia w lekturze Biblii i modłach, tak jak ją tego nauczyła pani M. Niemniej czasami płakaliśmy razem, ocierając sobie łzy, daremnie się pocieszając, że wkrótce ujrzymy nasze utracone rodziny. Dzięki wspólnemu przeżywaniu żałoby i pocieszaniu się L. i ja staliśmy się powiernikami. Kiedy zatem nikogo poza nami nie było, stawaliśmy się towarzyszami dzielącymi wszystko – poczucie nadciągającego zagrożenia, lęku o przyszłość, straty, żalu nad sobą i samotności, co wszystko razem rozpaliło potrzeby seksualne, by wypełnić nieznośną pustkę bytu.

Pekin

W szóstym miesiącu mego pobytu w Yanji, gdzie odzyskałem niemal pełnię sił, czekanie, które wydawało mi się wiecznością, dobiegło wreszcie końca. Pan i pani M. przyszli do mnie i L.

pewnego dnia tylko po to, by obwieścić nam nowinę o zbliżającym się wyjeździe.

Nowym miejscem docelowym była Korea Południowa. Małżeństwo M. wyjaśniło nam, że szukało sposobu wydostania nas z Chin najszybciej jak tylko to możliwe. Stało się oczywiste, że ambasada południowokoreańska w Pekinie nie przyjmie nas i nie udzieli nam azylu. Koreańczycy z Południa unikali wszystkiego, co mogłoby wywołać konflikt z Chinami. Nasi opiekunowie zatem wpadli na pomysł, by wysłać nas łodzią pływającą po Morzu Żółtym oddzielającym Chiny od Półwyspu Koreańskiego, ale okazało się, że jest to również ryzykowne. Oboje słyszeli bowiem, że właśnie pewien dyplomata północnokoreański rezydujący w Pekinie znikł wraz z małżonką i milicja Korei Północnej rozpoczęła na szeroką skalę poszukiwania w miejskim i portowym rejonie tego miasta. Stąd też pomysł krótkiej podróży ze wschodniego wybrzeża Chin na zachodnie wybrzeże Korei musiał zostać porzucony. Misjonarze doszli więc do wniosku, że jedynym wyjściem jest podróż do Korei Południowej przez Mongolię. Skoro tylko tam przybędziemy – zgodnie z ich wyjaśnieniami – wszystko będzie przygotowane. Mamy udawać turystów południowokoreańskich, którzy zabłądzili w regionie przygranicznym, i poprosić władze mongolskie o wysłanie nas do ambasady południowokoreańskiej w Ułan Bator.

Zanosiło się na podróż długą i niebezpieczną. Ale pan i pani M. chcieli, żebyśmy opuścili mieszkanie w Yanji, obawiali się bowiem nalotu milicji, jeśli będziemy tam przebywać zbyt długo. Przynieśli dobrze przygotowane pakunki, które dowodziły, że bezustannie pracowali nad tym, by zapewnić nam jak

najbezpieczniejszą i najłatwiejszą podróż do Korei Południowej. L. i ja wzruszyliśmy się, kiedy uświadomiliśmy sobie, że zaraz będziemy się żegnać z tą uprzejmą parą, która tak dobrze się o nas troszczyła. Czytali w naszych myślach, ich oczy także zwilgotniały. Małżeństwo M. zmusiło nas do włożenia wyłącznie południowokoreańskich ubrań – bielizny, strojów wierzchnich, zegarków, butów, plecaków, aż po pieniądze i portfele. Wszystko, co mieliśmy – prócz podrobionych paszportów południowokoreańskich – było rzeczywiście oryginalne. Małżeństwo M. dało nam również znaczną sumę pieniędzy – po 4500 dolarów amerykańskich oraz 6000 chińskich juanów. Zapakowałem wszystko, łącznie z Biblią, którą w ostatnich miesiącach ukrycia czytywałem regularnie. Zapakowałem również starannie moje „samobójcze kulki" na wypadek, gdybym został ponownie aresztowany przez milicję i deportowany do Korei Północnej. Następnego dnia rano pani M., L. i ja wyjechaliśmy pociągiem do Pekinu; przyjechaliśmy do tego stołecznego miasta wieczorem. Żyjąc w izolacji od tętniącego życiem świata ponad siedem lat, czułem się oślepiony neonami dworca kolejowego w wielkim mieście. Poczucie radosnego podniecenia łączyło się z obawą przed złapaniem mnie przez milicję chińską i deportacją.

A milicjantów na stacji było wielu. Staraliśmy się ten fakt ignorować. Pani M. poleciła nam zostać na dworcu, sama zaś wypróbowała trasę autobusową do Erenhotu, miasteczka chińskiego w Mongolii Wewnętrznej, na granicy z Mongolią. Chciała przekonać się, jak surowe środki bezpieczeństwa tam wprowadzono. Myślała, że będziemy bezpieczniejsi, skoro tylko wjedziemy do Mongolii. L. i ja postanowiliśmy zostać wśród

zgiełkliwego tłumu. Niemniej kiedy zbliżyła się godzina 1.00 po południu, zauważyliśmy krążący po poczekalni patrol milicyjny; sprawdzano tożsamość pasażerów. Wpadliśmy w panikę. Mieliśmy przy sobie podrobione paszporty południowokoreańskie, ale nie mogliśmy przecież ocenić, w jakim stopniu przypominają one te autentyczne. Pospiesznie więc opuściliśmy poczekalnię. Na zewnątrz ucieszył nas mile widok jakiejś kobiety trzymającej tabliczkę ze znakiem napisanym po koreańsku: POBYTY DOMOWE. Zbliżyliśmy się do niej i spytaliśmy, ile sobie liczy za noc. Odpowiedziała mieszaniną językową koreańsko-chińską, że 100 juanów wystarczy. Zgodziliśmy się bez chwili wahania. Poprowadziła nas przez wąskie uliczki biegnące za dworcem do chylącego się ku ruinie budynku mieszkalnego. Spędziliśmy tam noc – na poły śpiąc, na poły czuwając, a potem wróciliśmy na dworzec kolejowy. Czekaliśmy cały dzień, ale pani M. się nie pojawiła. Kiedy zapadła noc, wróciliśmy w to samo miejsce. Następnego poranka, trzeciego dnia naszego pobytu w Pekinie, ujrzeliśmy wreszcie panią M. Zaprowadziliśmy ją do naszego „pensjonatu", gdzie opowiedziała nam o swojej wyprawie do strefy granicznej. Dojazd do Erenhotu – wejścia od strony Chin na pustynię Gobi – zajął jej półtora dnia. Punkty kontrolne nie są trudne do przejścia. Była zdania, że wszystko powinno się udać. Pani M. zapytała gospodynię pensjonatu, czy mogłaby towarzyszyć nam do Erenhotu, ponieważ nie mówimy po chińsku; zaofiarowała jej 500 juanów. Kobieta zgodziła się. Pani M. poprosiła również, by zabrała ze sobą chiński dokument tożsamości swego męża, żeby mi go pożyczyć, ot tak, w wypadku

szczegółowej kontroli bezpieczeństwa. Gospodyni zgodziła się chętnie i na to.

Pani M. kazała nam zostać w pensjonacie, a sama wyszła, by pozałatwiać inne sprawy. Wciąż była zajęta, wciąż była w drodze. Jeszcze tego popołudnia przyprowadziła do pensjonatu jakąś kobietę, inną uciekinierkę z Korei Północnej, która miała wraz z nami udać się do Mongolii. Była nieco po czterdziestce i tak jak wiele jej rodaczek, niezmiernie cierpiała z powodu trudności gospodarczych kraju. Jej mąż umarł na chorobę wątroby kilka lat wcześniej i pozostała bez środków do życia, nie miała za co utrzymać dzieci. Powierzyła je swym rodzicom, a sama ruszyła w podróż, by prosić o pomoc krewnych męża, którzy mieszkali w odległym regionie północnym. Żebrała, ale żaden z nich nie miał ani środków, by jej pomóc, ani współczucia dla niej. Porzuciła wszelkie nadzieje na przeżycie i zrozpaczona rzuciła się do rzeki Tumen. Omal nie utonęła, ale los postanowił, że nie umrze w ten sposób. Jej unoszące się na wodzie ciało znaleźli chińscy misjonarze po drugiej stronie granicy. Została uratowana. Tak więc nieświadomie przekroczyła granicę między Koreą a Chinami, między życiem a śmiercią. A jak już odzyskała zdrowie, przewieziono ją do Pekinu – jak nas – by następnie przerzucić do Korei Południowej. Jechaliśmy na tym samym wozie i wkrótce staliśmy się sobie bliscy.

Następnego dnia rano cała nasza czwórka – pani M., L., nowa kobieta, która dołączyła do naszej ekipy, i ja – znów byliśmy na dworcu. Podziękowałem pani M. za opiekę, jaką nas otoczyła. Czyż to nie tej kobiecie i jej mężowi zawdzięczałem wszystko? Pozostałe dwie panie również objęły ją i długo jej dziękowały.

Nawet gospodyni pensjonatu ocierała łzy. Pani M. pozostała po zewnętrznej stronie okna autobusowego. Machała do nas. I my machaliśmy, dopóki nie znikła nam z oczu, ale zanim znikła, stała się postacią niewyraźną, gdyż mój wzrok przesłoniły łzy.

Piętrowy autobus cuchnął potem, kurzem, benzyną i wędzonym mięsem. Był szczelnie wypakowany wracającymi do domu mongolskimi kupcami. Po opuszczeniu ruchliwego rejonu Pekinu, przejeżdżaliśmy przez górzysty obszar rolniczy, a następnie wjechaliśmy na otwartą równinę. Moje współtowarzyszki podróży trajkotały bez przerwy, jak małe dziewczynki na wycieczce, ale ja przeważnie milczałem, martwiąc się o kontrolę. Noc już zapadła, kiedy mijaliśmy punkt kontrolny. Wszyscy milczeliśmy. Przed odjazdem umówiliśmy się, że jeśli ktokolwiek będzie nam zadawał jakiekolwiek pytania, to gospodyni pensjonatu odpowie strażnikom, że jesteśmy turystami z Korei Południowej. Ale ta konkretna kontrola była dość pobieżna – funkcjonariusz z latarką wszedł do autobusu, stanął obok siedzenia kierowcy, obejrzał kilka zaspanych twarzy, które przypadkowo wybrał, i nie troszcząc się o nic więcej, przeszedł korytarzem. I to wszystko. Jakkolwiek denerwowałem się właśnie o tę część podróży, poczułem się niemal oszukany, kiedy funkcjonariusz po prostu wysiadł sobie z autobusu. Następnego dnia o godzinie 4.00 po południu przybyliśmy do Erenhotu. Była to ostatnia placówka na olbrzymiej ziemi chińskiej, małe miasteczko na jej zapadłych peryferiach. Udaliśmy się do gospody, polecanej nam przez panią M. Był środek lata, panował więc upał. Nasza czwórka wzięła na targu taksówkę. A potem znaleźliśmy sklep z makaronem prowadzony przez miejscowego Koreańczyka. Zupełnie znośnie

mówił w ojczystym języku. Gospodarz domyślił się, po co tu jesteśmy. Nasza czwórka zjadła miło posiłek w jego restauracji. Z pewnych przyczyn czułem, że mogę mu ufać. Kiedy już mieliśmy wychodzić, odciągnął nas na bok i spytał, czy jedna z kobiet nie mogłaby z nimi zostać, żeby pomagać w interesie. Wyjaśnił, że bardzo potrzebują dodatkowych pomocników. Odmówiliśmy uprzejmie, na co spytał, czy nie mógłby nam jutro towarzyszyć do granicy. Zapisał adres naszej gospody.

Gospodyni pensjonatu, pożegnała się z nami i następnego ranka wróciła do Pekinu. Był 27 sierpnia 2000 roku. Pamiętam tę datę, ponieważ L. miała urodziny.

Wydaliśmy dla niej małe przyjęcie w pokoju, w którym się zatrzymaliśmy. Postanowiliśmy też – zgodnie z obyczajem koreańskim – nie czynić tego dnia nic gwałtownego ani niebezpiecznego. Zostaliśmy w gospodzie i słuchaliśmy, jak krople deszczu uderzają w okno naszego pokoju. Niemniej blisko północy usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Był to gospodarz sklepu z makaronem. Powiedział nam, że nie padało tak już od trzech lat i to znakomita noc na przekroczenie granicy. W takiej sytuacji pospiesznie się spakowaliśmy i taksówką pojechaliśmy do samego koniuszka terytorium chińskiego. Mogliśmy iść do Mongolii. Według gospodarza, jeśli będziemy cały czas szli prosto do granicy, to szanse, że zostaniemy odkryci przez patrol, będą większe. Poradził więc nam, byśmy przeszli ze 2,5 kilometra w kierunku, który wskazał, to wtedy przejdziemy do Mongolii bez natykania się na strażników. Wszyscy podziękowaliśmy mu za pomoc. Teraz cała nasza trójka stanęła w strumieniach deszczu. Było ciemno choć oko wykol i zupełnie pusto. Nic nie było widać

ani słychać. Dźwigając ciężkie plecaki, ruszyliśmy w kierunku naszego przeznaczenia. Było ono tak bliskie, ale niewidoczne w gęstej ciemności i deszczu.

Słup ognia

Nie wiedziałem, jak długo szliśmy w błotnistym piasku. Skarpetki i buty mieliśmy kompletnie przesiąknięte błotem, które nie pozwalało nam poruszać się szybciej. Ciała nasze ociekały wodą. Kobiety potrzebowały czasami pomocy, zrozumiałem więc, dlaczego pan i pani M. wysłali nas w grupie. Gdy uciekałem z Korei Północnej, byłem bliski śmierci, ale te sześć miesięcy opieki i troski przywróciły mi siłę, by poprowadzić i wesprzeć me towarzyszki podróży. Maszerowaliśmy naprzód w milczeniu. Odniosłem wrażenie, że przeszliśmy znacznie dalej niż 2,5 kilometra, kiedy dotarliśmy do wysokich płotów zwieńczonych drutem kolczastym. Stały tam, wznosząc się na 2,5 metra wysokości, niczym kulminacja naszej szczególnej podróży. Ogrodzenie miało dwa rzędy, niezbyt od siebie odległe. Dotarliśmy! W tym radośnie podniecającym momencie z trudem chwytaliśmy oddech. Nie czekając ani chwili, zrzuciliśmy plecaki na ziemię, a ja się szybko pochyliłem, robiąc ze swego ciała podporę dla kobiet, by mogły dosięgnąć linii drutu kolczastego i go chwycić. Następnie wstałem i podniosłem je na taką wysokość, że mogły przejść i wylądować między płotami ogrodzenia. Kiedy znalazły się już po drugiej stronie, przerzuciłem plecaki i sam

przelazłem przez płot. Powtórzyliśmy te czynności przy drugim rzędzie ogrodzenia i znaleźliśmy się w Mongolii. Byliśmy tak bardzo podnieceni z radości, że nie zauważaliśmy, iż nasze ubrania i dłonie zostały poszarpane, kiedy chwytaliśmy ostry drut gołymi rękami. To nas wręcz zachwycało.

Potem deszcz ustał, ale ziemia była tak błotnista, że już bardziej chyba być nie mogła. Szliśmy i rozmawialiśmy. Ale im dłużej się posuwaliśmy, tym mniej nam się chciało rozmawiać, każdy się bowiem zastanawiał, czy kiedykolwiek spotkamy coś lub kogoś na naszej drodze. Do tej pory nie wiem, jaki dystans przebyliśmy. Brodziliśmy w głębokim błocie i coraz trudniej nam było się poruszać. Tuż po sforsowaniu granicy byłem tak zachwycony, że nawet nie czułem ciężaru plecaka na grzbiecie, teraz zaczął mi bardziej ciążyć. Gdzie jesteśmy? Czy nie znajdziemy dachu nad głową, nie spotkamy jakichś ludzi? Noc przytłaczała swą ciemnością, w zasięgu wzroku nie było niczego, co mogłoby podpowiedzieć nam, dokąd mamy się udać. Nie przygotowaliśmy żadnych planów, co robić w Mongolii. Nawet pan i pani M. mówili nam, że wszystko się ułoży, jak tylko tam dotrzemy. Wszyscyśmy się tak skupili na celu bezpośrednim, czyli ucieczce z Chin, skąd mogli nas deportować do Korei Północnej, że nikt nie zaplanował tego etapu naszej długiej podróży.

Zaczął mnie ogarniać lęk, ale nie wspomniałem o tym. Mniej więcej po godzinie takiego marszu rozmowę między sobą zaczęły kobiety. Zastanawiały się, dlaczego idziemy tak bez końca, nie widząc niczego godnego uwagi. To była pustynia Gobi; nazwę jej usłyszałem kiedyś na lekcjach geografii w szkole dawno temu. Teraz zostawiałem na jej piasku odciski stóp, ale może się jednak

zdarzyć, że zanim dotrzemy do celu podróży, wchłonie nas ona bez śladu. Byliśmy otoczeni zewsząd bezlitosnym pustkowiem. Nogi nam krwawiły, ale nie marnowaliśmy ani chwili, by je obandażować, chcieliśmy bowiem odejść jak najdalej od Chin. Noc na pustyni była chłodna, zwłaszcza w strugach deszczu. Przemarzłem do kości. Co prawda znikł gdzieś towarzyszący nam początkowo strach przed wykryciem przez patrol graniczny, ale pojawił się nowy – że w ogóle nikogo nie spotkamy. A co, jeśli będziemy musieli przemierzać tę pustynię całymi tygodniami? A co, jeśli zapasy żywności nam się skończą? W miarę jak sił nam ubywało, zapowiedź walki z naturą obezwładniała nas coraz bardziej, odbierając resztki nadziei.

A potem ujrzałem to! Uniosłem wzrok, by odegnać ponure myśli i przezwyciężyć przytłaczające mnie zmęczenie, i na odległym horyzoncie ujrzałem wielki poruszający się ruchem wirowym słup ognia. Wyrastał z widnokręgu, a sięgał wysoko do ciemnego nieba. Znajdował się daleko, poza naszym zasięgiem, ale niósł dość światła, by oświetlić nam drogę. Żadne słowa nie mogą opisać tego zjawiska, zupełnie jak nie z tego świata. Nigdy wcześniej niczego podobnego nie widziałem. Zaniemówiłem, gdyż ta iluminacja nieba wprawiła mnie w stan ekstazy. Zupełnie o wszystkim zapominając, krzyknąłem głośno:

– Czy wy to widzicie? Widzicie to?

– Widzę, widzę jak na dłoni!

– Tak, tak! Ja to widzę również – odparły w uniesieniu obie kobiety.

Nic już więcej nie mówiliśmy i o niczym innym też nie myśleliśmy. Po prostu podążaliśmy za światłem. Nie mieliśmy

pojęcia, jak długą drogę przemierzyliśmy w kierunku słupa ognia. Szliśmy i szliśmy, jak szaleni. Wkrótce pojawiły się dwa nowe rzędy płotu z drutu kolczastego, które bez namysłu przeskoczyliśmy. Po prostu maszerowaliśmy przyciągani niewiarygodnym magnesem. Czułem się, jakbym był świadkiem cudu biblijnego, kiedy Mojżesz dla swego ludu otworzył ścieżkę przez Morze Czerwone. Słup ów przypominał mi drabinę Jakubową, łączącą ziemię z niebiosami. Ognisty słup, który kierował naszymi krokami, nie był z tego świata. To była opatrzność Boża. Nie wiedzieliśmy dokładnie, dokąd zmierzamy. Wiedzieliśmy tylko, że podążamy za światłem przewodnim, toteż zdumiało nas wielce, gdy ostre promienie innego światła z powrotem nas na ten świat sprowadziły.

Straż graniczna wrzeszczała na nas w zupełnie niezrozumiałym języku, ale oczywiste było, że każą nam się zatrzymać. Zatrzymaliśmy się więc, powracając wolno do zmysłów i uświadamiając sobie zarazem, że nas wykryto. Nadal lało. Słupa już nie było, ale dostrzegliśmy migoczące światła kompleksu dwóch bądź trzech baraków. Wciąż zahipnotyzowani tym, cośmy widzieli, bez oporu poszliśmy za strażnikami do stanicy granicznej. Kiedyśmy weszli, doznaliśmy szoku. Byliśmy w Chinach! Ujrzeliśmy czerwoną flagę z żółtymi gwiazdami na ścianie. Boskie światło przewodnie zawróciło nas z niebezpiecznej drogi! Spojrzeliśmy zalęknieni po sobie. Szliśmy całą noc bez przerwy i ciągle jesteśmy w Chinach! Chińscy strażnicy kazali się nam rozebrać z większości naszej odzieży i rozpoczęli rewizję centymetr po centymetrze wszystkiego, co mieliśmy. Jeden strażnik rozpruł nawet wszystkie trzy plecaki – z wyścielanymi

paskami włącznie – by sprawdzić, czy mamy przy sobie jakąś kontrabandę. Nasze plecaki i rzeczy osobiste były kompletnie przemoczone, ale Chińczycy kontynuowali sprawdzanie każdego najmniejszego szczegółu. Niepokoiłem się mapą Chin pozostawioną w tylnej kieszeni dżinsów. Pani M. dała mi ją w Yanji i zaznaczyła na niej wszystkie miasta, w których mieliśmy się zatrzymać albo które zamierzaliśmy ominąć, co wskazywało szlak naszej ucieczki z chińskich miast Tumen i Yanji do Pekinu, a potem do Erenhotu i na koniec do Mongolii. Gdyby strażnicy zobaczyli tę mapę, nie mieliby cienia wątpliwości, skąd przybyliśmy i co zamierzamy uczynić. Byłem śmiertelnie przerażony. Wstrzymałem oddech i w milczeniu obserwowałem postępy rewizji. Obie kobiety również były w niemałej panice. Strażnicy przebadali wszystko, co do nas należało, a co dali nam przy wyjeździe pan i pani M.: buty, południowokoreańskie paszporty, bieliznę, szczoteczki do zębów, emulsję do skóry, ręczniki, Biblię, pakiet pierwszej pomocy, pióro i notesy. Moje dżinsy – kompletnie przemoczone przez deszcz – ciśnięto na jedno z krzeseł i wcale ich nie przeszukano. Znów wstrzymałem oddech, by ukryć oznaki zdenerwowania, i obserwowałem, jak krople deszczu spływały po szybie, zrazu w krótkich, a potem w bardziej wydłużonych odstępach, i czekałem, aż strażnik przeszuka wreszcie dżinsy. Ale – o dziwo – nie przeszukał ich. Po starannej rewizji zwrócili nam nasz dobytek i kazali się przebrać w nowe ubrania z plecaków. L. odczuła taką samą ulgę jak ja, ponieważ miała przy sobie legitymację członkowską Partii Pracy Korei. Trzymała ją na dzień, w którym będzie musiała udowodnić, kim była dawniej w Korei Północnej. Niemniej w tej sytuacji mogłoby

to zaszkodzić w istocie wszystkim. Przewidując konsekwencje, jakie mogłyby wyniknąć z ujawnienia przedwcześnie tego faktu, postanowiła trzymać ją sekretnie w najbardziej wrażliwym miejscu swego ciała. Kiedy strażnicy zostawili nas samych, żebyśmy się przebrali, szepnęła mi, że zwinęła legitymację w trąbkę i owinąwszy w plastik, wsunęła ją do pochwy.

Na progu

Z początku przetrzymywano nas w garażu. Postanowiliśmy zachowywać się tak, jak byśmy byli rzeczywiście turystami południowokoreańskimi, którzy zabłąkali się podczas wycieczki w strefie przygranicznej. Ustaliliśmy, że będziemy dowodzić, iż dobrowolnie pojawiliśmy się na posterunku granicznym, by szukać pomocy. Ze wszystkich sił protestowaliśmy, łomocząc w metalowe drzwi i wykrzykując:

– Jak można w socjalistycznym państwie zamykać ludzi, którzy szukają pomocy?

Strażnicy chińscy, którzy nie rozumieli ani słowa z języka koreańskiego, odpowiadali nam waleniem w drzwi metalową pałką. Te hałaśliwe odpowiedzi trwały jakiś czas. Kilka dni później przeniesiono nas do sali szpitalnej z dziesięcioma łóżkami. Dwóch strażników trzymało wartę przed drzwiami. Wystraszyło to nas. Mogliśmy wylądować w Korei Północnej i umrzeć. Postanowiliśmy więc wszcząć strajk głodowy i zażądać odesłania nas do Mongolii, skąd przybyliśmy. Zaczęliśmy głodować i się

modlić. Przez cały ten czas L. modliła się żarliwiej ode mnie. W Korei Północnej wróżyła z ręki, ale teraz zmieniła się w gorliwą chrześcijankę. Pościliśmy tak piętnaście dni o samej wodzie, a L. przewodziła modlitwom. Pod koniec ostatniego dnia byliśmy tak słabi, że niemal czołgając się, wlekliśmy się wzajemnie do toalety. Władze chińskie przestraszyły się, że pod ich nadzorem umrzemy. Teraz oni nas pilnowali, nie z obawy, że możemy uciec, ale dlatego, że mogliśmy zasłabnąć i potrzebować opieki lekarskiej. Przynosili nam zatem więcej wybornego pożywienia, którego jednak nie tknęliśmy. Komendant posterunku przyszedł do nas, żeby z nami porozmawiać. Był to chudy, niechlujny mężczyzna po pięćdziesiątce, zawsze zajeżdżający alkoholem. Przychodząc do nas po raz ostatni, przyniósł owsiankę i wspomniał o wielu rzeczach, a wszystkie przedstawił za pomocą języka ciała, bez tłumacza. Oznajmił tedy, że wierzy nam, iż jesteśmy Koreańczykami z Południa, niemniej by udowodnić, iż istotnie nimi jesteśmy, musimy przerwać post i odzyskać siły. Dorzucił przy tym garść dziwnych informacji, ale do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Bóg sprawia, że rzeczy dokonują się poprzez ludzkich pośredników na najdziwaczniejsze sposoby. Komendant powiedział nam, że około 50 kilometrów prosto na północ od posterunku znajduje się strefa przygraniczna między Chinami a Mongolią, bez żadnej linii demarkacyjnej. Ale to nie jest bezpieczna trasa, ponieważ dzikie lisy czekają tam na ludzką zdobycz, a więc on jej nie zaleca. Ale zupełnie nas zaskoczyła jego sugestia, by spróbować przejść przez zasieki z drutu, rozdzielające obydwa państwa. Za pomocą malowniczego języka ciała powiedział nam, iż powinniśmy schylić się i czekać, by

nie zostać dostrzeżonym przez wartowników nocnych, kiedy tacy będą patrolować ten obszar. Powiedział też, że za dwa dni wyjedzie stąd na trzydniowe szkolenie, a do tego czasu będzie dobrze. Potem raz jeszcze zaoferował nam owsiankę i wyszedł. Poszliśmy za jego radą i zjedliśmy całą. Byliśmy zdumieni, że tak wiele nam powiedział, co uznaliśmy za przesłanie, że jeśli planujemy ucieczkę, to on chce, żebyśmy to zrobili pod jego nieobecność. Zdumiewające było również, iż mogliśmy porozumieć się wzajemnie, używając ograniczonego słowniczka rosyjskiego oraz języka ciała.

L. powiedziała mi, że ponieważ strażnicy zbyt długo trzymają nas w areszcie, ma przeczucie, iż przekażą nas władzom imigracyjnym w Pekinie. Odesłanie do Pekinu oznaczało śmierć, ponieważ nawet gdybyśmy trafili do ambasady południowokoreańskiej, to Koreańczycy z Południa szybko się zorientują, że nasze paszporty są fałszywe, i nie będą mogli nam pomóc. Ambasada w Pekinie nie chciała drażnić Chin, przyjmowanie zatem uchodźców północnokoreańskich wbrew chińskim zamiarom ich deportacji nie leżało w jej interesie. Gorzej jeszcze byłoby dla nas, gdybyśmy zostali przekazani ambasadzie północnokoreańskiej, wtedy to z całą pewnością odesłano by nas do Korei Północnej na egzekucję. Skupiliśmy się więc na planie ucieczki. Zauważyliśmy, że odkąd zaczęliśmy pościć, strażnicy stali się bardziej nieuważni, gdyż wiedzieli, że nie mamy dość sił, by zbiec. Późną nocą często ucinali sobie drzemkę. Zauważywszy zatem, że strażnicy zapadają w sen natychmiast po przybyciu na swe posterunki, kilka dni po naszym spotkaniu z komendantem uciekliśmy. Dziwny komendant nadal

był na szkoleniu. Dwie godziny po północy usunęliśmy moskitierę z małego okna wentylacyjnego. Nie spakowaliśmy niczego, zabraliśmy tylko pieniądze i paszporty. Zamiast butów włożyliśmy trzy warstwy skarpetek, by nie robić hałasu przy wyjściu. Najpierw pomogłem uciec przez okno kobietom, potem sam przez nie przeszedłem. Słyszałem, że ludzie w obliczu nadzwyczajnych okoliczności, decydujących o życiu lub śmierci, mogą wykazać nadludzką siłę. Sam doświadczyłem tego, uciekając z obozu. Ale kiedy ujrzałem te dwie zagłodzone kobiety niemal przefruwające przez to wysokie okno, nie mogłem powstrzymać się od refleksji nad nadzwyczajną siłą istoty ludzkiej. Przecież zaledwie kilka godzin wcześniej, zupełnie osłabione po długotrwałym strajku głodowym, dosłownie wlokły się wzajem do toalety! W każdym razie kiedy opuściliśmy nasz areszt, zgodnie z radą komendanta uciekaliśmy schyleni poza jaskrawo oświetlony obszar wokół posterunku. Mongolia była ledwie kilka kroków przed nami, za zasiekami z drutu kolczastego. Przebiegliśmy ze 2 kilometry i dotarliśmy do strefy drutu kolczastego. Suknie kobiet zaczepiały się o płot i musieliśmy pchać lub ciągnąć się nawzajem. Ręce i nogi mieliśmy podrapane i wkrótce pokryte licznymi ranami. Niemniej biegliśmy po nasze życie i nic nie mogło nas zatrzymać. Usłyszeliśmy szczekające psy, a za sobą zauważyliśmy snop światła. Nasze wątłe, wygłodzone ciała pokryte były potem i krwią – po postawieniu stopy na mongolskiej ziemi wszyscy troje straciliśmy przytomność.

Podróż trwa

Ocucił mnie dreszcz przebiegający przez policzek – spływały po nim krople wody. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem szeroką twarz mężczyzny w średnim wieku. Leżałem na ziemi otoczony całym plutonem obserwujących nas mongolskich strażników granicznych. Dowódca o surowym obliczu siedział na taborecie i długą wierzbową gałązką, którą zanurzał w wiadrze, spryskiwał nas wodą. Obie me towarzyszki były wciąż nieprzytomne. Nie było wątpliwości, sprawialiśmy wrażenie uciekinierów – bez butów i w porwanej odzieży, przyklejonej do zakrwawionej skóry. Obawiałem się, że Chińczycy poinformowali swych mongolskich partnerów o naszej ucieczce. Kiedy kobiety się wreszcie ocknęły, dowódca plutonu przyprowadził tłumacza, żeby nas przesłuchać. Był to młody Mongoł, który spędził rok w Seulu, ucząc się koreańskiego.

– Skąd jesteście? – spytał koślawą koreańszczyzną.

– Jesteśmy z Seulu – odpowiedziałem.

– Z jakiej części Seulu jesteście? – spytał.

Wprawiło to nas w osłupienie. Nigdy przecież nie byliśmy w Seulu.

– Mieszkamy w dzielnicy Południowe Wrota – odpowiedziałem w końcu.

– Dzielnicy Południowe Wrota? – mężczyzna przerwał na moment, po czym zadał kolejne pytanie.

– Jakie papierosy palisz?

– TC – odpowiedziałem niezwłocznie, przypominając sobie jedyną markę papierosów południowokoreańskich, jaką znałem. Tuż przed rozpoczęciem olimpiady w Seulu w 1988 roku rząd południowokoreański wysyłał paczki papierosów TC do Korei Północnej, do czego wykorzystał balony wypełnione helem. Niemniej było to więcej niż przed dekadą i nie miałem pojęcia, co teraz palą Koreańczycy z Południa.

– Czy możesz podać marki papierosów południowokoreańskich? – mężczyzna nie przestawał mnie indagować.

– Cóż, niewiele dbam o marki południowokoreańskie. Lubię papierosy japońskie i zwykle palę Mild Seven.

– Czy możecie wymienić mosty na rzece Han w Seulu? – z tym pytaniem zwrócił się do kobiet. Nie wiedziały, jak na nie odpowiedzieć, toteż milczały.

Przesłuchujący zaczął rozmawiać z władzami mongolskimi w języku całkowicie dla nas niezrozumiałym. Mimo że nie rozumiałem ani słowa, wyczuwałem, że tłumacz nie wierzy, że jesteśmy z Seulu. Po tej rozmowie władze zatrzymały nas na dwa dni. Byliśmy w miasteczku zwanym Dzamyn Üüd, opodal Erenhotu. Zostaliśmy umieszczeni w ciemnej komórce w piwnicy. Byliśmy podenerwowani, nasza podróż bowiem odbiegła od pierwotnego planu. Czyż pan i pani M. nie powiedzieli nam, że wszystko będzie w porządku, skoro tylko dotrzemy do Mongolii? W tym momencie nic nie wyglądało pewnie. Trzeciego dnia skuli nas kajdankami i kazali wsiąść do ciężarówki. Oprócz nas trojga było jeszcze dwóch Chińczyków, którzy przekroczyli granicę nielegalnie. Oni również mieli skute ręce, a do tego oczy przewiązane opaskami. Ponieważ nam tego nie zrobiono, mogłem

śledzić poczynania strażników. Spostrzegłem, że zabierają nas do legalnego przejścia granicznego między obu państwami. Prosta biała linia oddzielała dwa rzędy zasieków z drutu kolczastego. Po każdej stronie wisiały chińskie i mongolskie flagi państwowe. Dwóch mongolskich strażników granicznych wysiadło z ciężarówki i spotkało się z dwoma strażnikami chińskimi. Stanęli po swoich stronach białej linii i wszczęli ożywioną rozmowę. Z ciężarówki mogłem dosłyszeć, że strażnik chiński mówi do swego mongolskiego odpowiednika: *Bu xing*, co, jak wiedziałem, znaczy „niedobrze". Spór trwał około pół godziny. Potem od strony chińskiej przyjechał jeep i znajoma twarz pojawiła się przed nami. Był to ten „dziwny" komendant chińskiego posterunku, który dobrowolnie przekazał nam wskazówki dotyczące drogi ucieczki. Nadal sprawiał wrażenie podchmielonego. Widziałem, że wyjaśniał Mongołom – za pośrednictwem tłumacza – że jakiś czas wcześniej weszliśmy na terytorium chińskie z Mongolii, przez przypadek, i to z tej przyczyny właśnie wracamy do Mongolii. Tak więc Mongołowie powinni zdecydować, co z nami począć – czy nas przekazać ambasadzie południowokoreańskiej, czy ambasadzie północnokoreańskiej.

Negocjator mongolski był człowiekiem szorstkim. Trwał przy swoim, nawet groził, że nie wypuści tych dwóch Chińczyków z opaskami na oczach, jeśli Chińczycy nas odrzucą. Rokowania się załamały i odesłano nas na posterunek mongolski. Tam trzymano nas w areszcie kolejny tydzień. Dostaliśmy tylko po kocu na osobę. Przynosili nam również zupę i chleb, ale trudno było się tego dotknąć z powodu gryzącej woni. Ilekroć strażnicy zauważyli, że

nic nie jemy, skwapliwie zabierali pożywienie i pochłaniali je w ułamku sekundy. Strażnicy chińscy nigdy nie ruszyli jedzenia, którego nie chcieliśmy, ale pogranicznicy mongolscy byli zdesperowani. Nie rozumiałem, dlaczego Mongołowie zawiązywali nam oczy przepaskami i wlekli nas, kiedy chcieliśmy pójść do toalety, co wyglądało, jakby wysyłali skazanych na plac egzekucji. W toalecie nie było ani ścian, ani drzwi, toteż strażnicy mogli nas swobodnie obserwować.

Po tygodniu pobytu w tych prymitywnych warunkach i w wielkiej niepewności powtórzyliśmy tę samą procedurę. Naszą trójkę i dwóch Chińczyków z zawiązanymi oczami przewieziono ponownie do przejścia granicznego między Chinami i Mongolią. I znów strażnicy obu stron zaczęli się spierać. Po półgodzinie utarczki Mongołowie z zagniewanymi twarzami polecili nam wracać do ciężarówki. Wyglądało na to, że rokowania się załamały. Serce mi stanęło. Odsyłają nas do Pekinu! To był koszmarny scenariusz.

Skoro tylko znaleźliśmy się w środku, Mongołowie rozkuli nam ręce.

– Kim! – wywrzeszczał me nazwisko strażnik mongolski.

Dwóch strażników ujęło mnie pod ramiona. Zaczęli iść jak roboty, śmiesznie odmierzanym krokiem, wlokąc mnie przez białą linię graniczną i tamże się zatrzymując. Dwóch żołnierzy chińskich zbliżyło się podobnie śmiesznymi krokami – gotowi przejąć osobę, która nielegalnie przekroczyła granicę. Mongołowie odepchnęli mnie i w sekundę znalazłem się na terytorium chińskim. Świat stał się pusty! Teraz Chińczycy wlekli mnie do ciężarówki, mocno trzymając za ręce. Wszystko daremne. Całe

ryzyko, jakie podjąłem ja i moi przyjaciele, wszystkie starania, by uniknąć niebezpieczeństwa, wszystko to tak idiotycznie się skończyło... Strażnicy chińscy kazali mi wsiąść na odkrytą platformę ciężarówki. Przypomniałem sobie chwilę, kiedy aresztowano mnie w porcie Nampo w Korei Północnej. Wróciłem do zmysłów, kiedy wesołkowaty szofer chińskiej ciężarówki zaproponował mi – w moim języku – kawałek arbuza. Rozejrzałem się po ciężarówce; zobaczyłem rzeczy osobiste, buty, plecaki, które zostawiliśmy na chińskim posterunku. One tym bardziej utwierdziły mnie w przekonaniu, że Chińczycy chcą nas wysłać wprost do Pekinu.

– L.! – zawołał strażnik mongolski. Tym samym śmiesznie odmierzonym krokiem została przeniesiona na stronę chińską i doprowadzona do ciężarówki. Gadatliwy kierowca chiński i ją poczęstował arbuzem. Kiedy trzeci członek naszej grupy znalazł się w ciężarówce, strażnik chiński wrzasnął, żebyśmy z niej wysiedli. A kiedy wykonałem polecenie, krzyknął na mnie, pokazując palcem na mój plecak i buty. Zawiązano nam oczy. Ponieważ od plecaków oderwano paski, trzymaliśmy nasze rzeczy w ramionach. Chińczycy zaprowadzili nas znów na białą linię demarkacyjną. Kompletnie nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Teraz po stronie mongolskiej znajdowało się dwóch Chińczyków, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, a po stronie chińskiej my. Chiński strażnik przepchnął mnie na stronę mongolską i otrzymał jednego z mężczyzn ze strony przeciwnej, po czym każda ze stron podpisała kilka dokumentów. Następnie przekazał L. i odebrał drugiego Chińczyka. I znów podpisano jakieś dokumenty. Na koniec Chińczycy wysłali trzecią osobę z naszej

grupy. Okazało się, że Mongołowie przegrali kłótnię z Chińczykami i musieli zaakceptować ich wersję, iż przez przypadek znaleźliśmy się w Chinach i musimy teraz wracać do Mongolii. A że Mongołowie ujęli nas, kiedyśmy uciekali z Chin, musieli nas najpierw przekazać władzom chińskim, które potem legalnie przekazały nas władzom mongolskim. Ot, i całe wyjaśnienie, ale wówczas o tym wszystkim nie wiedzieliśmy.

Nie był to jednak koniec naszych męczarni granicznych. Mongołowie zabrali nas z powrotem na posterunek i kazali się nam rozebrać. Nie oddzielono mężczyzn od kobiet – i oto cała nasza trójka stanęła rozebrana do naga przed obliczem władz. Przyszli inspektorzy medyczni, by sprawdzić, czy nie mamy widocznych oznak chorób, zaglądali nam nawet w odbytnicę. Po oględzinach wyszli. Znów nas zamknięto, tym razem jednak mieliśmy ze sobą wszystkie nasze rzeczy zwrócone nam przez władze chińskie. Oddali wszystko, co otrzymaliśmy od pana i pani M., w stanie nienaruszonym.

Znalazłszy się na terytorium bezpiecznym, musieliśmy zadbać o odzyskanie sił. Nie wiedzieliśmy bowiem, co zamierzają zrobić z nami władze mongolskie. Jednego byliśmy pewni, że wciąż jeszcze nie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Poprosiliśmy strażników, by dostarczyli nam godziwe pożywienie i kosztowne papierosy. Spełnili nasze życzenie, wiedzieli bowiem, że za załatwianie sprawunków okażemy swą wdzięczność. Kobiety zajadały wszystko z wielkim apetytem, ale ja, przeżywszy potężny strach i stres, źle się poczułem – wzrosło mi ciśnienie i w końcu mnie zemdliło. Położyłem się, a kiedy strażnicy polecili mi, bym

wstał, nie mogłem tego uczynić. Stan mój się pogorszył do tego stopnia, że kobiety wszczęły alarm.

– Wy brutale – wołały na strażników – on może umrzeć, jeśli nie otoczycie go opieką! Brutale!

Nie wiem, skąd wzięły tyle siły. Strażnik w końcu zawołał przełożonego. Sprowadzili lekarzy, którzy zmierzyli mi ciśnienie i z wyrazem powagi na twarzach mnie zbadali. Potem gdzieś zatelefonowali i postanowili przenieść mnie z Dzamyn Üüd, które leżało w pobliżu linii kolejowej, do Ułan Bator. Eskortowało nas dwóch strażników. O ile kobiety nie były skrępowane specjalnie ich nadzorem, o tyle ja zostałem zakuty w kajdanki i mocno przez nich pilnowany. Kiedy wsadzono nas do pociągu, mogłem po raz pierwszy zobaczyć miasteczko, w którym nas przetrzymywano. Wzdłuż linii kolejowej dostrzec się dało wielu strażników, ale niewiele normalnych domów. Wszyscy mieszkańcy tego miasteczka należeli do rodzin albo robotników kolejowych, albo strażników granicznych. W czasie podróży zastanawiałem się nad naszym przypadkiem i doszedłem do wniosku, że gdybyśmy dotarli do Mongolii, ominąwszy chiński posterunek graniczny, złapano by nas natychmiast. Czułem, że to Bóg zaplanował nam drogę w taki sposób, by doprowadzić nas na bezpieczną ścieżkę ku zbawieniu. Kiedy trafiliśmy do Chin, nie mogłem pojąć, dlaczego przywiódł nas w kłopoty, a nie do bezpiecznej przystani. Teraz to zrozumiałem: gdybyśmy zostali ujęci przez władze mongolskie, to najprawdopodobniej zostalibyśmy przekazani władzom chińskim, tak jak tych dwóch Chińczyków nielegalnie przekraczających granicę. A to ponad wszelką wątpliwość oznaczałoby deportację do Korei Północnej.

W pociągu obydwie kobiety protestowały przeciwko skuciu chorej osoby. Strażnik mongolski więc oswobodził jedną z moich rąk. W Ułan Bator zaprowadzono nas do niemiłej komórki w piwnicy, która była wilgotna i ciemna. Woda kapała z sufitu. Nie było żarówek, tylko świece. Wszystko było nad wyraz prymitywne. Zza ściany dobiegał mnie pomruk, który brzmiał bardziej jak głos zranionego zwierzęcia niż istoty ludzkiej. Powiedzieliśmy władzom, że jesteśmy Koreańczykami z Południa i potrzebujemy natychmiastowej opieki lekarskiej. Byłem bliski utraty przytomności z powodu wyjątkowo wysokiego ciśnienia krwi. Jakaś lekarka przyszła zmierzyć mi ciśnienie i stwierdziła, że jestem w ciężkim stanie i potrzebuję natychmiastowej opieki. Po jej wizycie, zauważyłem, że znikło około 6 tysięcy juanów chińskich, które trzymałem w kieszeni. Zabrać mi je mógł ktoś, kto miał ze mną bliski kontakt, ale podejrzewałem, że zrobiła to ta lekarka. Była nad wyraz uprzejma i troskliwa, nagliła władze, by przeniosły mnie w lepsze miejsce. Umieścili nas w biurze na piętrze, gdzie wstawiono trzy łóżka. Lekarka przyniosła zastrzyk i w ogóle dobrze się mną opiekowała, postanowiłem więc nie poruszać kwestii zaginionych pieniędzy.

Kilka dni po naszej przeprowadzce na piętro władze mongolskie wezwały L. do biura. Wróciła po paru minutach, cała blada. Ust nie mogła otworzyć, by wyjaśnić, co się stało, tylko dygotała, jakby walczyła z ciężkim przypadkiem grypy.

– Północna Korea... ludzie z ambasady północnokoreańskiej są tutaj, by się z nami spotkać... oj, ojej... muuuu...

Upłynął jakiś czas, zanim się opanowała, a wtedy opowiedziała nam, że rząd północnokoreański poszukuje zaginionego

dyplomaty i jego żony, którzy rezydowali w Pekinie, ABN wydrukowała ich zdjęcia i nadal ich szuka. Kiedy Koreańczycy z Północy złożyli prośbę o spotkanie z nami, władze mongolskie zażądały od ambasady południowokoreańskiej jej opinii. Później dowiedziałem się, że wywiad południowokoreański w Mongolii znał już moją tożsamość od małżeństwa misjonarzy. Żeby móc mnie chronić, przykazali władzom mongolskim, by pokazały tylko kobiety, ponieważ obawiali się, że ktoś z ABN może rozpoznać moją twarz. Tak więc L. została wysłana na oględziny. Powiedziała, że czarny sedan marki Mercedes z flagą północnokoreańską zatrzymał się przy krawężniku metr od niej. Nikt z tego samochodu nie wysiadł, ale ktoś opuścił szybę i porównywał jej twarz z fotografią. Nosiła modne okulary, a na sobie miała wykwintny czarny sweter kaszmirowy z eleganckim białym haftem, z szyi zwieszał się jej szczerozłoty łańcuszek z krzyżykiem, który otrzymała od pani M. Nie ulega kwestii, że L., jakkolwiek przerażona, raczej nie przypominała owej uciekinierki z Korei Północnej. Niemniej oględziny trwały około piętnastu minut, w trakcie których Mongołowie nie ustawali w pokazywaniu jej palcami i powtarzaniu – Koreanka z Południa, Koreanka z Południa. W końcu luksusowy sedan odjechał, zostawiając trzęsącą się L. na chodniku. Zastanawiałem się później, jak wyglądałyby moje oględziny. Czy były agent ABN rozpoznałby mnie, gdyby przez przypadek był moim dawnym kolegą? Bardzo się wszak od tamtych szczęśliwych czasów zmieniłem.

W tym biurze spędziliśmy jeszcze dwa dni. Lekarka przyniosła nam kwiaty, puszczała muzykę i dobrze się o nas troszczyła.

Z perspektywy czasu sądzę, że zrobiłem dobry interes, wymieniając pieniądze na jej opiekę i życzliwość, jeśli to ona je wzięła. Pozostałe pieniądze zabrało nam państwo mongolskie – 4500 dolarów amerykańskich, taką bowiem wielką sumą obciążono nas za wyświadczone nam w czasie naszego pobytu usługi. Średnia miesięczna płaca w Mongolii wynosiła podówczas 100 dolarów, była to więc dla nich kwota ogromna.

Wkrótce pojawił się mężczyzna, utrzymujący, że jest pracownikiem ambasady południowokoreańskiej. Poprosiliśmy go o dokument tożsamości, gdyż nie ufaliśmy już nikomu. Pokazał paszport dyplomatyczny. L. wręczyła mu swoją legitymację członkowską partii, na której widniały fotografie jej i Kim Ir Sena, jako dowód jej przeszłości, którą pozostawiła za sobą. Opuścił pokój i wrócił dwie godziny później. Powiedział nam, że zostaniemy przesłuchani przez władze mongolskie, i radził nam powiedzieć całą prawdę, ponieważ sądził, iż to najlepszy sposób ubiegania się o azyl polityczny. Gdybyśmy obstawali przy tym, że jesteśmy Koreańczykami z Południa, nie poprawiłoby to naszego położenia, bowiem Mongołowie w to nie wierzyli. Przyrzekł poczynić starania względem naszego bezpieczeństwa. Następnego dnia – tak jak powiedział dyplomata – zaczęło się przesłuchanie. Powiedziałem tłumaczowi wszystko – o mym uwięzieniu w obozie karnym, ucieczce, podróży do Chin i Mongolii. Około godziny 5.00 po południu przyszedł wysoki rangą dygnitarz mongolski i rozmawiał ze mną za pośrednictwem tłumacza.

– Odtąd będę pana traktował jak pułkownika północnokoreańskich sił lądowych.

Poprosił nas wszystkich o zajęcie miejsc w jego sedanie i zabrał nas na wycieczkę po mieście. Samochód minął imponujący gmach ambasady północnokoreańskiej w centrum Ułan Bator. Gdy patrzyliśmy na ten budynek, wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Urzędnik zawiózł nas do miejscowego sklepu spożywczego i zachęcał, byśmy kupowali wszystko, co chcemy. Zapakowałem słoik kiszonego czosnku, ogórek i paczkę papierosów, kapustę kwaszoną i torbę ryżu. Zapłacił za te produkty, a następnie zabrał nas do hotelu, którego dyrektor powitał nas ceremonialnie. Urzędnik kazał mu się dobrze o nas zatroszczyć, ponieważ jesteśmy turystami z Korei Południowej i potrzeba nam specjalnych względów. Dyrektor zainstalował nas w wielkim apartamencie z dwoma ogromnymi łożami i obsługą hotelową na każde żądanie. To było naprawdę komfortowe miejsce, zwłaszcza w porównaniu ze strażnicą graniczną i piwnicami, w których nas przetrzymywano bez mała pół miesiąca.

Następnego dnia przyszedł do nas z wizytą ów dyplomata południowokoreański. Oznajmił nam, iż rząd mongolski będzie nas ochraniał aż do naszego wyjazdu, i dał nam po 50 dolarów amerykańskich, ale nie powiedział, dokąd zostaniemy wysłani. Polecił nam, by pozostawać ze względów bezpieczeństwa raczej na terenie hotelu i nie wypuszczać się na miasto. Kiedy poszedł, zaczęliśmy się zastanawiać, czy można mu bez reszty zaufać. L. miała numer telefonu pewnego pastora, z pochodzenia Koreańczyka, mieszkającego w Ułan Bator. Pani M. dała go jej w Yanji na wypadek, gdyby coś się w Mongolii zdarzyło. Tego wieczoru zeszła więc do foyer hotelowego i zadzwoniła do pastora. Przyszedł do hotelu piętnaście minut później. Podzieliliśmy się

z nim troskami i niepokojami, a on odparł, że gdyby groziło nam niebezpieczeństwo, to może nam wyrobić fałszywe paszporty południowokoreańskie i wywieźć nas z Mongolii pociągiem ekspresowym do Moskwy. Ale gdy usłyszał, że ambasada południowokoreańska jest w to wmieszana, spojrzał na sprawę optymistycznie. My jednak wciąż nie mogliśmy uwierzyć, że ten sam rząd południowokoreański może się tak różnie zachowywać w Pekinie i tutaj. Pastor był jednak dobrej myśli i zapewniał nas, że nie powinniśmy się tak bardzo niepokoić. Minął tydzień, a ja wciąż to z obawą, to z ufnością rozmyślałem o swojej przyszłości. A potem odwiedził nas funkcjonariusz policji mongolskiej i – ni stąd, ni zowąd – uścisnąwszy nam dłonie, pogratulował.

– Kim Ir Sen? Nie, nigdy więcej Korea Północna. Do Pjongjangu.

Opowiedział nam, że ambasada północnokoreańska w Ułan Bator jest teraz zamknięta z powodu kłopotów finansowych państwa[49]. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Przecież zaledwie tydzień temu widzieliśmy jej wielki gmach, a niedługo wcześniej ludzie z ABN w mercedesie lustrowali L. Kiedy ów oficer ujrzał nasze zdumione miny, poprosił, byśmy wsiedli z nim do samochodu. Zawiózł nas do centrum, gdzie stał gmach ambasady. Tak jak powiedział, u bramy nie wisiała już flaga północnokoreańska. Zdjęto też z muru gablotki ze zdjęciami przywódców.

– Odtąd – zapewnił nas – nie musicie siedzieć zamknięci w hotelu, możecie sobie wychodzić na miasto, kiedy dusza zapragnie.

Kolejne trzy miesiące w Mongolii były okresem radosnym; mieliśmy bezpieczne miejsce pobytu, a ambasada południowokoreańska zapewniła nas, że wkrótce skończy się nasza tułaczka. Codziennie jeździliśmy sobie autobusami i jak turyści zwiedzaliśmy miasto. Kobiety za swoje kieszonkowe kupiły kosmetyki i namówiły mnie, bym sprawił sobie na zimę kurtkę skórzaną. Każdy dzień był jak piknik. Odwiedziliśmy również restaurację zwaną Arirang, której właścicielem był Koreańczyk z Południa. Kobiety wyjawiły mu, że jesteśmy z Korei Północnej. Na początku nie mógł ukryć zaskoczenia, ale wysłuchawszy naszej opowieści, dał nam swój numer telefonu i nalegał, byśmy zadzwonili do niego w razie jakichś nieprzewidzianych wypadków. A potem zaprosił nas na kolację na swój koszt i podarował nawet różne specjały na wynos. Byliśmy pierwszymi uchodźcami z Korei Północnej, jakich spotkał, szczodrą ręką zatem udzielił nam takiej pomocy, jakiej mógł. W czasie naszego pobytu towarzyszyli nam też mongolscy ochroniarze, przydzieleni, by zapewnić nam bezpieczeństwo. Odwiedzał nas pastor albo my odwiedzaliśmy jego kościół, bo blisko się w końcu zaprzyjaźniliśmy.

Pod koniec grudnia, kiedy Ułan Bator pokryło się szorstkim zimowym szronem, wsiedliśmy na pokład samolotu Korean Airlines zmierzającego do Seulu. Wszyscy ludzie, którzy się z nami tam zaprzyjaźnili – pastor, właściciel Arirangu, strażnicy mongolscy – przyszli na lotnisko, żeby nas pożegnać. Życzyli nam wszystkiego najlepszego i obiecali odwiedzić, gdy przyjadą do Korei. Trzymając na pożegnanie mocno ich dłonie, starałem się przekazać całe ciepło mych uczuć. Kobiety płakały. Kiedy samolot wystartował, ujrzałem wieczorne słońce, świecące jasno nad

prawym skrzydłem – za moim oknem. To było właśnie to słońce, za którego widokiem umierałem z tęsknoty przez sześć lat pracy w kopalni. Świeciło ślicznie nad zaśnieżonym Ułan Bator. W tym momencie poczułem, jakby to cząstka mnie się uwolniła i wraz z promieniami poleciała bliżej celu mej podróży.

---

[49] Na początku XXI stulecia ambasada Korei Północnej w Ułan Bator wznowiła działalność.

Posłowie
Niedokończona opowieść

Pierwsze dni w Korei Południowej upłynęły pod znakiem to radosnego podniecenia i ulgi, to wyczerpania, z których coraz to inne uczucie brało górę. Natychmiast po przybyciu odwieziono mnie do pilnie strzeżonego ośrodka przesłuchań. Tam wielu funkcjonariuszy wywiadu południowokoreańskiego zadawało mi niekończącą się liczbę pytań – jedno po drugim. Powiedziałem im wszystko. Zwracali uwagę na każdy szczegół i traktowali mnie z szacunkiem należnym memu stopniowi w północnokoreańskiej Armii Ludowej. Mimo, że nie obawiałem się niebezpieczeństwa ujęcia mnie bądź odesłania z powrotem, byłem zmęczony. Czułem się więźniem białych ścian tego nowoczesnego ośrodka, regularnie podawanych posiłków i uprzejmych agentów wywiadu. Po doświadczeniach trwającej prawie rok ucieczki i ukrywania się, ośrodek ten dziwnie mnie niepokoił. W tym czasie rzadko widywałem współtowarzyszki mej podróży, trzymano nas bowiem i przesłuchiwano w różnych biurach. Ponieważ przyjechałem do Korei Południowej z doświadczeniem nieczęsto spotykanym wśród innych, którzy przeszli na stronę nieprzyjaciela, przesłuchiwano mnie wyjątkowo długo i szczegółowo, przeważnie trzymając

w odosobnieniu. Od czasu do czasu przerwą w monotonii okresu przejściowego były mecze ping-ponga, które wyzwoliły mą ukrytą ostatnio namiętność do aktywności fizycznej. Po jednej stronie stołu stanęli funkcjonariusze wywiadu południowokoreańskiego, po drugiej – ja wraz z innym dezerterem z Korei Północnej. W ten sposób w zaciekłych meczach reprezentowaliśmy obie Koree. Mecze te stały się tak śmiertelnie poważne, iż zaczynały przypominać wrogą wymianę ognia artyleryjskiego przez strefę zdemilitaryzowaną. Czasami determinacja obu stron stawała się tak silna, że padały nieostrożne, zjadliwe uwagi. W tych chwilach zapominałem o tym, że przebywam w ośrodku wywiadu południowokoreańskiego, byłem znów młodym sportowcem w Pałacu Dzieci i Młodzieży na wzgórzu Mansu, rywalizującym zaciekle ku chwale Wielkiego Wodza i naszej ojczyzny.

Ale to, co wydawało mi się wiecznością, również dobiegło kresu. Rozpoczął się kolejny etap – nadszedł okres reedukacji w Hanawon, w ośrodku, w którym przeszedłem błyskawiczny kurs wprowadzający mnie w realia życia południowokoreańskiego. Uczono w zarysie geografii i historii, systemu bankowego, podstawowych form zachowania się w towarzystwie i temu podobnych. Spotkałem tam Koreańczyków z Północy z wszystkich środowisk i dowiedziałem się o niebezpieczeństwach, jakich doświadczyli po drodze do tego miejsca. Wielu z nich zostawiło na Północy swe rodziny i przyjaciół, co ciężkim brzemieniem legło na ich sercach i umysłach. Mimo że stali na progu nowego życia na Południu, za sprawą nawiedzających ich koszmarów nocnych, w których znów nielegalnie przekraczali granicę, a ich ciała wisiały na szubienicach na widoku publicznym, by wzbudzać

strach, tkwili głęboko w przeszłości. Innym razem powracała ona przyodziana w twarze tych, którzy ich kochali, a teraz błagali, by zabrać ich z Korei Północnej. Dla wielu był to najgorszy z koszmarów, przywoływał bowiem poczucie winy, co przysparzało większych cierpień niż ból fizyczny, czasami niwecząc całkowicie szanse odnalezienia się w nowym życiu.

Wkrótce po zwolnieniu mnie z Hanawon stanąłem wobec problemu, z którym musiałem sobie jakoś poradzić. Społeczność chrześcijańska w Korei Południowej była nad wyraz czynna w udzielaniu pomocy uchodźcom z Korei Północnej – nie tylko tym, którzy wciąż znajdowali się w niebezpieczeństwie po ucieczce i zmierzali do bezpiecznej przystani, lecz również tym, którzy mieli problemy z zadomowieniem się w Korei Południowej, kraju tak różnym od tego, który opuścili. Gdyby nie pomocna dłoń owych chrześcijan, Bóg jeden raczy wiedzieć, co i mnie mogłoby się przytrafić w Chinach. Czułem się co prawda ich dłużnikiem na zawsze, za ich ludzkie i bezinteresowne poświęcenie, ale nie oznaczało to automatycznie, bym miał się stać osobą wierzącą. Pomijając już wszystko inne, większość swego życia spędziłem w miejscu, w którym chrześcijaństwo uważane było za rzecz szkodliwą, paraliżującą umysł człowieka. Koncepcja, że religia jest zwodniczym środkiem wyzysku, była w Korei Północnej wpajana nieustannie. Jak mógłbym więc nagle się w niej zakochać, nawet jeśli zawdzięczałem życie chrześcijanom, których spotkałem w Chinach? Południowokoreańscy chrześcijańscy pracownicy socjalni pomagali mi z całych sił. Zabierali do swego kościoła, bym mógł dołączyć do wspólnoty przyjaciół i nowo przybyłych ludzi z Korei Północnej. Chcieli też, bym zapisał się na uniwersytet

chrześcijański, który przygotowałby mnie do roli pastora. Kiedy owi przyjaciele przysłali formularz podania o przyjęcie na mój adres domowy, podarłem go na strzępy, nie życzyłem sobie bowiem być zmuszanym do czegoś, co nadal wzbudzało wiele moich wątpliwości. Potem po raz drugi przysłali podanie, ale i to podarłem. Kiedy kolejny raz otrzymałem formularz, uległem obdarzonym silną wolą przyjaciołom, którzy życzyli sobie, bym poszedł tą samą co oni ścieżką – altruistycznej misji ratowania tych, którzy mieli mniej szczęścia. Pomyślałem sobie, że mogę spróbować.

Wkrótce po zapisaniu się na uniwersytet znów nawiedziła mnie niewiarygodna wizja, którą ujrzałem na pustyni Gobi. Wtedy słup ognia oświetlił nam drogę w ciemności nocy, co mnie zachwyciło, ale też zaczęło zadręczać pytaniami. Czy to opatrzność Boża zmienia wątpiących w mężów Bożych? Czy Abraham i niewierny Tomasz mieli taką samą wizję, zanim wyznali swoje credo?

Kiedy ja i moje towarzyszki podróży ujrzeliśmy tej nocy ów słup ognia, nie mieliśmy wątpliwości, że nie pochodzi z tego świata. Był on od Boga samego jako egzemplifikacja jego łaski wiodącej dusze zagubione drogą ku zbawieniu. Dlaczego jednak On mnie ukochał, mnie, który zaprzeczał Jego obecności, który zwykł wątpić w Jego słowa? Czy wystawił mnie na próbę podobną do tej, jakiej poddał Hioba?

Chociaż od pierwszych dni mego pobytu w Korei Południowej wyciągnęło się do mnie wiele pomocnych dłoni, początki tu nie były łatwe. Kiedy tylko nadarzała się sposobność, otwarcie mówiłem o gwałceniu praw człowieka w obozach północnokoreańskich. Udzielałem również wywiadów ukazujących

się w różnych środkach masowego przekazu, by rozpowszechnić informacje o finansowanym przez państwo północnokoreańskie okrucieństwie. Wkrótce zatem zacząłem odbierać dziwne telefony. Człowiek po drugiej stronie słuchawki, nigdy się nie przedstawiwszy, upominał mnie, by nic nie mówić o obozach w Korei Północnej, i przerywał połączenie. Przypomniałem sobie szybko, że zanim przeniesiono mnie do Obozu Numer 18, podpisałem dokument, w którym zobowiązałem się nie wyjawić żadnych informacji o Obozie Numer 14. Czyżby dzwoniący był bezpośrednio powiązany z północnokoreańską ABN? Kim był ów tajemniczy osobnik? Bez względu na tożsamość dzwoniącego jedno było jasne: ktoś mnie obserwował, co sprawiło, że budziłem się nocą z uzasadnionym powodem do trwogi. Niemniej, tak wiele przeszedłszy, nie mogłem żyć z kneblem na ustach. Musiała być bowiem jakaś przyczyna, dla której udało mi się wyjść z tego cało. Nie tak dawno temu moje życie było w uścisku śmierci, teraz więc musiałem odnaleźć sens tego, czego doświadczyłem. W imieniu tysięcy więźniów północnokoreańskich, którzy w milczeniu przepadli bez wieści, po prostu musiałem dać świadectwo.

Miałem też inny problem: jak zarobić na utrzymanie. Było aż nadto oczywiste, że moje umiejętności jako oficera armii zarabiającego waluty zagraniczne nie mogły na wiele się przydać, toteż dysponując funduszami zasiedleńczymi, które rząd południowokoreański przydzielał dezerterom z Północy, otworzyłem – wraz z dwoma przyjaciółmi, którzy zagubili się w gospodarce rynkowej, dla nas kompletnie niezrozumiałej – bar serwujący makarony. Podreperowałem wprawdzie zdrowie – na tyle, że mogłem jakoś sobie radzić bez zauważalnego dyskomfortu

fizycznego – ale na twarzy i czole nadal pozostały blizny po ciężkich dniach w obozie bez pożywienia i słońca. Moi wspólnicy żartowali, że jeśli będę się włóczył po części restauracyjnej i obsługiwał klientów, to wszyscy się przestraszą i nigdy do nas nie wrócą. Chociaż uważali to za zabawne, ja zrozumiałem ich sugestię i chętnie wycofałem się do kuchni, gdzie nadzorowałem wytwarzanie makaronu. Z początku interes rozkwitał, ponieważ bary takie jak nasz, serwujące dania kuchni północnokoreańskiej, były rzadkością, ale po udanym starcie pojawiły się problemy. Zazdrosny właściciel restauracji obok zaczął sabotować nasz bar na rozliczne denerwujące sposoby, czego apogeum stanowiło przecięcie nam linii energetycznej. Jednym słowem, nieustannie borykając się z różnymi przeszkodami i usiłując zarobić na życie, trwałem w stanie permanentnego wyczerpania. No, ale to nic w porównaniu z cierpieniem w Korei Północnej. Pewnego razu, gdy jechałem samochodem z zajęć do restauracji, zapadłem w drzemkę i zderzyłem się czołowo z taksówką. W żadnej mierze nie była to kraksa, raczej niewielka kolizja, gdyż ruch był zakorkowany i żaden samochód nie mógł się rozpędzić. Ale dwie pasażerki wysiadły z taksówki z wyrazem wielkiego cierpienia na twarzach.

– Przepraszam. Czy coś się paniom stało? – zapytałem.

– Och, ojej, co za problem... Muszę z pewnością poddać się wnikliwemu badaniu szyi – odparła jedna z nich.

– Przykro mi... Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

– Może być potrzebna hospitalizacja, bo to wszystko trzeba gruntownie sprawdzić. Uraz tego rodzaju bywa we wczesnym

stadium niedostrzegalny. Trzeba to starannie obserwować w szpitalu!!!

W tym momencie powiedziałem to, co naprawdę czułem:

– Towarzyszki, skoro jesteście tak przewrażliwione, jak uda się wam przeżyć najazd Korei Północnej?

Kobiety spojrzały na mnie zaskoczone, bo nie uszedł ich uwadze ani mój północnokoreański akcent, ani maniera wysławiania się. Szybko jednak odzyskały rezon.

– Proszę się nie martwić, będziemy tak stanowcze, jak tylko to będzie możliwe. Wojna to wojna, ale teraz to chcemy zadośćuczynienia w gotówce za urazy naszych szyj.

Po tym incydencie pomyślałem sobie, że miarka się przebrała. Kiedy więc dostałem od koreańsko-amerykańskiej organizacji kościelnej zaproszenie do Stanów Zjednoczonych, z chęcią je przyjąłem.

W Ameryce wróciłem do myśli o odnalezieniu informacji o prawdziwym pochodzeniu mego ojca. Był to przecież kraj, który przyczynił się do niewyobrażalnej tragedii mej rodziny, kraj, dla którego mój ojciec pracował w czasie wojny koreańskiej i który bezwiednie spowodował naszą rozłąkę – dzieci od rodziców i mężów od żon, a jego armia nadal okupuje pół Półwyspu Koreańskiego. Mimo to jednak byłem bardziej zainteresowany Ameryką niż na nią zagniewany. Chciałem na własne oczy zobaczyć Stany Zjednoczone i przekonać się, dlaczego mój ojciec pracował dla tego kraju. W marcu 2003 roku byłem już w samolocie do Nowego Jorku i myślałem o moim ojcu. Nic o nim nie wiedziałem, ale zmierzałem do kraju, który mógłby mi więcej o nim powiedzieć.[50]

Jako jeden z nielicznych świadków, którzy przeszli przez najpotworniejsze gułagi, jakie kiedykolwiek zapisała historia ludzkości, wygłaszałem odczyty wszędzie, dokąd zostałem zaproszony – w kościołach, na uniwersytetach i na zebraniach wspólnotowych. Najbardziej pamiętne było zeznanie przed Komisją Praw Człowieka Kongresu Stanów Zjednoczonych w kwietniu 2003 roku. Pomagałem również agentom wywiadu w identyfikacji obozów północnokoreańskich oraz zakładów wytwarzających fałszywe waluty zagraniczne. Ale okazało się, że wtedy nie zwrócili oni na to większej uwagi. Dopiero później, jak się wydaje, zdali sobie sprawę ze znaczenia mej opowieści i powrócili do mnie z bardziej szczegółowymi pytaniami.

Moja podróż po Stanach Zjednoczonych miała się skończyć na Zachodnim Wybrzeżu – pogadankami i spotkaniami. Jej przystankiem końcowym było Los Angeles, gdzie powitało mnie wielu Amerykanów pochodzenia koreańskiego. Trzy dni po moim przybyciu pewna żydowska prawniczka przysłała mi list, w którym wyraziła osobliwe zainteresowanie moimi przygodami. Przeczytała o nich w „Monthly Chosun" (anglojęzycznej wersji „Wolsan Joseon"), gdzie opisano je wraz ze wszystkimi szczegółami uwięzienia w Obozie Numer 14. Chciała mi pomóc w złożeniu wniosku o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych. Mój pierwotny plan zakładał, że po wizycie w Stanach Zjednoczonych wyjadę do Japonii, ponieważ w Korei Południowej nie czułem się zbyt bezpiecznie. Zgodziłem się więc na jej ofertę w nadziei, że rząd Stanów Zjednoczonych zapewni mi odpowiednie schronienie.

Wkrótce po osiedleniu się w Los Angeles wstąpiłem do seminarium i zacząłem wygłaszać pogadanki po różnych kościołach. Gdy tylko przyjąłem nauki miłości i przebaczenia, moje życie stało się sensowne. Moi południowokoreańscy przyjaciele, którzy zachęcali mnie, bym wstąpił na chrześcijańską drogę życia, wielce byli ze mnie zadowoleni. Stałem się aktywnym członkiem wspólnoty Koreańczyków z Północy i dokładałem wszelkich starań, by występować w obronie ich bezpieczeństwa i praw. W grudniu 2004 roku zezwolono mi na podjęcie pracy, dotąd czekam jednak na informacje w sprawie wniosku o azyl, który zagwarantowałby mi prawo stałego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Byłem w Waszyngtonie, gdzie zostałem przedstawiony dyrektorowi Immigration and Naturalizations Services, wstawiali się też za mną liczni przyjaciele, decyzja w mej sprawie jednak jeszcze nie zapadła.

Po osiedleniu się w Los Angeles poprosiłem mego byłego partnera biznesowego, Chińczyka żyjącego na obczyźnie, który często podróżuje między Chinami a Koreą Północną, o uratowanie ocalałych fotografii rodzinnych i wywiezienie ich z kraju. Zabrał on zdjęcia od brata mojej żony, który nie wie jednak, dokąd trafiła reszta mojej rodziny. Potrafił tylko powiedzieć, że po moim zatrzymaniu aresztowano także pozostałą rodzinę i zesłano w odległy obszar górzysty. Kiedy sobie pomyślę o ich zaskoczeniu, przerażeniu i bólu, zatapiam się w niezgłębioną rozpacz. Dziś moje dzieci muszą być już duże. Kiedy je widziałem po raz ostatni, miały pięć i trzy lata. Gdyby zdarzyło mi się spotkać je na ulicy, to czy rozpoznałbym je? Wbrew wszelkim nadziejom, wbrew okrutnej obojętności czasu pamięć moja powraca do owego

poranka w 1993 roku. Był to zwykły dzień – cichy i spokojny. Z jakiejś przyczyny żona umyła i wypucowała do połysku samochód. Pamiętam, że jej za to dziękowałem. Syn poszedł już do szkoły, ale córka ciągle jeszcze była w domu i widziała mnie, jak odjeżdżam spod furtki. Nasz biały pies merdał ogonem, żegnając się ze mną. W moich myślach wciąż trwa ten dzień.

Zastanawiałem się, na czym skończyć opowieść. Początkowo myślałem, że finałem jej mogłaby być nieprawdopodobna, ale udana ucieczka z obozu, gdy przekroczyłem granicę między żywymi a umarłymi, gdy ujrzałem odbicie mej twarzy w księżycowym świetle w Go-on, przerażonej twarzy ściganego, ale teraz już wolnego człowieka. Wolnego od zdrady i pracy ponad siły, ale wciąż na granicy śmierci głodowej.

Albo też opowieść ta mogłaby się skończyć wraz z przybyciem do Korei Południowej czy też Stanów Zjednoczonych, gdzie co prawda nie muszę się obawiać ujęcia czy uwięzienia, ale życie nadal spędzam w drodze. Myślę jednak, że obydwu tym wersjom czegoś istotnego brakuje, bo chociaż opowieść przedstawia podróż z ciemnej do jasnej strony przeznaczenia, nie dobiegła jeszcze kresu.

Byłoby znakomicie, gdybym historię tę mógł zakończyć informacją o ponownym połączeniu się z rodziną – z dziećmi i małżonką, których zostawiłem w Korei Północnej. Jeśli kiedykolwiek by się to zdarzyło, byłoby doskonałym finałem tej książki. Dzisiaj jednak nie ma końca opowieści, bo nie znalazłem swojego domu, gdzie chroni się i czcią otacza pamięć o ludziach mi drogich. Póki to nie nastąpi, póty trwać będzie ta podróż.

[50] Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych w roku 2003 Kim Yong wysłał do CIA list z zapytaniem o powiązania swego ojca z tą organizacją w czasie wojny koreańskiej. 30 września 2008 roku otrzymał z CIA list utrzymujący, że prośby tej spełnić nie można, nawet na mocy Ustawy o swobodnym dostępie do informacji (Freedom of Information Act – FOIA). Na mocy FOIA od agencji federalnych wymaga się na ogół ujawnienia żądanych dokumentów.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Długa droga do domu

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Wstęp

Podziękowania

Uwagi Autorki

Wprowadzenie Kim Suk-Young

Szlak ucieczki Kima

Mapa Korei

* * *

Rozdział pierwszy Dorastanie
- Pierwsze wspomnienia
- Pani Matka
- Dzieci z Namsan
- Prawda wychodzi na jaw
- Szkoła Rewolucyjna

Rozdział drugi Żyć dla Wielkiego Wodza
- Na morze!
- Jako sportowiec w wojsku i Wyższej Szkole Technicznej Kim Chaeka
- Małżeństwo i dzieci
- Dzieci
- Fundusze lojalności
- Wszyscy jesteśmy szczęśliwi

Rozdział trzeci Upadek wzorcowego obywatela
Sekret rodzinny
Kruche szczęście
Piekło na ziemi

Rozdział czwarty W uścisku śmierci
- Obóz Numer 14
- Matka
- Obóz Numer 18
- Buntownicy i kolaboranci
- Ostatnie spotkanie z matką

Rozdział piąty Ucieczka
Ryzykowny spisek
Nocny zbieg
Starzy przyjaciele
Nieproszony gość
Długi cień na lodowatej rzece

Rozdział szósty Droga przez Azję
- Wciąż na granicy
- Yanji
- Towarzysz w nieszczęściu
- Pekin
- Słup ognia
- Na progu
- Podróż trwa

Posłowie Niedokończona opowieść

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
LONG ROAD HOME:
TESTIMONY OF A NORTH KOREAN
CAMP SURVIVOR

Wydawca
Daria Kielan

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Magdalena Szczęsny-Mrówczyńska

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Maciej Korbasiński
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © 2009 Columbia University Press
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by
Weltbild Polska Sp. z o.o.,
Warszawa 2012

Copyright © for the e-book edition by
Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012

Świat Książki
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Księgarnia internetowa: Weltbild.pl

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-273-0222-9
Nr 90453275

Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl